

# CZEŚNIKÓWNY.



POWIEŚĆ

PRZEZ

**J. I. KRASZEWSKIEGO.**

Z ILLUSTRACYAMI

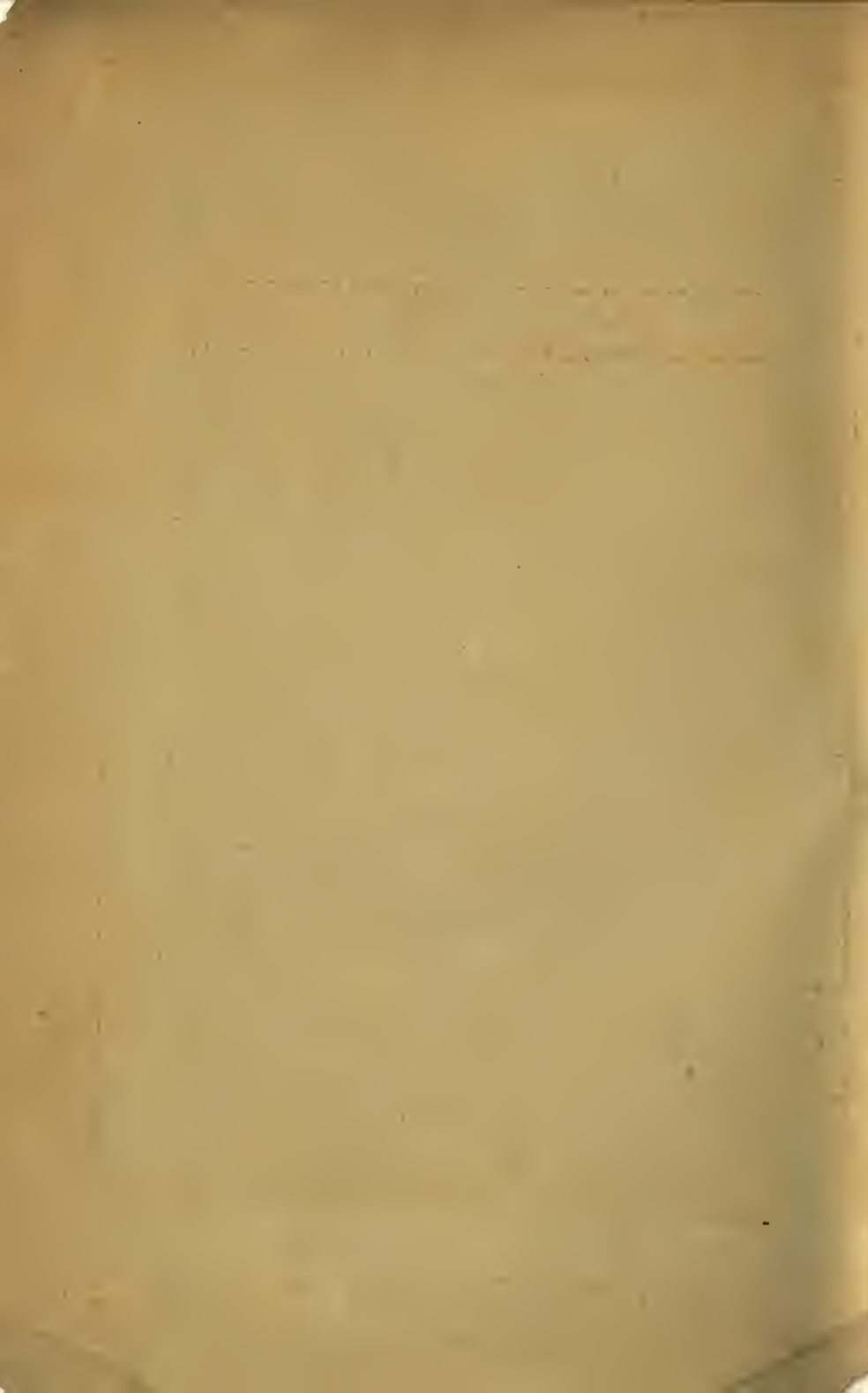
**CHEŁMOŃSKIEGO I X. PILLATIEGO.**



WARSZAWA.

WYDAWCA: KSIĘGARNIA I. M. POLSKA.

1876



CZEŚNIKÓWNY.

## DZIEŁA TEGOŻ AUTORA.

	Rs. kop.
<b>Hrabina Cosel</b> powieść w 2-ch tomach (wyd. 2-gie) . . . . .	2 —
<b>Z siedmioletniej wojny</b> , opowiadanie historyczne, 2 tomy (dalszy ciąg epoki przedstawionój w Brühlu) . . . . .	2 40
<b>Macocha</b> , z podań XVIII wieku 3 t. . . . .	2 25
<b>Powrót do gniazda</b> , powieść z podań XVI wieku . . . . .	1 50
<b>Kawał literata</b> , wizerunki społeczne z końca XVIII w. . . . .	1 50
<b>Morituri</b> , powieść w 2-ch tomach . . . . .	2 25
<b>Resurrecturi</b> , powieść w 2-ch tomach . . . . .	1 50
<b>Roboty i prace</b> , Sceny i charaktery współczesne . . . . .	1 20
<b>Jesienia</b> , powieść 2 t. . . . .	1 80
<b>Stara Baśń</b> . Powieść z IX wieku, 3 tomy . . . . .	3 —
(Jest to pierwszy utwór z szeregu powieści historycznych w krótkich odstępach ukazać się mających.) Druga powieść z X wieku p. t. <b>Lubonie</b> , w 2-ch tomach wyjdzie w krótcie.	

### Pod prasą:

**Brühl**. Opowiadanie historyczne 2 tomy (dalszy ciąg epoki przedstawionój w Hrabinie Cosel).

**Pan Starosta Warszawski**.

**Ostatnie chwile Księcia Wojewody**, (Panie Kochanku) z papierów po Glince. 2-e wydanie.

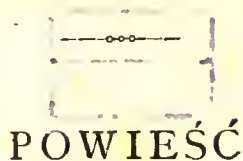
**Przygody Imci Medarda Pełki**.

**Niebieskie migdały**, powieść.





# CZEŚNIKÓWNY.



POWIEŚĆ

PRZEZ

**J. I. KRASZEWSKIEGO.**

Z ILLUSTRACYAMI

**CHEŁMOŃSKIEGO I X. PILLATIEGO.**



**WARSZAWA.**

**NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.**

1876.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 14 Мая 1876 года.



Był to ranek młodej jeszcze wiosny. Drzewa ledwie się rozwijać zaczynały. Weześniejsze już się jasną okrywały zielenią, na sadach widać było jakby powłokę kwiatów białych i różowych, którymi grusze i jabłonie rzesisto były osypane. Słońce świeciło wesoło, w powietrzu balsamiczna woń rozpękających brzoź ciągnęła z ciepłym wiatrem od lasów. Na łąkach widać było złociste łotocie, niby wzory rozrzucone na sznagaradowych kobiercach.

Ptastwo szczebiotało gwarnie, uwijając się około gniazd starych i zakładając nowe. Bociany, jaskółki, goście zdaleka opatrywali dawne siedziby i śpieszyli wyporządzić na nowe lato.

Z za płotów wychylały się krzaki bzu, już gotowe się otworzyć lilio-wemi bukiety, i rozesłać woń, wiosny zwiastunkę. Dzieci miejskie na ulicach biegały w koszulinach, szczęśliwe, że je promienie słońca odgrzewały do życia.

W małym miasteczku nadbużném, w tę niedzielę przewodnią był właśnie targ i zjazd, bo w kościółku odpust uroczysty. Więc ze wsi okolicznych zjechali się włościanie, z czém kto miał na przednówku, — najwięcej z bydelkiem i domową hodowlą, bo ziarna mało co kto miał na sprzedaż. Ale gwarno było w rynku około gospody, i na cmentarzu przy kościele, i po nliczkach miejskich, i przy mnogich domach żydowskich, i około bud a kramów otwartych, przed którymi kraśne chustki i wywieszone buty długie, i rozstawione garuki, i nagromadzone sita i przetaki widać było.

Właśnie się w kościółku nabożeństwo skończyło; nabożny lud, szlachta okoliczna, ekonomowie wásaci rozchodzić się zaczęli, szuka-

jąc bryczek swoich i koni; część zamożniejsza popasała po gospodach, a skromniejsze zaprzęgi stały w rynku, torby koniom poprzywieszawszy.

Pomimo że wszędzie było pełno, największy jednak tłum gromadził się około Chaimowego domu; a zdawało się, że trudno to sobie wytłumaczyć było. Znać tam widowisko ludzie nie mieli jakiegoś, bo spinali się na palce, wstawiali na wozy, i jedni śmiali się i klaskali w dłonie, drudzy posępnie jakoś patrzyli; a ciekawych coraz więcej przybywało.

Przed gospodą Chaimową było podsienie na słupach rzeźbionych sparte, obszerne, przez które zajeżdżało się do szopy. Tu się znać odegrywał ów jakiś dramat miejski, który coraz więcej ściągał widzów. Że to był dzień targowy, odpustowy i wiosenny a świąteczny, można było przypuścić; iż tam dwn podpiłych zwadziło się, i poszło na słowa lub na pięście. Lecz w takim razie gwarby był inny, i krzyki śmiechby zastępowały.

Zbliżwszy się dopiero można było dojrzyć, co tak gorączkowe obudzało zajęcie. W przedsienu otoczonej ludem, naprzeciw drzwi otwartych gospody, z których też mnóstwo głów żydowskich wyglądało, i wrót od szopy pełnych woźnic i panów, zwiłajała się jakby w tańcu kobieta, śpiewając i skacząc wesoło, a nie zważając i zdając się nie widzieć nawet sztytersko jej poklaskującego tłumu.

Wyglądała dziwnie. Była nie młoda, choć wieku na zwiedłej twarzy nikt nie rozpoznałby; rysy świadczyły o niepospolitej niegdyś piękności, lecz jakby zgniecionej i zmiętej dłonią czasu i ogniem namiętności, zdziczałej od szaleństwa. Zacerwieniona skóra, obłąkany wzrok dawały poznać łatwo, że nie była przytomną. Stare, odarte okrywały ją łachmany sukni, zszarżane, zbłocone, połatane, podzinrawione. Kubrak wisiał na niej strzępami, na nogach miała dziurawe, zczerniałe pończochy i rodzaj chodaków sznurami powiązanych. Włosy w nieładzie, rozczochrane, bujne, spadały w części na plecy, w części nieforemnie pogniecione, oplatał rodzaj wieńca z łotoci i innych kwiatów polnych... Powpinane te ozdoby spadały jej na skronie. Chusta, która z głowy na szyję się zsunęła, wisiała na niej tak nieforemnie, jak cała odzież nieszczęśliwej, w której licu obłąkanie i pijaństwo dziwnym się malowały wyrazem.

Znać sen jakiś młodości wionął na nią z wiosennym powietrzem, bo się uśmiechały spalone usta, i przymrużone oczy czarne patrzyły ławo... Rękami z obu stron ująwszy łachmany sukni jakby najdroższe stroje, z wdziękiem dziwnie odbijającym od nędzy i wieku, drobniutko skakała i biegała, zwiłając się obłąkana. Nie widziała nikogo, cienie jakieś ota-







czać ją musiały. Z ust to się głośniejsza, schrypła odzywała piosenka, to mruczenie i śmiech wesoły. Ludzie patrzyli i poklaskiwali nielitościwie. Dzieci się urągały biednej kobiecie. Poważniejsi tylko, z wlepionym w nią wzrokiem, zdawali się chcieć odgadywać straszny dramat jakiś, którego te skoki były zakończeniem.

Nagle kobieta obudzona wrzawą, obejrzała się; oczy jej dopiero teraz zdawały się rozpatrywać w tłumie, którego była urągowiskiem. Zarumieniała się bardziej jeszcze... ręce opuściły suknię... podniosła je do góry i wzięła się jedną w bok, drugą poprawiając upadające na czoło kwiaty łotoci.

— Łotry! chamy! zbóje! he! czego się śmiejecie? czego? Co to mi tańcować nie wolno? Przeciem szlachcianka i cześnikówna... Żydziel! Judaszu! wódkil..

Poczęła szukać po kieszeniach wywracając je... Wypadła biała dwunzłówka, nogą potrafiła ją dojącego chłopaka.

— Podaj kwartę! słyszysz...

Żydek się schylił, podniósł pieniądz, a starszy podał mu przez głowy stojących wódkę i kieliszek.

Czarke pełną poniosła do ust kobieta, wypila ją duszkiem i splunęła...

— Resztę częstuj... niech znają cześnikównę... Hopsa sa! hopsa sa!..

I poczęła znowu, zwijając się i przeginając, swój taniec, w którym jakieś ślady umiejętności i wdzięku dostrzedz jeszcze było można.

Żydek bliższych częstował, ale oprócz ostatniej hołoty, nikt wódki téj pić nie chciał.

Kobieta zaczęła śpiewać coraz głośniej, kręcić się coraz szybciej, szła ją opanował jakiś, łachmany rozwiane szeroko zwijały się z nią razem, nareszcie zdyszana padła na ziemię. Szczęściem, że kupka słomy leżała tam, gdzie głową trafiła. Porwała się prędko i usiadła. Rozsypane kwiaty zdawały się ją najwięcej zajmować; zbierała je skrzętnie i drżącą ręką wkładała znowu w rozczochrane włosy. Twarz jej przybrała wyraz smętny i dumny.

Podparła się na jednym ręku i pocichu zaczęła nucić:

Już miesiąc zeszedł; psy się uśpiły...

Głos z początku silniejszy zamierał na ustach, powtórzyła razy kilka:

— Filon mój miły, — i powieki kleić się jej zaczęły... Usypiała.

Tłum stał milczący, z szyderstwa przeszedłszy w zadumę. Cicho



było na chwilę, potem zaczęto szeptać i gwarzyć, odchodzili niektórzy, przypatrywali się drudzy uśpionej, z sukniami w nieładzie, z zaognioną od trunku twarzą, nieszczęśliwej. Żydowskie dzieci obstały ją do koła kopiąc nogami. Gospodarz wcale nie był rad, że mu drogę do zajazdu zawałiła uśpiona. Ale dobudzić się jej teraz nie było sposobu; odurzona mruczała coś niezrozumiale, usta jej uśmiechały się dziwnie, ręce drgały, a oczu otworzyć nie mogła...

Właśnie w chwili gdy się to stało, powóz czwórą koni zaprzężony, podróżny, z tłumokami, wyminawszy z trudnością wozy, nagromadzone na rynku, zbliżył się do domostwa Chaima i zatrzymał przed nim. Służący zeskoczył aby zobaczyć, czy zajechać było można; poruszyli się żydzi zapraszając, ale na drodze leżała owa kobieta. Z powozu wyjrzała głowa zakwefiona, średnich lat pani, która chwilę popatrzywszy, kazała sobie drzwiczki otworzyć i dosyć lekko wyskoczyła. Wytworny jej ubiór piękna kibić, rysy twarzy uderzającego wzięku, pański chód—jakby czarodziejską różdżką rozpędziły tłum zgromadzony tak, że przejść mogła do gospody, nie czekając nim się uprzątnie przeszkoda; i powóz do sieni się zatoczył. Gospodarz czapkę zdjawszy, poprzedał ku drzwiom piękną panią. Już do nich dochodziła, gdy przypadkowo rzuciwszy okiem w bok, postrzegła leżącą na słomie kobietę, z kwiatkami zwiędłymi we włosach. Ciekawość czy litość wstrzymały ją, zawahała się i postąpiła kroków kilka, aby się bliżej tej nieszczęśliwej przypatrzeć.

Pijaczka leżała twarzą do góry tak, że jej rysy oblane krwawym rumieńcem, policzki zwiędłe, usta otwarta z resztką zębów pokruszonych, pomarszczoną szyję i sfałdowane czoło, i wyraz tego oblicza stęzalego w jakimś marzeniu—można było widzieć dobrze. Piękna pani wyteżyła wzrok, całe jej ciało drgnęło, z ust dobył się okrzyk niezrozumiały, obie ręce, jakby odpychając widziadło, wyprężyła przed siebie; śmiertelna błądź okryła jej twarz, i służący stojący blisko, ledwie miał czas podbieść i podchwycić ją, gdyż przerażona widokiem tej nędzy—omdlała.

Zamieszanie stało się wielkie... z powozu nadbiegła pódżyła służąca, ręce załamując i śpiesząc do pani. Kilka osób podtrzymywało już osłabłą, którą na rękach prawie wniesiono do oczyszczonego na prędce gościnnego pokoju.

Tymczasem ogromny spór i wrzawa powstała między żydami, furmanem i przytomnymi. Zabierano się pijaczkę na gnój za gospodę wyrzucić, inni chcieli posyłać do straży i policyi, żydzi kopali nogami śpią-

cą... Ta ile razy przebrndziła się ze snu, uśmiewały się jój usta, i mruzczała coś niby słodkie wyrazy jakieś i szeptu miłośne...

Miało się skończyć na tém, że gospodarz najał ludzi, którzy mu się obiecali pijaną wynieść za dom; gdy przez tłum przecisnął się wysoki mężczyzna, odziany jak ubogi szlachcic czynszowy. Odziany był w szewcką kapotę, siwą, naszywaną sznurami, długie buty i czapkę baranią. Na szyi wyschlęj sterczała głowa z twarzą żółtą, pomarszczoną, snrowego wyrazu, z oczami czarnemi, dzikimi o brwiach nawisłych. Szedł milczący z rękami w kieszeniach, i zdaleka już postrzegłszy leżącą kobietę, w milczeniu dźwignąwszy ramionami, przecisnął się przez stojących aż do niej. Chwilę patrzył na nią nie mówiąc słowa. Usta mu się tylko wyduły i przybrały nieodgadniony wyraz litości i smutku. Właśnie ludzie najęci mieli pochwyć kobietę, gdy szlachcic porywczo zawołał:

— Wara mi!

Chaim się zbliżył chcąc coś powiedzieć, szlachcic nań popatrzył surowo.

— Zanieść ją na mój wóz! — rzekł sucho i rozkazująco... — Ot tam stoi; — dodał wskazując biczyskiem; — słyszycie....

Potém obrócił się do żyda i do tłumu razem.

— Ludziska bez wnętrzości! — zawołał, wódki dać obłąkanemu aby sobie z nieszczęścia robić pośmiewisko. Tyś żyd aleś człowiek... a gdzie sumienie?—a u was gdzie serce i miłosierdzie?.. I to się zowią ludzie. Starzy, — a bez bojaźni Bożej, młodzi, — a bez wstydu... Tfu!!

Wszyscy zmilkli, bo wszyscy sprawiedliwość słów tych poczułi; niektórzy z rumieńcem po cichu ustąpili, aby ich nie postrzeżono. Ci, którzy mieli nieść kobietę do wozu, a zabierali się do téj czynności zrazu dziwo i porywczo, przystąpili teraz pomrukując, ostrożnie i widocznie rozważając, jakby się to uczynić dało pocziwie i skromnie.

Szlachcic stał znowu milczący; patrzył na uśpioną, a batóg, którym się podpierał, drżał mu w ręku...

Wtém ze drzwi gospody wybiegła służąca omdlałej pani, rozglądając się do koła...

— Cóż się stało z tą nieszczęśliwą! — zawołała. Moję panią tak ten widok poruszył... że aż omdlała... bo nerwy ma słabe... Jak bo też można na drodze...

— Nie frasujcie się o nią, mruknął stary szlachcic; znajdzie się samarytanin co i tą niedolą się zaopiekuje... Ubogi nad nbogim...

Służąca popatrzywszy na mówiącego, całą rozbudzoną ciekawość swą niewieścią skierowała na kobietę... wpatrując się w nią z razn z roz-targnieniem, potem z coraz więcej natężoną uwagą. Zbliżyła się nawet o ile tylko mogła, aby twarzy lepiej się przypatrzeć,—i jakieś zdumienie odmalowało się w jēj oczach... Zdawała się nie dowierzać temu co widziała, przetarła oczy parę razy, — i odstąpiła zadumana... z kolei przypatrując się posepnemu szlachcicowi.

Przysunęła się do niego powoli, ze znacznie jakoś wygrzecznąą twarzą, widocznie w chęci zawiązania rozmowy; lecz szlachcic, który oka niespuszczał z nieszczęśliwój kobiety, [najmniejszej do gawędy nie zdawał się mieć ochoty.

— Pan ją zna tę nieboraczkę?—zapytała.

Szlachcis spojrział na pytającą—i potrząsnął tylko głową.

— Ona tutejsza?..

I na to nic nie odpowiedział zaczepiony. Ludzie właśnie w tēj chwili ujawszy śpiącą za nogi i pod ręce, dosyć ostrożnie, poczynającą się szamotać i bronić, nieśli powoli ku wskazanemu wozowi... Głowa jēj leżała na piersiach jednego z nich, z oczami ciągle zamkniętymi; lecz nsta poruszały się i wyrazy niezrozumiałe wyrwały z nich... Uspokoiła się po chwili;—szlachcic ze spuszczoną głową poszedł za nio-sącymi... Służąca stała i patrzyła z ciekawością, którój zaspokoić nie mogła.

Szczęściem, choć powierzchowność jēj wcale nie była przynęcającą, zbliżył się ku niej pałacy fajeczkę, ekonomskiej fizjognomii i postawy podżyły jegomość, i z nśmieszkciem zagadnął.

— Panna jēj nie zna?

— Ale jam tu obca i z daleka jedziemy...

— A ja choć tutejszy — tēż nie wiem co za jedna... Paunie Chaim — odezwał się do stojącego izraelity.—Cóż to u was tn za kome-dyc znouu?

Żyd ramionami ruszył.

— To jest prawdziwe nieszczęście... na mój dom, bo u mnie tylko porządne ludzie bywają...

— A cóż to za jedna? co za jedna?—zapytała służąca natarczywie.

— Albo ja tan wiem — flegmatycznie odparł gospodarz, który



znać nad tym wypadkiem nie chciał się bardzo rozszerzać—pijaczka, i po wszystkim...

— Zkąd? tutejsza?

Pan Chaim poprawił niecierpliwie jarnułkę, skrzywił usta... popatrzył przed siebie, jakby myśli zbierając.

— Płacze się tu od niejakiego czasu... at! wólczega... Kto ją tam będzie znał, zkąd to przychodzi i gdzie się to podzięwa...

— Jakże ją nazywają?—pytała przysuwając się służąca.

— Jak? ją każdy inaczej nazywa—mruknął żyd trąc brodę... Jedni ją nazywają panną Cześnikówną... drudzy waryatką... ona sama jak wódki się napije, to każe sobie mówić—panna Róża!.. A zkąd ona te pieniądze bierze, bo nigdy nie zebrze... kto to ma wiedzieć!! Jak gdyby unikając dalszej rozmowy żyd się zwolna odwrócił, i pociągnął ku domowi... znikając we drzwiach.

Niedaleko stał podparty o słup mieszczanin, którego po sutój bekieszy i wysokości, siwój baraniój czapce poznać było można. Słuchał on pytań i odpowiedzi. Człek był jakiś podżyty i stateczny... Pofałdowana, wygolona twarz, na której najjnniejsze poruszenie czytać było można, wyrażała litość jakąś i zajęcie.

— Bóg to tam wie, — odezwał się zwolna nie pytany, zkąd się to do nas to przywlokło... to biedactwo... Jój tu naprawdę nikt nie zna. Czasem się pokaże, ot jak dziś, potańcuje, zaśpiewa, ludzi naśmieszy, nataje i znowu zniknie; i nie ma jój jakich niedziel kilka... Całą tę ziemię nie było widać... Dziej z rana widziałem ją na prymaryi klęczącą, z rękami podniesionemi przez całą mszę świętą, to bijącą się w piersi i jęczącą na cały kościół... Potém leżała krzyżem w czasie wotywy; a gdy wyszła jakby pijana z kruchty na rynek... pobiegła nad rzekę i narwała łotoci, nawtykała jój sobie we włosy, i śpiewając poszła do karczmy ludzi śmieszyć... Wypiła jeden po drugim kilka kieliszków, i ot jak się skończyło.

Zanikł mieszczanin.

— A coż o niej mówią ludzie?—pytała panna służąca...

— Każdy co innego, — zwyczajnie jak gdy nic nie wiedzą; roją sobie co komu do głowy przyjdzie. Przeszłego lata rozpowiadali, że ją w lesie spotkali, i że się włoczyła nie wychodząc z bornu kilka miesięcy. Leśniczy ją nadybał śpiącą w dzimpli starego dębu, o jakie dwa łokcie nad ziemią; i tam słyszę sobie była zrobiła posłanie z liści... a drapała się do

barłogu jak zwierz dziki... Zwyczajnie pomieszanych zmysłów biadactwo...

Ale to nikomu nib złego nie czyni, co najwięcej że połaje gdy się z nią ludzie śmieją... boć to się z takiego nieszczęścia śmiać nie godzi!— Bóg tam raczy wiedzieć z czego jój to przyszło, a pewno nie z rozkoszy ale z dopustu Bożego...

To mówiąc mieszczanin się pokłonił zlekka i odszedł w swą drogę.

Panna służąca założywszy ręce patrzyła w stronę wozu, przy którym stał szlachcic na biczysku oparty, jak gdyby go pilnował. Miała wielką ochotę pójść jeszcze poprobować, czyby się co z niego dobyć nie udało, ale twarz miała odkrytą, — a choć dawno powinna była wyrzec się wszelkiej pretensyi do piękności, straszło ją to wiosenne słońce, które tak prędko opala. Ze drzwi téż ukazał się wychodzący z pośpiechem służący, który ją prosił aby szła do pani. Wyrzec się więc musiała schwycenia czegoś więcej, i wróciła na palcach do gościnnego pokoju...

Izdebka była pusta, chłodna i smętna jak więzienie... Na tarczanie, naprępcie zasłanym sianem i pokrytym dywanikiem, spoczywała przybyła pani, z bladą twarzą i wzrokiem wlepionym nieruchomie w podłogę;—nie była jeszcze przyszła do siebie z wielkiego wzruszenia, które tak silnie podziało na jój słabe nerwy. — Gdy się drzwi otworzyły, drgnęła przestraszona, i rękę przyłożyła do czoła...

Nie była już młodą, ale wielka jój piękność przetrwała znać wiek i życia burze... Czarne oczy nie straciły jeszcze blasku, twarz delikatnej płci i świeżości, usta wdzięku z jakim się niegdyś uśmiechały...

Strój jój podróżny dowodził téż, że o te resztki piękności dbać musiała; od małego trzewiczka, który okrywał nóżkę zgręczną, aż do zasłonki, zastępującej w drodze niewygodny kapelusz, wszystko było wytworne, kosztowne, wonne i eleganckie...

Rozrzucone na stole podróżne torebki i okrycia, również były kosztowne i piękne...

— Oóż się stało z kobietą? — odezwiała się głosem słabym, postrzegłszy wchodzącą sługę — nie wiesz??

I czarne jój oczy z jakąś obawą zatopiły się w twarzy przybyłej, usiłując ją wy badać.

— Jakiś liściowy szlachcic kazał ją zanieść na swój wóz i położyć na nim... bo inaczej toby ją zli na gnój, za karcznię wyrzucili... bez żadnego miłosierdzia.

— A nie pytałaś co to za jedna? jeszcze trwożliwszym głosem dodała kobieta...

— Owszem, proszę pani... pytałam... ale mi nikt prawie nic powiedzieć nie umiał, oprócz że obłąkana, że się po lasach włoczy, a czasem się zapija. Nikt jęj tu nie zna... Mówili mi że się Cześnikówną nazywa... i...

Nie mogła reszty dopowiedzieć służąca, gdyż w tęg chwili jęj pani znowu się źle zrobiło, załamała białe ręce konwulsyjnie i padła na poduszkę. Służąca dostawszy flaszcękę z solami, trzeźwić ją zaczęła przestraszona...

Były to jednak mdłości przechodzące, gdyż wprędce podźwignęła się kobieta i trąc skronie — zawołała jakby się tłumacząc...

— Powietrze w tęg izbie okropne!.. Umilkła, spuściła oczy...

— Mówiłaś zdaje mi się, że ją nazywają Cześnikówną?..

— Tak jest — podchwyciła sługa, sądząc że panią rozerwie opowiadaniem — a ona sama słysząc nazywa siebie czasem — panną Różą...

Oczy słuchającej błysnęły... Nie chcąc już więcéj wiedzieć, pochyliła się na poduszkę...

Sługa wcale stanu tego zrozumić nie mogła...

— Coby to pani zrobić? — spytała.

— Ale nic, moja Bugucka — nic — to przejdzie... wiesz że ja nie mam takie mdłości. Wczoraj już czułam się niezdrową. Potrzeba mi spoczynku...

— Możebyśny zanocowali... ale tu ta wrzawa targowa... pewnie do późnej nocy ludzie pić będą... Pani zdawała się wahać i walczyć z sobą, i nieodpowiedziała błędko...

— Moja Bogucka — odezwala się cicho... nie patrząc na nią — pójdź, proszę, i zobacz co się stało z tą nieszczęśliwą... Z myśli mi wyjść nie może — okropne na mnie zrobiła wrażenie... Powiadasz, że tam jakiś ubogi szlachcic się nią zaopiekował... pójdź proszę i daj mu dla nicę... od siebie... Zaczęła szukać woreczka...

— Daj... ile zechce — dodała;... a może jaką suknię, okrycie... Trzeba jęj pomódz...

— Ale ona to przepije...

Pani drgnęła usłyszawszy to...

— Co nam do tego — odezwala się głosem słabym... Pijąc, zapomniał że jest nieszczęśliwą... albo ją wódka dobije... prędzej skończy...



Moja Bogucka... idź, zrób od siebie—rozumiesz... co można... nie żałuj... Ty masz dobre serce...

Pełechtana tém, wybiegła natychmiast panna służąca, już tym razem nawet nie zważając na opalające słońce wiosenne. Lecz gdy z karczmy wypadłszy, szulac poczęła wozu, na którym złożono obłąkaną, już go na miejscu, w którym stał, nieznalazła. Pytała stojących, nikt nie umiał powiedzieć co się z nim stało. — Dopiero po chwili, rozpatrując się do koła, spostrzegła, że szlachcic troskliwy znać by śpiącej słońce nie dogrzewało, podjechał z nią pod cień, który rzuciła szopa, stojąca niedaleko. Tu sparty plecami o wóz, zamyślony, stał na straży.

Panna Bogucka musiała pójść do niego. Na widok zbliżającej się, szlachcic wężami poruszył niecierpliwie;—trzeba było być bardzo grzeczną.

— Chciałabym w czém pomódz téj nieszczęśliwój—odezwiała się nadchodząca.

— A jakże jój dopomódz? jak? szydersko się uśmiechając rzekł szlachcic...

— Pan się nią opiekujesz, może byś dla niój chciał przyjąć...

— Ale ja się nią nie opiekuję—jako żywo, ofuknął szlachcic—ona się nie da nikomu sobą opiekować; to darmo. Mam litość nad nią... Gdy się przebudzi... wyskoczy z wozu... i tyleście ją widzieli...

— Choćby lepsze jój dać okrycie?

— To je paszarpie i powala, bo się w błoto na noc spać położy.. rzekł szlachcic. Na taką dolę — mówił wzdychając, nawet najtroskliwsza opieka nie pomoże. Zamknąć ją, będzie jeszcze więcej cierpiała, bo w miejscu usiedzieć nie może. To darmo.

— Pan ją znasz?

— Tyle co i waćpanna—odparł szlachcic ponuro. Nie pierwszy ją raz ratuję, bo mam taką naturę, że się do nie swoich rzeczy mięszam nie proszony, gdy mi się serce ściśnie... Ot—stara głupota!

W tém gdy rozmowa stawać się zaczynała głośniejszą, przebudzona znać nią kobieta, ruszyła się, wyprostowała, odgarnęła włosy z twarzy, i czarnemi oczami powiodła do koła.

— Wiosna! zawołała śmiejąc się.... Wiosna... zagląda w okienko... aż pachnie. To to już Maj! A ja tu? Na cudzym wozie... Jakim



sposobem... Czy mnie myśli porwać! A! niedoczekanie... Już tego było dosyć—ja sobie swobodną być chcę... Do lasu czas... do lasu!

Żwawo porwała oburącz za drąg od wózka, podniosła się i skoczyła z siłą i zręcznością, którejby się po niej spodziewać nie było można.

W tym skoku ostatnie z jej włosów łatocie na ziemię upadły, przędko schyliła się zbierać; — lecz zobaczywszy je zwiędłe, odrzuciła daleko z gniewem.

— W lesie znajdę inne... a to już tylko śmiecie... Ustroję się i będę śpiewała... tam mi wszystko wolno! Wilcy wyją, a ja śpiewam jakby jedną pieśń...

Panna Bogucka osłupiała patrząc i słuchając; szlachcie także. Spojrzała na nich.

— Co wy się mnie przypatrujecie!.. Czesnikówna jestem... a co? nikt mnie nie poznaje, takim wyładniała... Róża! Różyczka! ale z niej liście opadły... Nagle zbliżyła się do szlachcica, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Kieliszeczek wódki! he! bo już nie mam grosza.

— A dosyć już tego! dosyć — rzekł szlachcic snrowo — obraza Boża...

— Obraza Boża! ale! znieszana odezwiała się obłąkana — niby to pan Bóg taki nielitościwy, jak wy, żeby się zaraz obrażał, kiedy chory się napije, a jam chora! dalipau!

— Ludzie się z was śmieją — mruknął szlachcic.

— A ja z nich...—dygając, odparła Cześnikówna. A no! niech się śmieją! na zdrowie. Ot to mi wielki strach!.. Cha! cha!

Stali w cieniu; — wiatr wiosenny pociągał od łąk; wiatr chłodnawy,—wstrząsała się kobieta biedna i ścisnęła ręce. Bogucka wzruszona, szybko zdjęła z ramion chustkę ciepłą, i rzuciła ją na ramiona ubogiej; — ta zrazn stała zdumiona, i przypatrywała się ciekawie swojemu nowemu okryciu. Nie podziękowawszy nawet Boguckiej i nie rzuciwszy okiem na nią, wciąż dotykała palcami i oglądała się po chustce; — zaczęła się obwiązać i układać. Spoważniała nagle, — wyprostowała się.

Bóg zapłać!—mruknęła, nie patrząc.—Bywajcie zdrowi... Czas do lasu...już bociany przyleciały dawno, a ja do mojego gniazda nie powróciłam... Co oni na to powiedzą! Trzeba spieszyć, bo tam może gospodarstwo czeka. Do nóg upadam!

Dygnęła.

Szlachcic i panna Bogucka patrzeli, jeszcze nie wiedząc czy ją wstrzymywać; gdy obejrzawszy się tylko po miasteczku, jakby dla przypomnienia położenia, znikła im z oczów, biegnąc między domostwa i szopy...

---

Gdy służąca przysłała zdać sprawę swęj. pani z poselstwa, znalazła ją z chustką na oczach, którą prędko reszta łez otarła, nsiłując je ukryć i złożyć na ból głowy. Spytała, czy miała zrzeczność dać co ubogiej i otrzymawszy odpowiedź, że tylko chustką ją swoją okryła, — piękna pani chwyciła szal ze stołu, i szybko w zamian za tę jałmużnę, oddała pannie Boguckiej.

— Cóż się z nią stało?

— Pobiegła do lasu... bo ona tam zwykle przez całe lato przebywa biedna.

Pani spojrzała na nią oczami zdumionemi, chciała pytać o coś jeszcze, i słowa na ustach jej zamarły.

— Nie wiem, odezwała się po namyśle, czy ja już dalej jechać będę mogła — muszę trochę spocząć. Na nieszpory pójdę do kościoła... jutro rano wybierzemy się dalej.

W postanowieniu tym było coś tak niezwykajnego, iż panna Bogucka popatrzyła zdumiona na panią, nie dowierzając swym uszom.

— Widzisz że jestem chora — odezwała się ciskając czoło ręką białą; — potrzebuję odpoczynku... podróż mnie niezmiernie trzdzi, a choć nam pilno... to pół dnia można będzie nagrodzić...

— Zapewne, odpowiedziała Bogucka, ale jeśli się pani źle czuje możeby i do kościoła iść nie wypadalo. Ścisk pewnie pospółstwa będzie na nieszpórach, w kościołku; albo zaducha i chłód wiosenszany.

— Potrzebuję się pomodlić.. Święto! — odezwała się pani spuszczając oczy.

Na tém skończyła się rozmowa; służąca poszła zanieść rozkazy pani. Obiadu przygotowanego nie tknąwszy prawie, podróżna usłyszawszy dzwony kościelne, okryła się zasłoną, otuliła czarną narzutką, i wyszła. Chcąc jej towarzyszyć Boguckiej prosiła, ażeby została przy rzeczach. Musiała jej być posłuszną; lecz lękając się o powtórzenie rannych mdłości, nie mówiąc wysłała troskliwa sługa łokaja, który zdala miał iść za panią.

Wieczór był piękny, tłumy w rynku już się przerzedzały, reszta tylko pozostałych włościan, mieszczanie napełniali kościółek, wszystkim naszym wiejskim podobny. Pachniało w nim świeżym tatarakiem, którym potrzesiono podłogę; — jaskrawe obrazy, postrojone w wiannuszki, i chorągwie przy ławkach stojące; wizerunki Chrystusa i Świętych, złocene i malowane: ołtarze boczne obwieszzone wotami i pasmami lnu,... wpół mroku wieczora składały się na wiejski obrazek, wielkiego wdzięku. Mało było osób oprócz pobożnego ludu, najwięcej kobiet, z których część znaczna z poprzewiązywanymi białymi rańtuchami, widocznie z sąsiednich wiosek przybyła. Nieszpory i pieśni pobożne odbyły się skromnie i cicho. Organ tylko towarzyszył śpiewom, a kilka świec w wielkim ołtarzu, zaraz po ukończeniu nabożeństwa, gasić zaczęto. Przez cały czas nieszporów, ze złożonymi rękami i głową na nich opartą przesiedziała podróżna, w jednej z ławek bocznych. Lud już wychodził i kościółek stawał się pustym, gdy przypomniawszy sobie znać gdzie się znajduje, podniosła się z siedzenia, bójazliwem okiem obejrzała do koła. Służący ukryty był za słupem w kruchcie tak, że go zobaczyć nie mogła;... skierowała się krokiem niepewnym ku zakrystyi.

Właśnie ksiądz wikary kończąc modlitwy, zdejmował kapę i albę, gdy piękna pani weszła. Musiała poczekać chwilę, nim wstał z klęcznika; przystąpił ku niej grzecznie.

— Jestem podróżną i nieznaną, rzekła po cichu drżącym głosem wpatrując się w księdza, który jęj słuchał z uwagą. Czy nie mogłabym kilka słów pomówić z księdzem proboszczem.... Może ma gości...

— Nie, pani dobrodziejko — odparł wikary, proboszcz jest trochę słaby, a że to człowiek w wieku i podlega często febrze, doktor mu zakazał narażać się na wiosenne powietrze... Widzieć się z nim można, niema na plebanii nikogo...

Wikary urwał nagle, i po chwile dodał nieśmiało.

— Czy pani dobr... poleci mi oznajmić mu o jęj przybyciu... a może zechce powiedzieć... z kim będzie miał honor?

Kobięta zarumieniła się mocno.

— O! moje nazwisko zupełnie tu nieznanne, i ks. proboszczowi także. Chciałam powziąć pewną wiadomość...

Uważając że ją tém zakłopotał wikary skłonił się w milczeniu, i otwierając drzwi boczne zakrystyi wskazał ku probostwu drogę, sam śpiesząc ją poprzedzić i oznajmić. Scieżynka wiodła przez część starego



ementarza, wśród której wznosiły się stare krzyże i ceglane pomniki,... do furtki dziedzińca.

Tu stała skromna plebania wśród krzewów rozpuszczonych i zieleńiących. Nawet bzy wcześniejsze już rozkwitały od strony południa.

Cisza głęboka panowała w tym kątku nbogim... ptaszęta tylko świergotały i cała gromada kur przechadzała się na trawniku.

Podróżna szła bardzo powoli, przypatrując się temu obrazkowi jakby ociągając. Dopiero gdy wikary powracający od proboszcza ukazał się na progu, przyspieszyła nieco kroku. — We drzwiach głównego pokoju stał już i proboszcz starszszek, z szyją obwiązaną chustką, w czarnój czapeczce na głowie. — Był to nie młody już człowiek i znać schorowany. Cere miał żółtą, twarz zmęczoną, ręce któremi przytrzymywał chustkę całe były nabrękle i pokrzywione od reumatyzmu, jedno ramię znacznie przewyższało drugie... Opierał się znać na kij, który teraz miał pod pachą. Mimo tych oznak cierpienia w twarzy starszszka widać było niezniemą energię, życia zapas cały. Oczy miał czarne, małe, błyszczące i patrzące niespokojnie, czoło oznajmiało rozwinięte umysłu władcze...

Ogół rysów uderzał charakterem, niepospolitością swą, wyrazem głębokim. — Piękna pani pospieszyła na próg, aby go uwolnić od niebezpiecznego przewiewu. Starszszek powitawszy ją wpatrywał się z wielkiem zajęciem w nieznaną. — Zdumienie malowało się na jego twarzy i jakby niedowierzanie...

Wskazał natychmiast krzesło przybyłej, i przepraszając ją sam też siadł, chwytając się za kolano, — gdyż na nogach długo utrzymać się nie mógł.

Jak w tęczę miał w nią wzrok wlepiony, co widocznie niespokoić musiało przybyłą, gdyż osłaniała się poprawiając narzutkę, i szukała miejsca aby w cieniu pozostać.

— Przebacz mi waćpan dobrodziej, — odezwała się po małym przestanku przybyła — iż się go trudzić ośmielałam, nieznaną będąc — Przejeżdżałam dziś rano przez miasteczko, i nie byłabym się w niem zatrzymała, ale widok przykry takie na mnie uczynił wrażenie żem za słabła...

Nie będziesz się waćpan dobr. dziwił słabój kobiecie iż ją cudze nieszczęście... obchodzi... W istocie cóż tak extraordinaryjnego... że i li-



Pan Skórski. (Do str. 15).





toś i ciekawość obudzić musiało... i to mnie powoduje, żem się ośmieliła objaśnienia szukać u duchownego ojca....

Mówiąc to, piękna pani mieszała się niezmiernie, głos jój słabł, wysiłał się, powracał; podnosiła i spuszczała oczy. Staruszek słuchał nie przerywając z wielką i bystrą uwagą. Nie zdawał się jeszcze domyślać o co chodziło.

Po chwili milczenia podróżna mówiła dalej.

— Był to widok rzeczywiście okropny. Jakaś półpijana, pół obłąkana kobieta, którą tłum urągając się, otaczał... nie mogłam się o nią dowiedzieć...

Zamilkła, staruszek patrzył zamyślony...

— Nieszczęśliwa — rzekł krótko — nieszczęśliwa...

— Lecz—czy by coś na poprawę jój losu, dla... uczynienia go znosijszym nie można przedsięwziąć

Plebani głową potrząsł, patrzył ciągle na nieznajomą, przysłuchiwał się jój głosowi i dumał.

—Któż ona jest? niespokojnie dodała przybyła, WP dobr. wiedzieć o tém musisz?

Kończyła, gdy wikary ukazał się w progu i skinął na proboszcza, mówiąc półgłosem.

— Pan Skórski przyjechał, i chciałby się widzieć.

Słowa te były wymówione tak, że je przybyła usłyszeć musiała; zerwała się z siedzenia, konwulsyjnym ręki ruchem narzuciła gęsty wola na oczy, i cała drżąca, jakby bezmyślnie cofnęła się wgłąb pokoju.— Proboszcz to widział.

— Poproś go aby u was na mnie zaczekał, rzekł,—pani by zapewne było przykrém, spotykać się tu z nieznanymi...

Nieuspokojona tém jeszcze kobieta, stała w oknie kryjąc twarz.

— Niechcę przeszkadzać — odezwała się.

— Proszę pani siadać, pan Skórski poczeka na mnie... u ks. wikarego...

Znikł ks. wikary, drzwi się zamknęły i podróżna wróciła ku swemu krześłu. Proboszcz ciągle się w nią wpatrywał, choć już nie zdjął zasłony i uchyliła tylko nieco, aby mieć wolne usta.

— Zdaje mi się,—odezwał się głosem smutnym, żeś mnie pani pytała—kto ona jest? Przebac, starym jestem i kapłanem, wolno mi więc odpowiedzieć wam jak owieczce... jak niewieście. — Na co ta ciekawość



próżna?— Pomódz jój może tylko jeden Bóg, gdy ją z tego świata zabierze... Cóż wam potem że się dowiecie o tój, o której lepiej by ludzie zapomnieli... Ja dotąd nie wiem, ja o losach jój nie jestem uwiadomiony dokładnie... najjaśniejsze to coście widzieli na oczy własne, nieporatowany upadek...

Kobieta milczała długo, zdawała się walczyć z sobą.

— Mówiono mi że ją nazywają Cześnikówną... że ma imię Róża?— zapytała...

— Być może—odparł stary.

— Że się kryje po lasach... kończyła przybyła, lecz czyżby jój stałego przytułku znaleźć nie można?

Proboszcz popatrzył na pytającą.

— O przytułek taki nie byłoby trudno— rzekł, są litościwe serca i ludzie coby znieśli to biędaństwo dla miłości Chrystusowej, ale się ona nigdzie nie utrzyma... Wyrwie się z zamknięcia, połamie kraty, powybija drzwi, głową tłuc będzie o ściany gdy ją szal ogarnie... Potrzebuje swobody —i niech tam Bóg się nad nią ulituje;.. przerwawszy nagle dokończył stary.

Podróżna ręce załamała... wstała z krzesła, zdawało się że jakiś wyraz stanowczy miała już na ustach, lecz siadła znowu cała drżąca.

— Gdyby to się na co tój nieszczęśliwej przydać mogło,— zawołała—złożyłabym chętnie na ręce pańskie ofiarę moję dla niej... dla ulżenia jój losowi.

— A cóż ja z tём zrobię? — zapytał proboszcz... dać jój nie można nic, rozrzuci, rozda lub przepije...

Westchnął, kobieta płakać zaczęła. Czułość ta, którą zapewne niewieścięj drażliwości przypisywać musiał duchowny, nie zadziwiła go bynajmniej, czekać się na coś zdawał...

— Ale jakże do tego stanu przysła? zkad i jak dawno jest tutaj? poczęła pytać z gorączkowym pośpiechem.

— W okolicy już od lat wielu się błąka, a gdzie wprzód była—któż to wiedzieć może..?

— I zjawiała się już w takim stanie obłąkania, daruj mój ciekawości,—mówiła podróżna... nie wiem dla czego widok tego nieszczęścia takie na mnie uczynił wrażenie — jestem nióm przejęta cała...

Zmieszła się widocznie...

— W początkach nie było tak źle... błąkała się —rzekł proboszcz,

nie mówiła do nikogo, nikt od niej nie dopytał słowa... Potém rozwiązały się usta od napoju... i powiększył szal. Nie dziwuję się pani, że masz tę litość nad nią;—w istocie zasługuje na nią—jest bardzo biedna istota—bardzo biedna.

Śluchająca pochwyciła się za głowę, chustkę poniosła do oczów, widocznie tłumiła łkanie i wybuch płaczu... Jakby dłużej wytrzymać nie mogła, zerwała się nagle z siedzenia... dobytek z woreczka zwitek pieniędzy i wcisnęła go w chorą rękę proboszcza.

— Na miłość Bożą, weź to ojciec odemnie, może się zdarzy okoliczność—zręczność jaka ratowania, dopomożenia jój... błagam was...

Staruszek był wzruszony... pieniądze jednak z wolna odpychał.

— To niepotrzebne — odezwał się—znalazłyby się pieniądze gdyby niemi dla niej co uczynić można.—Nie użyję ich...

Cała ta scena miała w sobie coś tak dziwnego, jak gdyby ani proboszcz, ani przybyła wszystkiego co sobie powiedzieć mogli, wyjawić nie chcieli. — Staruszek poczynił otwarciój i wstrzymywał się, kobieta z ust prawie wyrwywające się słowa cofała... Już chciała się żegnać i odejść, gdy proboszcz rękę jój ujął i posadził w krzesło...

— Czyż myślisz żem cię nie poznał? — rzekł cicho... lata cię nie zmieniły pani moja... widzę tylko że los się wasz odmienił, że lękacie się być odgadniętą i poznaną? Lecz możecież się lękać tego, komu codziennie przy spowiedzi otwierają ludzie sumienia swoje?..

Krzyk boleśny wyrwał się z piersi kobiety, która sobie oczy zakryła.—Chciała uciekać, sił jój zabrakło... Proboszcz siedział spokojny, krzyżem ją żegnając, jakby na nią chciał zlać spokój ducha..

— Bóg z tobą! Bóg z tobą! uspokójcie się — kapłan jestem...

Kobieta rozplakawszy się, długo do słowa przyjsć nie mogła, na ostatek rzuciła się na kolana przed starcem... który zdawał się cichą szeptać modlitwę...

— Wstań, rzekł—mówmy, abym cię pocieszył jeśli można, i abym był pocieszony bólem twoim...

Ale łzy nie przestawały płynąć, i przybyła mówić nie mogła.

— Nie pytaj mnie, ojciec o losy moje, ani o nazwisko... Zmieniło się jedno i drugie... nic we mnie nie zostało z przeszłości, oprócz gorzkich wspomnień... Wydobyłam się z tego błota i upadku... lecz ona... lecz siostra moja... O Boże wszechmogący! co za obraz... co za dola...

I znowu płacz przerwał jój mowę.

— Nie będę pytał o nic — rzekł stary — mówmy o niéj; — teraz już, gdyś przyznała się do niéj, masz prawo wiedzieć tyle ile ja wiem...

Słyszałaś jego nazwisko?—dodał ciszej—o ścianę tam czeka u wikarego i nie wątpię że przyszedł jak zawsze szukać u mnie rady przeciwko niéj... Ona mu nie daje chwili spocząć... ona się na nim mści. ona dla niego tu jest do dziś dnia. — Pragnienie zemsty trzyma ją przy życiu. — Skórski chciał się wyprzedać i wynieść z okolicy, próbował się gdzieindziej osiedlić, ścigała go, znalazła, nie dała mu spoczynku... Wié on dobrze iż gdyby chciał się żenić, pójdzie do jego narzeczonej, znajdzie się u ołtarza w czasie ślubu... Wysechł i wynędzniał prześladowany tyle lat... spotyka ją wszędzie, nie śmie z domu ruszyć nogą. — Czasem jakby na myślnie zniknie ażeby go ośmielić do pokazania się na świecie... ale zaledwie wyjdzie, spotyka ją na swój drodze, wszędzie z groźbą i śmiechem... Pod oknami jego domu krąży nocami... słyszy jój głos za ogrodem... czeka nań w lesie... czyha na gościńcach...

W milczeniu słuchała z załamaniem rękami nieznajoma tego opowiadania... Gdyby nie zmrok, mógłby był proboszcz dojrzeć jój źrenice już z łez obeschłe... i palające ogniem dzikim... Zdawała się dzielić i rozumieć te nczucia siostry. .

— Ona jest obłąkaną, mówił proboszcz, gdy go nie widzi; ale odzyskuje przytomność zobaczywszy nieprzyjaciela... Z niezmierną bystrością mnié go śledzić, z przebiegłością prześladuje... złała mu życie.

— A on? — odezwała się nagle wybuchając kobiéta—nie zasłużył że on na to... ten człowiek bez serca i sumienia... Al! ojcie — nie bndź we mnie zastygłych nczuć — znajdują się one téż same co w niéj, choć je czas i oddalenie przysypały popiołami — brzydzę się tym człowiekiem, nienawidzę go...

— A odpuść nam nasze winy jako i my je odpuszczamy naszym winowajcom — przerwał spokojnie proboszcz. Bogu zostawcie sąd i zemstę... Człowiek ten odpokutował za grzechy.

— Nigdy dosyć! nie! on nie mógł pokutować, bo w tém sercu skruchy nie było... Ja go znam z tamtych czasów młodości, znam go z innych i późniejszych rozgłosu — i dziwuję się tylko jednéj rzeczy, że się dotąd wahał pozbyć tak swojej ofiary, jak, jak...



Nie domówiła słów ostatnich.

Ksiądz rękę podniósł do góry i nakazał milczenie.

— Bóg mu daje czas do skruchy i pokuty...

— To potwór nie człowiek! — odezwała się kobieta namiętnie. Tyle lat upłynęło od nieszczęść naszych, zmieniło się wszystko... ja sama poznać siebie nie mogę — on zmienić się nie mógł — ten człowiek nigdy nie miał serca...

Proboszcz znowu nakazał milczenie.

Mrok padał, kobieta poruszona wstała... zbliżyła się do ucałowania ręki staruszka...

— Ojciec—zawołała—on tu jest—ja nie chcę go spotkać...

— Nie lękaj się—wyjdę do wikarego i zatrzymam go. Bóg z tobą... Bóg z wami... Idź w pokoju...

To mówiąc otworzył drzwi, wyrzwał do sieni i stojąc na straży wypuścił przelebką kobietę, która do furtki, oglądając się po za siebie pobiegła, i nie odetchnęła aż zobaczywszy służącego, który tu czekał na nią.

Proboszcz tym czasem wytrzymałszy chwilę, zapukał do drzwi wikaryusza... a sam pospieszył do swego pokoju, i siadł w krześle, ręką zbolalą z trudnością ocierając pot z czoła... W progu ukazał się średnich lat mężczyzna, wyłysiały... którego ubranie oznajmywało zamożnego obywatela...

Typ to był do opisania trudny... Stary kawaler, który jeszcze resztki młodości utrzymać pragnął, natura silna a starzana życiem i zmęczona. Twarz pięknych i regularnych rysów, odrażała wyrazem dziwnym egoizmu, fałszu i przewrotności;—w niespokojnych oczach widać było jakby nieustanną obawę, a usta naprzekór im starały się grać obojętność i pustą wesołość;—z budowy niegdyś atletycznej została tylko skielec olbrzymi, obciągnięty skórą i wyschły... Mieszkała w nim jednak siła; i muskuły rąk wydatne, kark jakby opleciony niemi, kazały się domyślać niewyczerpanego jeszcze żywotności zapasu... Ruchy miał zręczne acz wymuszone, niby młodzieńcze i żywe, choć tak one jak wszystko w nim napiętnowane było rozmysłem, fałszem i rachubą.

Resztki włosów około łysiny i zarost można było posądzać o farbę, chociaż ta, zręcznie jakoś użyta, nie raziła. Cały ubiór wielce wykwinny, młodszym był od tego, który go nosił. Przysłałby dwudziestoletniemu

elegancikowi, śmiesznym niemal wydawał się na starym kawalerze. Gruby łańcuch złoty u zegarka, pierścienie na palcach, laska z gałką wyłazlaną, małeńki kapelusik słomkowy z wstążką czarną, dopełniały stroju. Nie miłe czynił wrażenie pan Skórski, choć wdzięczył się wielce, i do proboszcza zbliżył się z taką wymuszoną grzecznością, uniżonością, pokorą, iżby go za najczulszą w świecie istotę wziąć było można, ktohy go nie znał.

Staruszek widać znał go dawno i dobrze, bo zimno przyjął i na powitanie natarczywe, odpowiedział ruchem ręki wskazując obok stojące krzesło, które przed chwilą zajmowała nieznajoma.

Stary kawaler usiadł, pochylając się ku proboszczowi.

— Mój Boże, — zawołał — a jegomość dobrodziej zawsze widzę cierpiący... Na te reumatyzmy niema jak wody. Do Karlsbadu, do Toeplitz lub Tenczyzna.

— Gdzie mi się tam włączyć na starość! — odparł proboszcz.

— Przytém i lato a słońce pomaga wiele, byle ciepła nadeszły.

Rozśmiał się w tém pan Skórski, i zmienił rozmowę.

— A dla tego ojciec dobrodziej wieczorkami sam na sam jakieś wędrujące jejmoście przyjmuje...

Nieszczególny ten żarcik nie zasługiwał na odpowiedź, ksiądz zmilczał.

— Cóż to pana do nas sprowadziło? — odezwał się po chwili — boć to wpan nie częstym gościem tutaj... i w kościele go widzę rzadko...

Skórski się obejrzał i z krzesłem przysunął.

— Ojciec dobrodzieju, — szepnął, — znasz najlepiej moje nieszczęśliwe położenie... ja dla téj baby przekłętéj, wariatki, nosa z domu wytknąć nie mogę. Pod strachem Bożym kiedy niekiedy wyjadę i to... ot jak dziś... o mało biedy nie napytałem...

Proboszcz milczał długo.

— Uderz się w piersi, — rzekł w ostatku, — a powiedz czyś nie zasłużył na to?

— A! dalipan nie gorszy byłem i jestem od drugich, — zawołał głosem zawsze stłumionym pan Skórski. — Za grzechy młodości, i to tam takie głupstwo, całe życie pokutować... Słowo daję, to za wiele. Cóż to? może się jednemu trafiło?.. Młodość.. krewkość... zwyczajne...

Na nieszczęście bardzo to są zwyczajne sprawy, — odezwał się staruszek, — a jednak inaczej się one przedstawiają niż w tym wypadku...

Przypomnij sobie waćpan, co masz na sumieniu... Serce czasem pociągnie człowieka, Bóg słabość przebaczy, ale rozpusty... trudno.

— Albow to ja, — oburzając począł gość, — rozpustniejszym był niż inni?

— Dajmy temn pokój... rachuj się sobie z sumieniem, — rzekł stary, — to nie moja rzecz.

— Właśnie żem miał czas tu rachunek robić i przerabiać, a winy tak wielkiej w sobie nie znajduję, za jaką nielitościwie karany jestem... I dziś tu w rynku, cudem tylko uniknąłem awantury, ta czarownica, pijaczka znown się zjawiła. Nareszcie mi ten wieczny postrach obrzydł, nie mogę już wytrzymać dłużej. Każę ją zamknąć, zapłacę co zechcą. Jawna i oczéwista waryatka. Możesz to być, aby się jój dano włóczyć po gościńcach, i ludzi spokojnych napadać? Ja życia godziny nie jestem pewny. Bylbym się razy nie wiem wiele mógł ożenić... Szatan ten albo mi zawsze potrafił przeszkodzić, albo mnie strachem odegnał od ołtarza. Raz się to przecież skończyć musi. Dostyć już tego.

Poruszony wstał pan Skórski, i począł przechadzać się po pokoju. Ksiądz patrzył nań nie mówiąc słowa.

— Zapłacę za utrzymanie, za podróż, niech ją wezmą i zamkną...

— I tém uspokoisz sumienie? — spytał proboszcz.

— Moje sumienie spokojne! ja nic na sumieniu nie mam! — odwracając się przerwał Skórski, — odpokutowałem z nawiązką!!

Zburzony był widocznie, ale wkrótce się miarkować zaczął.

— Właśnie, — rzekł łagodniej, — przyszedłem światłej rady ojca dobrodzieja zasięgnąć, i prosić o jego opiekę o poświadczenie, że to niewyleczona waryatka... Zaświadczą mi to też wszyscy...

— Mój panie Michale, — przerwał proboszcz łagodnie, — ja bym ci tego nie życzył. Jeszcze raz mówię uderz się w piersi, pokutę straszną prawda i długą odbywasz, aleś zawinił. Daj téj nieszczęśliwej skończyć życie na swobodzie. Wiesz jak ją zamykanie do wściekłości pobudza. Szał jój odchodzi... Nielepij żebyś na czas się ztąd oddalił, wyjechał... Ona nie pożyje długo. Dla ciebie świat otwarty... a tu w sąsiedztwie i tak ci nie bardzo wygodnie.

— Z kraju się oddalić nie mogę, — chmurno rzekł Skórski, — nie chcę, a u nas gdziebykolwiek się przeniósł, jestem pewny, że mnie znajdzie. Jakim sposobem, jakim cudem ten szatan tropy moje śledzi, to przechodzi pojęcie... Prokowałem przecie... ale już tego dosyć... —



zawołał rozpaczliwie stary kawaler, — życie całe zmarnowałem. Starzeję..... męcę się... muszę temu koniec położyć.

— Jedną tylko uwagę mógłbym wam uczynić, — odpowiedział starszek. Ta kobieta wprawdzie ma chwile szału, ale gdy chce, umie być spokojną i przytomną. Jeżeli ją oddacie pod klucz, a kraty wyłamać nie potrafi, mogłoby co innego nastąpić. Mogłaby wyśpiewać co nieporzebnego i pociągnięto by was do odpowiedzialności... Przypuszczam, że to co ona plecie są bajki, ale mogą się do nich niechętni ludzie przyczepić.

Ta uwaga oddziaływała dziwnie na Skórskiego, skrzywiły mu się usta, potarł czoło, westchnął.

— Radzi się sumienia, — dokończył.

— To piekło istne! piekło! — zgrzytając zębami mruknął Skórski, — niema wyjścia z tego, chyba śmierć. Już mi życie obrzydło.

Organista wchodzący z kluczami, przerwał tę rozmowę, i Skórski pochodziwszy po pokoju, wdział zwolna rękawiczki, zapiał surdut, a nie mówiąc już nic, zbliżył się z pożegnaniem do proboszcza, który go tak chłodno się pozbył jak przywitał.

Wyszedł zadumany z probostwa na rynek, z którego już ostatnie wozy odjeżdżały, wioząc śpiewających i podochoconych parobczaków i gospodynie, troskliwie piastujące garnki kupione i sita.

Z niektórych karczem odzywały się jeszcze głosy biesiadujących, a dzwon kościelny cichym dźwiękiem, powolnym wołał na Anioł Pański. Na niebie kilka białych gwiazdek mrugało...

---

Noc była wiosenna jeszcze, od dnia piękniejsza kwiaty na nią zachowały wszystkie wonie swoje — dzikie ptastwo śpiewało w łożach i błotach nad rzeczką, tysiącem głosów sprzecznych, które w dziwną harmonję pieśni się spletały. Słowiki już próbowały swych tryłów... życie zdawało się mieszać w całej téj rozbudzającej się naturze. Szeleściąco w gałęziach drzew obwieszonych gniazdami..... roło się pod stopami, pełne go było powietrze, woda, ziemia. A choć już noc zapadła i ludzie powinni byli spocząć, ludzkie się rozmarzone pieśni rozlegały się w okolicy, wśród tententu koni i wozów powracających z jarmarku. Któż nie zna téj nuty ludowej, co nawet gdy wesołą być pragnie, smutną być mu-



si? Z łona nocy i pół przezroczystych ciemności wiosennego jój zmroku, dobywał się czasem taki śpiew daleki, tęskny, smętny, łzawy i konał z wiatru lekkim szumem, który przeleciawszy po gałęziach jak duchów orszak niewidzialny, rozbił się gdzieś w powietrznych szlakach. Na niebiosach nie było księżyca lecz się iskrzyły gwiazdami, żadna chmurka zabłąkana nie bielala na zczerniałych lazurach. Czasami tylko ogień się zapalał na krańcach nieba. Łańcuchem złotym spadał po sklepieniu — i gasł gdzieś za górami i lasami...

W miasteczku wszystkie okna gospód i chat czerwonymi blaski gorzały, mało kto zasnął wcześniej... gwarzył jeszcze jarmark wszędzie.

Przed wrotami gospody w końcu miasteczka stał pan Skórski, jakby wyczekując ciemności. Palil cygaro, puszczał dym wielkimi kłębam, to znowu dając zagasać w zamyśleniu. Koń jego czekał osiodłany, lubił bowiem jeździć sam, może dla tego, aby ludzi napaści, których się zawsze spodziewał, nie czynić świadkami. Godzina zdawała mu się właściwą, poszedł więc po swego siwka do stajni i dosiadłszy go z ręczniami, stępią wyjechał powoli z gospody.

Koń znający dobrze drogę do domu, sam go prowadził. Był to wierzchowiec do pana swego i jego przejażdżek nawykły, rzadkiej zmysłowości, nóg pewnych, na którego siły i rozum zupełnie się spuścić było można. Bywał tylko czasami nieco pierzchliwy, ale Skórski siedział jak wkuty, a skokn choćby najostrożniejszego wcale się nie lękał. Ciągnął więc tak nlicą miasteczka, wśród której siwy się doskonale, wiosenne wymijając kałuże, kierował. Za ostatnimi domami zaczynała się grobelka przez błota, osadzona wierzbami, na której połowie stał młynek warczący już zdaleka. Wprawo i lewo pokrzywione i poobcinane, pogięte i ponachylane stały owe wierzby stare, poczarne, które po nocy podobne były do jakichś karłów i cieniów dziwacznych. Wyobraźnia mogła z nich łatwo tworzyć zjawiska nocne... i koń też uszami strzygł a chrapał, mijając je ostrożnie, jakby się w każdej z nich jakiegoś obawiał widma...

Skórski klepał go po szyi nawykły do podobnych oznak humoru, zwłaszcza w nocy. Przez mostek na grobelce przejechał szczęśliwie, i minawszy zawady, a wydostawszy się w pole, koniowi cngle puścił wolniej. Droga wiodła ku lasom przez piaszczyste role mieszczań, wijąc się fantastycznie. Gdzie niegdzie czarny krzyż stary obwieszony płach-

tami, schylał się nad drożyną, to nastrzępiony krzak dzikiéj róży z rowu wyglądał; i znowu siwy chrapał, a boczył się i nastawiał groźnie.

Skórski znajdował go tego dnia nad wszelki zwyczaj niespokojnym, i przypisywał to długiemu staniu w stajni, wśród jarmarcznych gwarów.

Za polami czerniały lasy, których część przebywać było potrzeba, ażeby się dostać do Brończéj. Tu gościniec wybity był szeroko, wozami wsi okolicznych; ale dokoła jego, w prawo i lewo, objażdżki mnogie porobione czasu błota i grzęzawicy, stały koniowi do wyboru. Siwy znał się téż z niemi doskonale, i kierował się instynktem, który wśród ciemniejszéj już w lesie nocy, wielce był potrzebnym. Piaszczysty gościniec zostawiwszy w lewo, koń i jeździec puścili się drożyną wśród gąszczu z leszczyn, kaliny i młodych dąbczaków złożonéj. Las szumiał z cicha nad ich głowami gałęzmi sosen, dębów, osiczyzny i brzozy. Zmieszana woń sosen i rozpękających liści, przepelniała powietrze... Tu wiatr, który się niekiedy dał czuć na błoniach, nie dochodził wcale; szarą ciszą ogarnięty bór drzemał... i ptastwa w nim nawet słyhać nie było.

Cichość ta i ciemność przykre robiły wrażenie na podróżnym... Niekiedy sucha gałąź spadająca gdzieś w gestwinie zaszeleściła, a koń i jeździec drgali niewytłumaczoną trwogą. Skórski rad był siwego namówić do prędszego chodu, lecz koń siwy chrapał i szedł powoli, ciągle strzyżąc uszami i głowę niosąc do góry. Na gościńcu, który o téj godzinie mógł jeszcze być ożywionym powracającemi z miasteczka, niko go słyhać nie było. Tego się niespodziewał Skórski, i cisza leśna coraz przykrzejszą mu się stawała. Szczęściem las nie potrzebował nad dobre pół godziny stępią do przebycia.

W połowie jego mała polanka na rozstaju, z krzyżem starym, dzieliła młodsze zarośla od dębiny, rzadko na nizinach rozrzuconéj.

Zbliżał się ku niéj Skórski i, chcąc ją przebyć kłusem, ściągnął koniowi cugle, gdy nagle uczuł się pochwyconym za nogę, i ujrzał przed sobą dziwną jakąś postać, która ręką drugą konia za uzdę porwała... Wmgnieniu oka podniósł szpicrut, chcąc nim uderzyć napastnika, gdy siwy spał się, rzucił, a Skórski, którego suknię silna dłoń ciągnęła, obalony został na ziemię.

Koń parsknął, strząsnął się i w cwał, swobodny, pobiegł do domu... Tentent jego chwilę tylko słyhać było.

Padając jeździec, uderzył się głową o pień starego dębu, błysnęło mu w oczach i zdoławszy ledwie słaby krzyk wydać—utracił przyto-

imność...—Jakby echem, powtórzył się krzyk ten drugim głosem stojącej obok postaci, która ze śmiechem okrutnym rzuciła się ku leżącemu na ziemię.

W ciemności, machinalnie ręka napastnika szukała gardła leżącej na ziemi ofiary, drżąc suwała się po głowie i palcami ucisnęła szyję... Milczenie Skórskiego i martwość leżącego na ziemi ciała, wstrzymała nagle zabójcę. Ciemno było wśród zarośli dokoła. Napastnik ukląkł przy leżącym, pochylił się, przyłożył nęcho do ust jego, z których tylko chrapliwy oddech go doszedł, i wstrzymał się od łatwego dobiecia. Jeszcze raz starał się dosłyszć oddychanie, ręką powiódł po głowie... z której ciepła krew się sączyła... Uczuwszy ją na dłoni... wstał nagle wstrząsając ze wstrętem, jakby chciał pozbyć się jej co prędzej.

Z sukni począł szybko dobywać coś, aby ogień i światło zrobić—ale wśród powyrzucanych szmat nie znalazły się zapalki. W tej chwili głosy powracających z targu ludzi słyszcć się dały niedaleko. Napastnik zawołał:

— Bywaj! bywaj tu! trup leży! trup!!

Przestraszeni wieśniacy zrazu umilkli, krzyk się powtórzył; śmielszych dwu przedarło się przez krzaki, ale nie dojrzcć nie mogli. Jeden z nich dopiero o krok przypadłszy do stojącego widma—zawołał:

— A to Cześnikówna...

— Ja sama... Róża—Różyeczka! do nęng! — odpowiedziała kobięta jakimś głosem pomniejszanym... A no tu leży trup! trup!.. a z głowy mu płynie czerwona krew, krew... Ognia zróbcie, ognia... Trzeba go dobić, żeby się biędaczyśko nie męczyło...

Wieśniacy dojrzelili leżącego z głową o pień rozbity Skórskiego. Jeden pochyliwszy się, krzyknął poznawszy go...

— A to Skórski z Brończój? cóż mu się stało?..

— He?—odparła zimno kobięta, ocierając wciąż rękę o trawę — jechał sobie na koniku pan, pan... a po ciemku jechać niebezpieczno... konik bryknął, panicz spadł i stłókł sobie główkę... Oj biędota!...

I śmiała się dziko.

Wieśniacy tymczasem co prędzej ogień niecię starali się, i jedynym z nich nakoniec się udało zapalić kupkę suchych gałęzi, i przeszlórocznych liści.

Płomyk wybijający się z gęstego dymu, który powlókł się ku leżącemu na ziemi, oświecił dziwną tę scenę nocną. Pod omszonym pnem



starego dębu leżał wyciągnięty Skórski, z głową zwieszoną na piersi, z której krew jeszcze się lała... twarz miał bladą i usta wykrzywione—konwulsyjnie zaciśnięte dłonie jakby do obrony od nieprzyjaciela były przygotowane... Tuż przy nim stała Cześnikówna z powiedlą resztką łatoci w rozrzuconych włosach, na pół chustką nową osłonią, z wyrazem dzikim radości jakiśś i szalu na twarzy...

Skórski żył jeszcze, ale potrzebował co najrychlejszego ratunku. Wieśniacy zaraz się wzięli do podzwignięcia go, związania głowy, zata-mowania krwi i ocucenia z omdlenia. Nie odzyskał jednak przytomności.

Cześnikówna patrzyła ciekawie zdaleka, milcząco; nagle ujęła obu rękami za suknię, podniosła głowę i gdy go złożono nicopodał na trawie,—ruszyła się do swego tańca ze śpiewem. Wieśniacy ani śmieli ani mogli ją odpędzić. Biegła w kółko leżącego coraz żywiej, coraz żywiej, coraz śpiewając głośniej... i straciwszy wreszcie siły, padła na kolana klaszcząc w dłonie.

Zajrzała w bladą twarz leżącego, pokazując mu pięści.

— A co, kochanie! a co? skończyło się! Przyszła kryśka na Matyska... Leży kawaler na trawie, na trawie, a z głowy życie płynie—pły-nie... a różyczka nad nim siedzi i nie płacze... śmieje się! śmieje! klaszcze w dłonie... Skończyło się wszystko, skończyło... kochanie, zdradzanie, wesele i smutek.... Zimny leży pan na ziemi chłodnej... a tn wiosna rozkwita, wejdzie jutro słońeczko, oświeci wykopaną mogiłę... Skończyło się, skończyło—jakby życia nie było...

Zawodziła tak pół mówiąc, pół niby śpiwając; aż nagle umilkła, wyciągnęła rękę do ciała, ściśniętą pięścią uderzyła w pierś i serce. Ludzie odepchnąć ją chcieli, porwała się na nogi i stanęła zdala.

— Precz hołota! to mój trup! to mój kochanek... słyszycie. Ja tu nad nim pani... ja! — Dół mn wykopię sama, ściągnę go i położę i zasypię, i zaśpiwam nad głową.—Dobranoc! dobranoc! Dygnęła...

Włościanie z zabobonnym strachem przysłuchiwali się tej mowie, której połowy pochwyć ani zrozumieć nie mogli. Trzeba było coś radzić, gdyż Skórski żył i oddychał. Nieopodał stał wóz, szczególnym trafem należący do wójta z Brończy, umyślili więc włożyć go nań i wieść powoli do dworu. Lecz gdy ciało podnosili, Cześnikówna rzuciła się ku nim, jakby im odebrać chciała; musiano ją odepchnąć...

Pogroziwszy ludziom, opamiętała się, że przeciw nim jedna nieda sobie rady—igdy Skórskiego podniesiono, poszła o kilka kroków za ni-



mi. Nie mówiła już nic... Złożono omdlałego na wozie. Cześnikówna stanęła obok, ruszyły z wolna konie, poczęła iść za nimi. Żaden z włościan nie śmiał obłąkaną odegnać.

Dopiero gdy z lasu wyjeżdżać mieli, Cześnikówna zatrzymała się, stanęła i rozśmiała. Rękę przyłożyła do ust, posyłając od nich całus ku wozowi.

— Bądź mi zdrów! kochanie moje... kochanie... Jak we dzwony zadzwonią i trumnę poprowadzą, znajdę się ja za nią... paciorek ci zmówię taki jakiegoś wart i nie zejść z mogiły, nie zejść.—Będę na niej dzień i noc siedziała... wierna twoja kochanka... aż i mnie obok ciebie pogrzebią... albo głodne psy zjedzą... Skończyło się... dobra noc!... Skończyło...

I znikła biegnąc w las, a śmiech jej tylko dziki długo jeszcze w uszach przerażonych włościan się rozlegał.

Nazajutrz rano przybiegł posłaniec do miasteczka na probostwo. Staruszek pacierze odmawiał, siedząc w krześle skulony.

— A zkąd?

— Z Brończęj.

— Z czém...

— Z biędą, dobrodzieju! westchnął chłopak. Wczoraj pan nocą powracając z miasteczka, miał przypadek... Koń go zrzucił i o dąb rozbił głowę; przywieźli tam doktora, ledwie trochę odzyskał przytomności... chce się spowiadać.

— Co? jak?—porywając się z krzesła, zawołał proboszcz — wczoraj! on! co tak dobrze jeździł.

— I koń, proszę dobrodzieja, taki co go znał, co się nigdy nie utknął... To niepojęta rzecz. Gdzie jemu było z konia padać! Dopust Boży!

Usłyszawszy ten wyraz bezmyślnie powiedziany, staruszek się zadumał.

— Poproście mi wikarego—a ja sam do niego jechać muszę, co będzie to będzie.

A tuż i ks. wikary coś zasłyszawszy wpadł niewołany.

— Co ja się dowiaduję... Pan Skórski.

— Mój dobry księże Felicyanie, każ mi bryczkę wysłać — jadę tam...

— Jakim sposobem... Jegomość nie możesz?

-- Ale muszę.... westchnął staruszek... idzie o duszę człowieka — cóż w porównaniu z nią nędzne moje ciało... Każcie mi wysłać bryczkę... pojedę.

Ze staruszkiew w takich razach nie było można się sprzeczać, był uparty gdy co postanowił. Kazał się więc organiście i chłopcom podsadzić i pół leżąc, pół siedząc pojechał do Brończój.

Przed dworem zawołano sługi aby proboszcza drogą złamanego znieśli. — W ganku ledwie jako tako nogi wyprostowawszy, poszedł, modlitewkę szepcząc, do sypialni.

Skórski z głową obwiązana i obłożoną leżał na pościeli, podnieść się nie mógł, bo natychmiast porywały go nudności, znak utraśnięcia mózgu. Z oczów widać było gorączkę. Lecz ta owładывała nim tylko chwilami — wśród niej przychodziły błyski przytomności. Przy nim siedział stary doktor trzymając go za puls;.. gdy ksiądz wszedł, powstał na palcach.

— Mój ojcze, rzekł kłaniając się, nie wiem czy tu na teraz możecie mu być pomocni, przytomność przychodzi niekiedy ale i odchodzi też prędko. Męczyć mu się nie można. Spoczynek najpotrzebniejszy.

— Cóż mu jest?

— Fraszka że głowa szkaradnie rozbita,—szepnął lekarz, gorzej że mózg silnie wstrząśnięty uderzeniem... Jeśli z tego wyjdzie, będzie to wielkiem szczęściem...

Gdy tak rozmawiali, w pośrodku wielkiego pokoju pocichu, Skórski oczy otworzył, spostrzegł księdza, i coś zaczął prędko mówić a niewyraźnie—ręką niecierpliwie wskazując krzesło przy sobie... Proboszcz siadł przy nim.

Naówczas chory, ruchem do zrozumienia łatwym, począł prosić doktora by odszedł. Zostali sami. Staruszek nie śmiał pytać.

Skórski przechylił się ku niemu.

— Wiécie, mruknął—kobieta—zemsta—zemsta... ona to... ona.

Ksiądz pomyślał że majaczy.

— Daj już tam pokój téj kobiecie... myśl o swéj duszy...

— Ściągnęła mnie z konia—to ona! nie wierzyć? tak jest...

Proboszcz zmilczał...

— Ten szatan pokoju mi nie dawał, aż mi życie wziął... Trzeba być o tém wiedzieli...

— To się wam śni — przerwał proboszcz — spocznijcie, odej-





Przy nim siedział stary doktor. (Do str. 28).





dzie to... wytrzymacie chorobę, lecz sumienie uspokoić nigdy nie jest zawezesnie. Gorączkowemi oczyma spojrzął na kapłana Skórski i rozśmiał się — śmiech ten w jego położeniu, w takim momencie miał w sobie coś przerażającego. Zdawało się że przytomność go odchodziła. Podparł się na łokcin...

— Było ich dwie — obie jak malinki śliczne. Djabeł skusił... dziewczęta jak malowane, a wesołe, a trzpioty... no! i cóż znowu tak wielkiego?.. Grzech powszedni... miałem lat może dwadzieścia... alebym był wyposażył i wydał,— i wszystkoby się zaspokoilo jak należy...

A no — Cześnikówny! — szlachcianki! Życiem trzeba płacić za te przysnaki. Cha! cha! Śliczneż bo były, cacka malowane... ząbki perłowe, usta malinowe...

— Dalbyś pokój! surowo przerwał ksiądz — co ci się tam marzy... dosyć tego!

Skórski jakby się zamyślił—potém śpićwać zaczął półgłosem...

Kochanie moje, kochanie...

Czegoś tak smutna i blada?

Oczyma potoczył ku drzwiom i wskazał ręką na nie.

— Widzisz... stoi tam... szatan ten... ręką ściśniętą mi grozi i śmieje się... dłoń ma we krwi mojej zmaczaną. Jeszcze jój nie dosyć... niech się napije... dajcie jój krwi. Precz z nią... wysmagać i wygnać. to pijaczka i waryatka? kto ją tu wpuścił! precz! won!...

Nikogo nie było, proboszcz pochwycił go za ręce i, choć słaby, zmusił do położenia się na podnszkę, nadbiegł doktor... Ledwie im dwu udało się go nkołysać; oczy się zamknęły, zdrzymywał się, ale z ust jeszcze wyrwały się jakieś wyrazy niezrozumiałe...

Proboszcz widział nareszcie, że tu nie prędko pomoc jego potrzebna być może... chciał się podnieść z krzesła i odejść po cichu, gdy odwracając głowę ku oknu, postrzegł przestraszyć mogące i zdrowego człowieka zjawisko.

Do szyby dolnej przyklepioną zdawała się rozplaszczona twarz stariej kobiety, pomarszczona, wynędzniona, skrzywiona, z dwójgiem oczów czarnych rozognionych straszliwie, sypiących iskry... Po nad głowę tą ręką ściśniętą konwulsyjnie chwyciła ramę okna aby się utrzymać. Znać było że się wdrapała na podmurowanie... W chwili gdy proboszcz

chciał ją nakazującym ruchem ręki odpędzić precz, szyba naciśnięta z brzękiem pękła w kawałki, i straszliwe to, potworne widmo, głowę wychyliło na pokój—choć kawałkami szkła do krwi rozerznęło szyję...

— A co? zdechł pies? nie ma psa? dobrodzieju? zdechł? poczęła wołać głośno waryatka.

Uśpiony już Skórski porwał się jak iskrą jakąś wyrwany ze snu, spojrział, krzyknął i padł bez przytomności.

Śmiech rozległ się od okna—i głowa kobiety znikła...

Doktor załamawszy ręce krzątał się około chorego. Proboszcz natychmiast wysłał ludzi do ogrodu aby precz odpędzili kobietę, ale, mimo najściślejszego poszukiwania, nigdzie jęj znaleźć nie było można...

Zabobonna czeladź gotowa była utrzymywać, że się to tym panom przywidziało, ale stłuczona szyba świadczyła, iż Cześnikówna się tu w istocie dostała i potrafiła, ze zręcznością właściwą sobie, zbiedz od pogoni lub skryć się gdzieś w kącie taki, gdzie jęj nikt szukać nie mógł.

Przez cały ten dzień nie było najmniejszej nadziei utrzymania przy życiu p. Michała... Proboszcz pozostał przy nim, chcąc pochwycić chwilę przytomną i przejednanego z Bogiem na wielką podróż odprawić... Postawiono wszędzie strażę do koła, ażeby Cześnikówna docisnąć się znów do domu nie mogła...

Późno w noc spokojniejszy sen, obudził słabą nadzieję ocalenia. Lekarz go nie odstępował, ksiądz się modlił... Nazajutrz silna jeszcze natura przemogła, bo to innego może byłoby nieochybnie o śmierć przypawilo. Lekarz po raz pierwszy powiedział że ma choć słabą nadzieję uratowania chorego... Ale dni kilka nie powracała przytomność i podnieść się nie mógł wcale... Staruszek uspokojony powrócił na probstwo...

W miesiąc później dowiedział się, iż Skórski niewiadomo dokąd, jak się zdawało, na dłuższy czas wyjechał. W miasteczku też nie pokazała się już wcale Cześnikówna, a że i po lasach jęj nie spotkano, ktoś wieść rozpuścił, że się utopiła...

---

W historii salonów warszawskich, których sama klasyfikacja nie-małą dla ich dziejopisa przedstawiałyby trudność, nie zapisano wcale jednego z najoryginalniejszych w owych czasach. Uległ on temu ła-

twemu zapomnieniu, któremu uległy ruiny dawnych grodów, zasypana Pompeja i przez długie wieki zakryte katakumby... Są ludzie i salony, które tak przechodzą jak kwiaty;.. opadną z nich listki zabarwione na ziemię, noga przechodnia z błotem je pomiesza, łodyga zeschnie siéroca—woń rozniosą wiatry i wszystko na wieki skończone..

Salon pani Salomei był swego czasu bardzo świetny. Gospodyni, nie młoda już wdowa, jak się zdawało majętna, chociaż ani źródeł jój dochodów, ani ich doniosłości nikt nie znał—miała wszystkie przymioty jakich do funkcyi téj trudnej wymagać można. Była dowcipną, czytanną, lubiła sztuki, bawiła się namiętnie muzyką, obchodziło ją wszelkie nowe zjawisko — miała wiele pobłażania dla ludzi i wyrozumiałości dla ich błędów — nie gardziła żadnym żywiołem, który jój salon mógł chwilo-wo podnieść i uczynić pociągającym, chętnie służyła zakochanym i bro-niła do ostatka oskarżonych — o małe wykołajenia na smutnąj drodze żywota...

Nawet powierzchowność pani Salomei, którą w kołach za-jo-myh zwano pułkownikową, choć nieboszczyka jój męża równie nikt nie znał, jak majątku — nadawała się doskonale na panią takiego salo-nu. — Wiek jój był zagadką, była jeszcze ładną, już nie bardzo młodą, pełną wdzięku, troszeczkę zalotną, choć nikt, nic, nigdy zarzucić jój nie mógł. Niektórzy dawali jój lat trzydzieści kilka, drudzy o dziesięć wię-ciej. Miała tę szczególną fizyognomiją i humor że wcale nie starzała. Być może, iż rzadko pokazując się we dnie, wieczorami umiejąca obra-chować efekty światła, resztki piękności tak doskonale zachować potra-fiła...

Salon pani Salomei nie znajdował się w jedném z głównych ognisk miasta, gdzieby obszerniejsze mieszkanie bardzo drogo opłacać potrze-ba; — zajmowała dom przy niewielkiej uliczce, ale urządzony pięknie. A że od wielu lat w nim mieszkała — gospodarz zgodził się chętnie na to, by sobie lokal podług swój fantazyi ubrała. Było to więc skromne zarazem i poważne i piękne, a nadewszystko w dobrym bardzo smaku. Było w modzie mieć wolny wstęp do salonu pani pułkownikowej, która przyjmowała dwa razy na tydzień, w Niedzielę i Środy. Oprócz tego mniejsze kółka zbierały się u niój niemal codziennie, gdyż wieczorami, prawie zawsze siedziała w domu.

Wszystko co mogło do rozmowy pobudzić, nastreczyć przedmiot do rozrywki — zając przyjemnie gości — obficie tu było nagromadzone.



W większym salonie stał nietylko doskonały Pleyel ale i organek Aleksandra. W drugim był bilard wielki i mały. Na stołach leżały wszystkie dzienniki krajowe i zagraniczne znaczniejsze, mnóstwo albumów... Była szachownica dla miłośników tej gry, i jeden stolik do kart dla starych, choć pani Salomea otwarcie się przeciw nim odzywała. Gabinet dla nałogowych tytuniarzy, opatrzony był w dobre cygara...

Herbaty i wieczery choć skromne, doskonale były i starannie przygotowane. Zimą panowało w pokojach ciepło miłe, latem chłodek przyjemny. Nie dziw więc, że żaden może salon tak częściej używany nie był jak pani Salomei.

Oprócz jakiegś pani do towarzystwa, która wcale się do niczego nie mieszała, i rządziła tylko herbatą i wieczszą, — nie miała pułkownikowa nikogo zawadzającego przy sobie. — Nigdy nie zjawiali się tu ani natrętni krewni, ani kuzynowie z prowincyi, owe dysonanse i nuty fałszywe, które gdzieindziej psuć zwykły harmonią dobrze dobranego towarzystwa.

Jeden jeszcze urok pociągał ku salonowi temu, mającemu już i tak wiele wdzięku i dogodności dla dostojnych tych próżniaków, co wieczorami nie wiedzą co zrobić z sobą. Nadzwyczaj wiele małżeństw kojarzyło się pod osłoną, opieką i niewidzialną a jednak skuteczną pomocą pułkownikowej. Tu wystawiano panny na wydaniu na widok publiczny, tu się zjawiały nieszczęśliwe wdowy po zrzuconiu grubej żałoby, tu przychodził kawalerowie tęskniący do złotego jarzma, wdowcy usiłujący choć późno zrobić głupstwo, a nawet rozwódki i rozwiedzeni, istoty najnieszczęśliwsze, bo odstręczające od siebie wspomnieniami przeszłość.

Pani pułkownikowa nigdy w życiu nikogo nie swatała, nigdy się nie wdawała czynnie w sprawy serc i temperamentów — zdawała się obojętnym widzem — a jednak miała jak mówiono takie szczęście, że gdy się kim zaopiekowała tylko współczuciem, poprowadziła go szczęśliwie do ołtarza. Było w tém coś nieodgadnionego, cudownego; jakiś fatalizm czy szczęście.

Ktokolwiek podówczas na dłuższy czas zamieszkać chciał w Warszawie, tak samo jak wpisywać się musiał do resursy, tak też i prezentował się u pułkownikowej. Ona sama też dbała o to aby jej nie uchybiono...

Ani też dziwić się można, że pan Michał Skórski zjechawszy na stałe mieszkanie do stolicy, najawszy ładne piętorko, urządzone po kawalersku odnowiwszy swą garderobę u Chabon, porobiwszy znajomości



nowe z pomocą starych odświeżonych — musiał się w końcu kazać przedstawić pani Salomei.

Obrządku tego w jedną piękną środę jesienną dopełnić miał dawny towarzysz szkolny, kolega ze służby cywilnej, pan radca Fazyński; — bo w Warszawie mało kto nie jest, nie był i nie może być jakimś radcą... Radca Fazyński był jednym z prawdziwych i dobrego gatunku; młody od lat młodych, przyrosły do tutejszego bruku i pilnie zajęty swojemi obowiązkami biurowymi we dnie, wieczorami rozrywał się w resursach, teatrze i na wieczorkach. Swobodny, wdowiec bezdzietny, pan Fazyński niczem nie był krępowany; żył jak chciał — a chciał żyć tak aby uniknąć wszelkich zawikłań, kłopotów, przeszkód i t. p. Miał za prawidło do niczego się nie mieszać, od nikogo nic nie żądać i nigdy się nie unosić...

Skórski odwiedził go przybywszy. Radca go naprzód wy badał wielostronnie, czy nie miał jakich kłopotów, dziwactw, pretensyj, procesu, zaległości do odzyskiwania, potrzeby protekcyi i t. p. a przekonawszy się, że żadnym z tych defektów dotknięty nie był, chętnie mu podał rękę....

Miał gotowego wista u niego i doskonałą herbatę w dnie niezajęte innemi rozrywkami. On sam wniósł iż powinien się zaprezentować pani Salomei, opisał mu dom, wskazał spływające z nęcyszczania doń korzyści i — namówił łatwo...

— Chociaż trochę na starego kawalera wyglądasz, rzekł — ale możesz się jeszcze rozpatrzywszy ożenić. — Tu do wyboru znajdziesz co zechcesz...

— Ja chcę już pozostać wdowcem, mam bratunków jako spadkobierców, a komplikować sobie ekzystencyi drugi raz — ochoty już nie mam. Żeby mi powypadały... gdzie się już żenić...

Skórski oświadczył się z gorącą chęcią zrobienia znajomości z pulkownikową. Jednej tedy środy ubrawszy się starym, i wyglądając wcale przyzwoicie, Skórski towarzyszył przyjacielowi na pokoje pani Salomei.

Przyjęcie się tu rozpoczynało o ósmej, lecz z lepszym tonem było przybyć około dziewiątej. Tak też uczynili.

Osób zastali już kilkanaście. Piękna gospodyni, której nadzwyczaj do twarzy było w sukni czarnej, przywitała radcę nader wdzięcznym uśmiechem, a na Skórskiego rzuciwszy okiem znawczyni, posadziła go

przy sobie, grzeczną z nim wstępną rozpoczynając rozmowę. — Był to egzamin wstępny. Piękna pani umiała — bawiąc gościa, badać go niepostrzeżenie. W kilku zręcznych zwrotach dowiedziała się zaraz, że miał majątek w okolicach nadleśnych, że nie był żonatym, że dla braku zajęć jakiś czas chciał mieszkać w Warszawie... Sposobami sobie tylko wiadomymi, wypróbowała nieco charakter, ukształcenie, serce, humor — i znalazła że Skórski nie będąc salonu ozdobą, może w nim być wcale pożytecznym sprzętem.....

Udało jej się zręcznie wśród tego egzaminu zaprezentować go kilku osobom, a gdy nadeszli nowi goście, mogła już własnym siłom zostawić p. Skórskiego... Nie był to człowiek salonowy, znać na nim było długie zadawanie, rodzaj rdzy, która pada na odwykłych od towarzystwa — ale miał sobie przypomnieć swój dawny pobyt na świecie, i choć formy miał nieco przestarzałe — nie raził w salonie. Czyniło go to oryginalnym.

Panna Olimpia, osoba lat trzydziesta i kilku, niegdyś bardzo piękna, dziwnym składem okoliczności przywędła w stanie dziewiczym, rozpoczęła była zajmującą rozmowę z panem Michałem o Iłnbieszowskich, Chełmskich i Lubelskich stronach, gdzie miała krewnych i znajomych, — gdy w salonie ruch jakiś dał się uczuć, gospodyni wstała z kanapy, mężczyźni się rozstąpili i kobieta średnich lat, nosząca na warzy ślady niezwyklej piękności, majestatycznej i zręcznej postawy, ubrana niezmiernie wykwintnie — ukazała się idąc od progu...

Oczy pana Skórskiego skierowały się ku niej machinalnie; w téjże chwili jakimś wypadkiem wchodząca spojrzała w tę stronę i spotkała się z jego wzrokiem... Skórski, który miał odpowiedzieć pannie Olimpi, z ustami otwartymi skamieniał... Bładość pokryła twarz jego, rzucił się w krzesło jakby chciał uciec, i nim zdolał opanować się i do spokoju wrócić, postrzegli wszyscy iż drżał i znięszał się — jakby na widok widma lub przerażającej mary.

Kobieta wchodząca zatrzymała się na mgnienie oka, zbladła także, lecz znać nawykła do panowania nad sobą, umiała wytłumaczyć ruch niby zaplątaną suknią, którą poprawiła, — i choć twarz jej nieco była zmieniona, nie oglądając się już na nikogo, zasiadła dosyć swobodnie przy gospodyni...

Miejsce które zajęła tak blizkie Skórskiego, iż słyszał szelest grubój, jedwabnej sukni przy siadaniu. Panna Olimpia z nadzwyczaj-

ną ciekawością wpatrywała się w niego, siedział nie śmiejąc oczu podnieść... zdętwiały... Odpowiedź — którą został dłużnym, razem z pytaniem zapomnianą znać została. Powtórzyła ją naprózno panna Olimpia, Skórski nie słyszał... Rozbudził się dopiero po chwili i uczuł potrzebę wytłumaczenia się tém, że przed kilką miesiącami miał straszny przypadek, że spadł z konia — i od tego czasu cierpi gwałtowne bóle, które nagle przychodzą i przechodzą.

Czy panna Olimpia zadowolniła się tém, nie wiemy; to pewna, że go już więcej nie zabawiła rozmową i po chwili wysunęła się — a Skórski także wstał i w tłum się wniósł co prędzej...

Przybyła pani prowadziła rozmowę z gospodynią, co nie przeszkadzało jej razy kilka rzucić okiem po salonie, jakby szukała znikłego Skórskiego. Zwolna lekki rumieniec na twarz jej powrócił, i niktby się nie był domyślił, że ją ten człowiek mógł obchodzić.

Skórski tymczasem cofnął się pod opiekę radcy, który stał jakoś osamotniony, tylko co dokończywszy pobieżnej rozmowy z panią Cymińską, wdową, którą go prześladowano. Osoba była nie młoda, otyła, nie ładna ale majątna. Ludzie pletli, że się koniecznie za radcę, dla tytułu, wydać chciała.

Skórski przystąpił do niego, ujął pod rękę i poprowadził do okna.

— Mój radco — rzekł głosem w którym jakieś wzruszenie czuło było — kto jest ta pani, która teraz weszła, siedząca obok gospodyni na kanapie.

Radca przyłożył szkiełko do oka.

— Ta w koronkach, z wstążką pasową we włosach — zapytał.

— Tak jest.. tak; drżąc odparł Skórski.

— A to pani generałowa Hochwarth...

— Generałowa?...

— Tak jest; mąż jej służył podobno w wojsku pruskiem — nie wiem; potem na wschodzie...

— Niema go tu?..

— Nie postrzegam, odparł radca.

— Któż to jest? — dodał Skórski

— Mówiłem ci, generałowa Hochwarth.

— A z domu? — zapytał przybyły.

— No, nie wiem, mógłbym odpowiedzieć jak Rzewuski, dodał



śmiejąc się—bo nawet nie wiem czy z domu, czy z kąda wyszła... i nikt tego nie wie.

Ruszył ramionami.—Bardzo piękna kobieta była i jest nawet... ale smutna jakaś, pognębiona; zdaje się nieszczęśliwą i ludzie odgadują, że pożycie z mężem nie osobliwsze być musi. Hochwarth jest dziki człowiek, gbur i choć go z wielu przymiotów chwałą, w towarzystwie nieznośny...

Gdzież, tu czy gdzieindziej się z nią ożenił? zaczął Skórski.

Któż to może wiedzieć — odczywał się radca — Widzę że cię szczególnie sposobem zainteresowała... Daj pokój... nie myśl wcale o przybliżeniu się nawet do niej, mówią że wcale nie jest przystępną. Musi się męża obawiać...

I począł się śmiać radca, posadziwszy towarzysza, że na nim czarne, smutne oczy generałowej uczyły wrażenie.

— To zagadka pono i to małżeństwo, kobieta i mąż... mówił dalej. — Ja tego rodzaju zadań towarzyszkich rozwiązywać nie lubię; lecz jeśli tyś się co więcej chciał dowiedzieć, chodź, dam ci tu kogoś co wie wszystko, nawet to czego niema i nie było. Mój przyjaciel Pacierzyński...

— Ale ja ani pytać chcę, ani z moją ciekawością wydawać zawołał broniąc się Skórski — proszę cię...

— No, to chodź, a ja go będę pytał dla ciebie, nie skompromituje cię słuchanie.

Właśnie daleko stali od Pacierzyńskiego, którego radca zapoznał z przyjacielem.

— Mój prezecie, odczywał się — (Pacierzyński kiedyś raz w czémś przezydował, tytuł mu pozostał),—mój prezecie, ty co wszystko wiesz, gdybyś też mi powiedział z kąda się tu wzięła generałowa ta... i kto ona z domu...

Pacierzyński, mały, zwinny, zaschły człowieczyna, w niedostrzeżonej peruczce, artystycznie przytwierdzonej do głowy, począł odpowiedź od śmiechu.

— Rozumiem, rzekł — chcesz może mnie zawstydić tém, że nie nie wiem. Wiesz że toby mnie bolało,... że jestem ciekawy, że choruję na przenikliwość... he? nieprawdaż.

— Wszystko to być może.

— I chcesz mnie przed obcym upokorzyć—wszak tak?..



— Przypuśćmy! rzekł radca—jestem ciekawy i daję ci do rozwiązania zadanie.

Pacierzyński poglądził się po brodzie.

— Wiész co—odparł, — kilka lat widuję generałową po salonach, spotykam ją często... ciekawość moja do najwyższego stopnia jest rozbudzoną, używałem wszelkich środków dla dobadania się czegoś—wiém, muszę wyznać, mało... ale coś wiém...

Skórski pobałdl słuchając.

— Jest rzeczą prawie pewną, że generałowa występowała wprzód na jakimś teatrze. Nadzwyczajna jój piękność skusiła generała. Jest rodziców szlacheckich, ale z rodziny ubogiej... Zdaje się téż że w młodych latach ciężkie jakieś przeżyła próby, czemu uwierzyć łatwo, zważywszy jój nadzwyczajną piękność. Otóż widzisz dokończył Pacierzyński, że nie jestem tak znowu nieświadomy jak sądziłeś. Gdybym po téj nitce chciał dochodzić, gdyby mi o to chodziło, dobadałbym się może i więcej....

— Wiédz, odczuwał się radca, wskazując Pacierzyńskiego — to niebezpieczny człowiek. Żaden sędzia śledczy nie ma większego talentu do przeświadowania na wylot wskazanój ofiary. Pacierzyński ci z czoła czyta...

Skórski niezmiernie się jakoś zmieszał, choć chciał ndawać wesołego; oczy jego mimowolnie błędząc po salonie, z przerażeniem się wstrzymywały, jak przykute, na generałowej. Ciasno mu było i duszno i radby był uciec co prędzej... Szczyściem, że i pani Hochwarth podejrzliwie nikt nie śledził tego wieczora, byłby bowiem dostrzegł w niej niezwykajnego poruszenia — niepokoju, gniewu niemal, który napróżno ukryć się starała. W pół godziny potém zaczęła się skarżyć na silny ból głowy, gospodyni wyprowadziła ją do swego gabinetu i powróciła już sama... Generałowa odjechała do domu.

Skórski wolniej odetchnął, gdy się przekonał że jój już nie było. Mało kto zresztą dostrzegł nawet oddalenie to, gdyż zagadkowa ta postać nie wiele osób obchodziła. Radca tylko począł się wysmiewać z przyjaciela, iż na pół zwiędła twarzyczka mogła go zająć tak bardzo...

Ponieważ oddalać się wcześnie nie wypadało, bo gospodyni tego nie lubiła, — poszli więc z kilku innymi panami do gabinetu na cygara... Wyborne, suche Havanny stały na stolyczku, a kronika miejscowa przypisywała ich doskonałość temu, iż sama gospodyni, ale w wielkim sekre-

cie — miała podobno wonią ich się napawać. To pewna, że na białych jęj jeszcze ząbkach, nie było śladu téj ekscentryczności.

Pacierzyński, Radca, Skórski i dwóch młodzieńców wielkich nadziei, z których jeden już cały majątek stracił (co go mogło do pracy napędzić), drugi nigdy nic nie miał nad długi — składali towarzystwo. Pacierzyński był w werwie, i nikomu nie dał przyjść do słowa.

— Pytaliście się o generałową, rzekł — a czemu nie o generała... tuby dopięro było co opowiadać! He! bo tego znam i całe jego *curriculum vitae* od dzieciństwa umiem na palcach. Ojciec był jakimś urzędnikiem za rządów pruskich szczęśliwych, gdy bruki Warszawy trawa porastała. Ożenił się tu z polką, i syn pół po polsku, pół po niemiecku został wychowany. Mówią że te Hochewarty to goła jakaś szlachta nadreńska, potomkowie Raubritterów... W charakterze generała coś z tego zostało, bo to djabeł nie człowiek. Dumny, zarozumiały, fantastyk i ma coś w charakterze odstręczającego, dzikiego... Służył w wojsku pruskim, bil się gdzieś na wschodzie, podróżował po całym świecie, powiadają że pojedynków miał mnóstwo, a — po cichu nawet twierdzą, że były gorsze niż one wypadki... że generał wcale się nie wahał sprzątać ludzi gdy mu zawadzali. Jednym słowem awanturnik... ale człowiek ciekawy bardzo. Zna Indye i Chiny, bywał w Afryce, czytał wiele opowiada z wielkim zapalem, chociaż żadnym językiem nie mówi dobrze, bo mu się wszystkie pomieszały. Bądź co bądź, choćby żonę kochał, bo mówią że namiętnic do niej jest przywiązany — nieszczęśliwa to być musi kobieta. Zazdrosny jak Otello... To téż ona oczów na nikogo podnieść nie śmie...

A no, cóż! — odezwał się Pacierzyński, nie odmałowałem wam go dobrze?

— Nikt ci tego talentu nie zaprzecza, przerwał radca — ale o generałowej — przyznaj się nie wiele wiesz... Wszystko oparte na domysłach...

Prezes ręką machnął.

— A no! a no! przyjdzie może do tego że się i o niej dowiem więcej. Przyznam się że znów tak bardzo mnie ona nie zajmuje; kilka razy zbliżyć się do niej miałem zreczność. O ile jeszcze dziś piękna i pona, o tyle zimna, odpychająca, dumna dla wszystkich... nie wiem czyście się przypatrzyli jęj wzrokowi? W jęj wejrzeniu jest coś przerażającego, strasznego, jakby chęć zemsty i pragnienie krwi.

Radca się rozśmiał — Romanse!

— Śmiej się! śmiej! — mówił Pacierzyński — po mnie dreszcze chodzą, gdy na nią spojrzę, więc ci powiem: — jest coś obłąkanego w jej wzroku.

Skórski rzucił się na krzesło; spojrzano na niego, udał że się tylko poprawił na nim.

— Gdy mówi o czém — kończył prezes, nie mnié inaczéj jak z goryczą... z ironią. Pani Salomea, która jest samą dobrocią i łagodnością, powtórzyła mi trzy kilka, że czasem krótka z nią rozmowa strachem ją przejmuje. Powtarzam wyrazy pułkownikowej — powiadała mi że ta kobiéta, musiała wycierpieć nadzwyczaj wiele... jest w niej coś niewyleczonego, zbolełego, co przeraża... Wzrok niekiedy niewa jakby nieprzytomny... Jedno tylko ją rozczuła i roznamiętnia, to widok dzieci... ale to się tém tłumaczy, że ich nie miała pono i nie ma.

Skórski zerwał się nagle z krzesła i począł chodzić po pokoju, cygaro mu za preteks posłużyło. Radca zanwazał, że go już to opowiadanie zajmować przestało, że patrzył gdzieindziej i był jakby roztargniony. Pacierzyńskiego jednak, gdy raz puścił wodze sobie, nie łatwo było powstrzymać.

Skórski był struty. — Napróżno starano się gościa czémś zabawić; wrócili do salonu, mówił mało, nie podobał sobie w towarzystwie, choć tego wieczora było jak rzadko dobranie... Młody poeta deklamował wiersz, przez siebie ukuty; młody pianista o mało niepodrzucał fortepianu, za co go oklaskami okryto; jedna z pań śpiewała arię z Normy bardzo miłym głosem, — a jednakże Skórski się nudził, i rychło zniknął z horyzontu. Radca zawyrokował, że na wsi ludzie dziecują.

Gdyby kto nazajutrz z rana, po mszy rannéj u dominikanów, stanął był u kruchty i przypatrywał się wychodzącym z kościoła, byłby mimowolnym świadkiem sceny, którą tylko ubodzy, naówczas tu zgromadzeni, widzieli... dobrze jej nie mogąc zrozumieć.

Wówczas gdy się prymarya odprawiała, weszła, nieśmiałym krokiem, do przedsionka kobiéta niemłoda, której twarz zarówno jak ubiór, choć poszarpany, świadczyły, iż nie była na żebraczkę urodzoną. Rysy jej niegdyś piękne i szlachetnego wyrazu, czarne oczy ogniste, zacięte usta, choć nędza je powykrzywiała i napiętnowała — zachowały coś



z dawniej piękności, jakby przysypanej gruzami. Odzież była poszarpana, lecz niegdyś kosztowniejsza niż zwykle łachmany żebracze... Ogromną chustką, jeszcze nową ale zbloconą i zszarzaną, okrywała starannie ten strój, który nawet od zimna przejmującego nie mógł jej uchronić. Na twarzy wzruszenie, obłąkanie, smutek; — dzikie jakieś a gwałtowne uczucia wybijały się z pod przybranej maski obojętności. Kij prosty miała w ręku, pomarszczoną skórą okrytą, małą i pięknego kształtu. Znać obca tu, bojaźliwie się wcisnęła, oglądając, do kościoła... padła na kolana w krunie, pocałowała podłogę, podniosła ręce do góry, jęknęła i zaczęła się modlić. Była to pierwsza stacya, bo po niej wstała, poszła ku ławkom i tam tak samo kłęka, po raz drugi całując ziemię; naostatkiem dociągnęła się przed wielki ołtarz, i tu się krzyżem układała...

Słychać było płacz jej i głośną modlitwę... Gdy ją potem opuszcili siły, poszła pod boczny ołtarz i tam do ściany przyparta, zgarnięta całą dla zimna, drząc, przesiadywała mszą świętą.

W pierwszej ławce siedziała, na tę mszę przybyła, generałowa, którą widzieliśmy wczoraj na wieczorze pani Salomei. W początku mszy zaraz wzrok jej padł na żebraczkę;... zadrżała, przestała się modlić, i już go od niej odwrócić nie mogła. Uboga nie postrzegła zrazu że zwróciła na siebie tak pilną baczość, patrzyła na ołtarz tylko... Zapomniawszy się jednak... zmęczona, gdy i modlitw jej już do odmawiania nie stało, obłąkanym wzrokiem powiodła po kościele, i postrzegła generałową.

Oczy jej wlepione w nią zaiskrzyły się, wyprostowała się... Oslupiała patrzyła na nią długo, wreszcie jakby omamieniu się broniąc, odwróciła się nagle i znowu gorączkowo modlić zaczęła... Kilka jeszcze razy machinalnie obróciła się ku generałowej... i za każdym razem schylała ku ziemi, jakby karząc siebie za grzeszną ciekawość.

Generałowa siedziała jak wkuta w swój ławce, nie mogąc się ruszyć...

Widocznie między temi dwoma kobietami, stojącemi dziś na ostatnich, przeciwległych sobie krańcach, społecznych stopni — musiał niegdyś być jakiś stosunek — znać się musiały kochać czy nienawidzić — coś je łączyło z sobą. Z wejrzeń nie podobna było poznać, miłość czy nienawiść miały w sercu... obu im paliły się oczy, drżały usta i ręce, obie zdawały się chcieć zbliżyć i wstręt mieć a obawę spotkania... Generałowa nie mogła się ruszyć złamana, żebraczka miotła się usiłując





Sió, zawołala pólglosem — tyś Natalia... (Do str. 41).



utrzymać w miejscu, choć coś ją pędzić się zdawało ku niej. Kościół się powoli chwilowo wypróżniał... dziadek gasił świecę, bractwo miało rozpoczynać różaniec, gdy, przemagając obezwładnienie swe, generałowa wstała, zadrżała niby od dreszczu, narzuciła chustkę czarną, i chwytając się a przytrzymując ławek, zwolna, nie oglądając się już, wychodzić zaczęła z kościoła.

Żebraczka wstała też, przeżegnała się, i krokiem przyspieszonym z drugiej strony ławek pobiegła, usiłując w twarz zajrzeć generałowej. Mrok był w kościele, a zasłouka spuszczone na czoło niedozwalała dojrzeć dobrze jej rysów.

Niespokojna aby jej nie uszła, uboga zabiegła drogę, — od wnijścia padało trochę światła. Chciwie zaczęła się wpatrywać w idącą, która czując to nie podnosiła oczów... Tak doszły do kruchty, w której kilku tylko siedziało żebraków. Generałowa ręką sięgnęła do kropielnicy po wodę święconą, i w téjże chwili palce żebraczki dotknęły się jej także... ale oczów nie spuszczała z generałowej. Od progu dzienny blask wpadając już w pełni, zbladłą twarz jej oświecał, i pałające nieodgadnioném uczuciem oczy. Mimo różnicy wieku, stanu, wyrazu, dwie te twarze, które los zbliżał wypadkiem, uderzały nadwyzczajném podobieństwem rodowém. Były to jakby dwa odbicia jednych rysów: wypieszczonych dostatkiem, wyniszczonych nędzą. Generałowa teraz zdawała się wysilać na to aby zwyciężyć siebie samę—i nie podnieść oczów. Odchodziła już od kruchty ku drzwiom, gdy drżąca żebraczki ręka chwyciła jej chustkę.

— Stój, zawołała półgłosem — tyś Natalia... jam cię poznała! tak poznałabym cię w piekle nawet, w którém może obie będziemy! I rozśmiała się dziko...

W tém na bładź, oniemiałej twarzy generałowej, która osłabla o słup się oprzeć musiała, spostrzegła dwa strumienie łez, płynące cicho...

Twaz jej zmieniła się nagle, załamała ręce—z oczów zaczerwienionych trysnęły łzy, i rzuciła się ściskając ją za kolana.

— Natalio—nie odpychaj nieszczęśliwej... Natalio—czyż my sobie będziemy obce?

Generałowa jeszcze się odezwać nie mogła. Przerazona potoczyła wzrokiem dokoła, nie było nikogo oprócz zdumionych ubogich, przypatrujących się scenie dla nich nie zrozumiałej.

— Chodź za mną! odezwała się półgłosem, tu nie miejsce.



Postąpiła krokiem; żebraczka posłuszna puściła jej suknię, cofnęła się, otarła oczy, ujęła swój kij upadły na ziemię, i z wolna za nią się powlokła. We drzwiach obejrzała się jeszcze generałowa, dając jej znak oczyma aby szła za nią. Biegła prędko zrazu, ale wypadłszy w ulicę, gdy ją owiało powietrze, musiała się wstrzymać trochę, aby go do piersi zciśniętych zaczerpnąć.

Żebraczka stała w pewnym oddaleniu za nią...

Po chwili spoczynku, generałowa, zasłoniwszy twarz zupełnie, otuliwszy się okryciem, skierowała się na Podwale. Kilka razy oglądała się nieznacznie, aby obaczyć czy żebraczka idzie za nią—widziała ją idącą zawsze w tym samym oddaleniu. Tak doszły obie do bramy jednego domu, w której nie było nikogo. U wschodów stanęła generałowa, ledwie się na nogach mogąc utrzymać, i czekała. Żebraczka weszła.

— Rózo — zawołała do niej szybko, zebraawszy się na mężstwo generałowa, stój tu i czekaj aż przyślę po ciebie. Nie mogę przyjąć cię w moim domu... Mąż mójby cię zobaczył... on nic nie wie—niemogę, tu mieszkam przyjaciółka lat dziecińczych... muszę jej powiedzieć, poprosić, oznajmić... przyślę po ciebie... Zatrzymaj się chwilę...

Odwrociła się, wymówiwszy te wyrazy szybko... Żebraczka wysłuchiwała ich niema i padła na pierwszym stopniu, głowę złożonywszy na wyższym, znużona i osłabła...

Dzwonek dał się słyszeć na pierwszym piętrze, otworzyły się drzwi:—kobięta średnich lat, niegdyś piękna, której płeć zjadły jakieś kosmetyki, żółta, blada, ale twarzy ożywionej i wesołej, ubrana na wpół dziwnie bardzo, sama wyjrzała i zobaczywszy nadchodzącą, krzyknęła.

— A! to ty! sługi nie mam! wystaw sobie probuję tego nieszczęsnego stroju, który ma być wschodni! Znajdujesz mnie jakby gotującą się na maskaradę... Gdy to mówiła, mała, może dwunastoletnia, dziewczeczka, jak anioł śliczna, z rozpuszczonemi włosami blond na białe ramiona, z okrzykiem przypadła do Natalii.

Pokój, którego drzwi się otworzyły, przedstawiał obraz dziwnego nieładu. Po krzesłach i kanapach leżały różnokolorowe jakieś części ubrania... Na stole mnóstwo rysunków i książek. Wśród nich na drewnianej głowie przepyszna peruka upudrowana, zdawała się do włożenia przygotowaną.

Kobięta, która drzwi otworzyła, z wesołą twarzą nśmiechem i szczerotaniem, dziewczę, które z radością wybiegło naprzeciw generałowej,



na widok jęj twarzy — stanęły osłupiale i przełękłe. Zmienioną była, jak trup bladą i oczy miała obłąkane.

— Moja najdroższa — zawołała szybko — ratuj mnie... potrzebuję z tobą dwa słowa pomówić sam na sam... Prędczę—ginę!

Gospodyni gwałtownie pochwyciła, całując, dziewczeczkę i popchnęła ją do drugiego pokoju, drzwi zamykając za nią; a sama przypadła z załamanemi rękoma do generałowej.

— Co ci jest! ten przeklęty mąż znów!

— A, nie! dola, dola moja! odparła kobięta, padając na krzesło i głowę kładąc na stole — dola mnie prześladowe! przeszłość mnie goni. Droga moja, zlituj się, pozwól... ja muszę tu u ciebie widzić się i pomówić—z siostrą. Zobaczysz ją! to widno straszne! tę żebraczkę na pół może pijaną; — załamałe ręce.

— Gdzież ona jest? gdzie?

— Czeka u wschodów...

Gospodyni, nie pytając już o nic więcej, narzuciła ogromny płaszcz na siebie i zbiegła coperdęj.

Na widok odartęj żebraczki, na pół leżącęj na wschodach — stanęła — męztwo ją odstąpiło. Cześnikówna podniosła głowę słysząc nadchodzącą, i zaczęła szukać upuszczonego kija.

— Chodź pani za mną! zawołała głosem zmienionym gospodyni.

— A śliczna mi pani! rozśmiała się uspokojona już na chwilę żebraczka, opamiętywając się gdzie była... Dajże mi jęjmość rękę... bo nogi jak połanane...

Mimo wstrętu wyciągnęła rękę gospodyni, a żebraczka poczęła się ciągnąć zwolna, trzymając poręczy. Tak się dowlokłszy do drzwi Róża postawiła swój kij w sieniach, owinęła się chustką i zwolna wsunęła, oczyma wodząc po pokoju. Zobaczywszy generałową, stanęła naprzeciw nięj w milczeniu.

Gospodyni łatwo było się domysłć, że przytomność jęj była tu zupełnie zbyteczną; spojrzala na przyjaciółkę, skinęła, wskazując że będzie obok, i wyszła.

We drzwiach już litość ją wzięła nad nieszczęśliwą, któręj podsunęła krzesło, zrzuciwszy z niego strój jakiś.

— Siadaj pani—rzekła.

— Co! ja? na krzeselku? a tobyn wam obrzydziła je nawieki—

odparła, śmiejąc się gorzko, kobiéta. Stać nie ustoje, ale sięść nie siędę — chyba na podłodze.

Obejrzała się wkoło, zsunęła powoli na ziemię i westchnęła, spartszy na łokciu.

Zostały sam na sam z generałową, która mierzyła siostrę oczyma długo, aby rozpoznać, czy była przytomną.

Ślady odbiegłego szaleństwa widoczne były wprawdzie na zwiedłej twarzy żebraczki, lecz w téj chwili patrzyła spokojniej, i nic nie zdradzało obłąkania. Z czerwoności pijaczéj na licu zostały tylko dwie wypalone plamy ceglaste. Usta popękane zbladłe, drżały chorobliwie.

Dwie siostry mierzyły się oczyma.

Siedząca na ziemi poczyniała się uśmiechać.

— Ot tak — zawołała, uderzając się ręką po odartéj odzieży — rodzone — jedno losy, jedno winy, a sprawiedliwość dla nas nie jedna! Ja w łachmanach, ty w koronkach... ha! ha! a pies nie zdechl?!

— Wiész — dodała — myślałam żeś już z nim skończyła. W nocy ściągnęłam go z konia pod dębem, rozbil sobie czerep o pień, krew ciekła, umoczyłam w niej rękę, czuję ją do téj pory... Sądziłam, że szatan weźmie duszę, która mu się należy, ale i on jej nie zechciał. Żyje, a ja się i tu musiałam przywlec za nim.

Zamilkła, patrząc znów na płaczącą generałową.

— Rózo, odezwała się nareszcie, ociągając łyzy — widzisz mnie i zdaje ci się żeś szczęśliwą! Nie wiész com przeżyła, nie wiész jak żyję, drzę przed tym, który mnie podniósł z ziemi.. codziennemi łzami oplacam koronki swoje...

— Tośmy obie nieszczęśliwe — krzyknęła żebraczka, a ten lotr co nam obu wziął szczęście, życie zламаł, chodzi swobodny, bezkarny... i naigrawa się nędzy naszej...

— Gdzie twoje dziecko? zawołała po chwili — gdzie ono...

Generałowa zakryła oczy...

— Ja nie mam dziecka!..

— Zabił je? podchwyciła żebraczka; a cóż mu tam było jednym trupem mieć na sumieniu...

— Ja nie mam dziecka! powtórzyła, płacząc, kobiéta; o! nie mów, nie wspominaj mi o tém... mój litość nademną...

Zamilkły obie. — Żebraczka bezmyślnie palcami darła podłogę. Podniosła oczy.

— Ja się mściłam całe życie—rzekła—ale co ja mogę? czemu ty mocniejsza nadenmnie nie pomścisz się na nim za mnie i za siebie?... Przecież twój mąż;—bo masz męża... musi znać przeszłość twoję... Każ mu go zabić... zabić!...

Natafia podniosła głowę nagle.

— O, gdybym słowo rzekła — odczuwała się — nie przebaczyłyby!! nie zniósłby tego aby z moją tajemnicą w piersi chodził kto po świecie.

Zamyśliła się, brwi marszcząc dziko.

— Uczyni to — krzyknęła żebraczka — ja ci wszystko przebaczę...

— Któraż ma z nas przebaczyć? — przerwała generałowa — ja czy ty? Która z nas winna... Nie odebrałam ci jego serca, bo on nigdy nie miał go, bo dać nie mógł... Zbójca—zdradził nas obie.

— Gdybym go zobaczyła na marach — jakby sama do siebie poczęła mówić żebraczka — powróciłabym do lasu, wlaźła w głębokie dziupło, przysypała się suchymi liśćmi i zasnęła... Umarć mi nawet nie dał!...

— A mnie żyć!—wybuchnęła, wstając, generałowa.—Słuchaj, Rózo—nie mówmy o tém — dosyć — nie chcę byś się tak włóczyła... Zalewasz się i pośmiewiskiem jesteś dla ludzi....

— A no? wielka pani moja—rozśmiała się z ziemi żebraczka — cóż ty mi dasz? pałac? cztery konie? sługi? wór pieniędzy? Dobraś ty! Myślisz że po całego życia włóczędzie z cyganami i złodziejami, usiedziałabym na poduszkach, w okienku z różańcem w ręku! Ale!... mnie w izbie duszno... ja wódkę pić muszę... Pali we wnętrznościach, gdy jęj nie mam.—Wolałabym nie jeść... Jak się spiję, to mi szczęśliwe czasy śnią się, i śpię, i skaczę, i jestem różyczką różową, z wianeczkiem na głowie... a tak... tom nędzna... w łachmanach.—Spuściła głowę. — Co ty mi poradzisz? Nie — bo to przeznaczone! Tobie koronki ze łzami, mnie łachmany ze śmiechem. Diabeł—że wie, które gorsze...

Popatrzyła na siostrę, a potem w długim stojącym zwierciadle na siebie, i poczęła włosy zeszlą ręką przyglądać...

— Byłyśmy niegdyś podobne do siebie — a teraz jak wiecheć do strusiego pióra... Jaka ty jeszcze młoda, a jaka ze mnie diaboliczna straszna... A nom się nahulała po świecie...

Pokiwała głową.

— A ty?—pytała.



— Jam się męczyła tylko!—odparła cicho generałowa...

— Aleś rozum miała... Ja mój wrzuciłam do studni. Kat mi po nim, aby mnie nieustannie swędził; — nie było już czego szczędzić... to się żyło... aby prędzej do końca... O nicraz, jak w głowie zaszumiało błyskawicami i wszystko się popłatało, myślałam: będzie koniec... już się też nie zbudzę. Chłodny ranek bólem wyrwał ze snu i trzeba było iść dalej, a męczyć się znowu...

— Dokończ-że życia inaczej — odezwała się z litością Natalia — choć ukradkiem od męża znajduję grosz na twoje utrzymanie. Spocznij — ty się na nim nie pomścisz... zostaw to mnie...

— Dosyć by mnie widział że za nim chodzę w tych łachmanach—przerwała Róża — to dosyć... Przywlekłam się tu za nim... będę mu stać u progu, wypędzę go ztąd...

— Nie—zawołała Natalia — niech zostanie—na mnie kolój—daj mi go—ja lepiej potrafię...

Mówiąc to wstała cała drżąc i obie zdawały się jedném uczuciem oddychać.

— Ot tak, to ja Natalkę lubię... rozśmiała się żebraczka, czuje żeśmy rodzone... Już tylko ty dokończ com ja poczęła, a o mnie się nie frasuj. Pójdę w las... albo głód dobije, albo wilcy zjedzą, albo mróz duszę wycisnie...

Potrząsa głową.

— A co powiesz — odezwała się ze śmiechem dzikim — wilcy starych kości nie chcą ogryzać. Razem się z niemi nocą spotkała... Sześciu ich stało... oczy im się świeciły jak węgle... Nie było co robić? wzięłam się w boki i poczęłam śpiewać i tańcować? Patrzyli na mnie oczyma krwawemi patrzyli... potem zawył jeden, drugi i wyjąc w las uciekli... Już się ich teraz nie boję...

Mówiąc otarła usta ręką... obejrzała się do koła, oczyma czegoś szukając...

— Nie jadłam dwa dni, a nie piłam od wczoraj, rzekła cicho—ostatnie trzy grosze poszły juści na wódkę nie na chléb... Chlébaby było za mało, a wódki starczyło głoduś na upicie...

Generałowa usłyszawszy to pobięła do drzwi gospodyni i zapukała do nich, poszeptały z sobą w progu. Róża oczyma chciwemi ściagała wszystkie siostry ruchy, a gdy zobaczyła w jej ręku talerze i chléb... podniosła się nieco...



— Pić! zawołała, na miłosierdzie — wódki!.. co mi tam jadło! mnie wewnętrzności pali pragnienie, smoły dajcie, byle pić! pić!

Karafka z wodą stała na stoliku, pochwyciła ją generałowa, ale spójrzawszy na nią żebraczka odepchnęła,

— Ale! ale! krzyknęła — to ja i w kałuży znajdę... Umywać się nie będę... a wodybym nie przelknęła... Każ dać wódki...

Siostrze ręce opadły z politowania i zgrozy... nie umiała odpowiedzieć.

— Bo ty wielka pani! a ja stara żebraczka... rozśmiała się — nie bój się, nie bój! ja się i kwartą nie upiję, a już pić muszę...

— Nie każże mi na to patrzeć...

Zamilkła Róża wreszcie — rękę wyciągnęła po talerz, spuściła głowę i jadła posłuszna. Trwało to chwilę tylko, odsunęła talerz próżny...

— Różo — odezwała się generałowa — mówmy rozsądnie, posłuchaj mnie. — Dostyc téj włóczęgi — ja ci znajdę co trzeba na życie... W tym domu izbę ci najmie przyjaciółka moja... Siedź, spocznij... ja opatrę w co będzie potrzeba... nie zabraknie ci niczego...

Ze spuszczoną ciągle głową, słuchała żebraczka... gdy podniosłszy ją mówić zaczęła, głos miała zupełnie zmieniony — spokojniejszy, ustąpiła gorączka z którą weszła...

— Cóż? zamkniętej chyba umrzeć, — rzekła, i myślami się własnymi udusić? Cóż ja pocznę z dniami? co pocznę z godzinami?

— Będziesz się modlić.

— Tak — ja się modlę — modlę gorąco, leżę krzyżem, płacę i jęczę u ołtarzów, nie pomaga nic — nie słucha Bóg... Modlitwa idzie do Niego, a od Niego pociecha nie spływa...

— Różo moja — siostrzo moja — rozczulona poczęła generałowa — jeśliś mnie kochała kiedy — zaklinam cię, usłuchaj... daj się uratować!...

— A tak! tak! kochałyśmy się kiedyś — póki on nas nie pokochał obn, aby nas obie zwieść — od tego czasu tylko nienawiść została...

— Jam jój nie miała w sercu.

— Ja jój dziś nie mam już — odparła Róża — Bóg z tobą! Gdyby jeszcze ten pies zdechł...

Generałowa dała jój znak aby zamilkła.

— Cicho — rzekła — teraz kolój na mnie; zobaczmy.

I nie czekając odpowiedzi żebraczki, wyszła do drugiego pokoju.

Róża nkladła się na ziemi, podsunęła rękę pod głowę i usnęła natychmiast, długiem zmizeniem złamana...

W drugim pokoiku nie było nikogo. W trzecim dopiero siedziała z książką w ręku, skromnie ubrana ta sama kobieta, która drzwi otworzyła wchodzącą generałowój. Przy jej kolanach stała dziewczeczka, z rozpuszczonemi włosami, ręce wyciągając ku wchodzącą i śmiejąc się do niej z radością dziecięcą.

Generałowa pocałowała ją w główkę.

— Lizko moja—rzekła—idź.... zabaw się—ja z twoją mamą muszę coś powiedzieć długo... Nie wchodź tylko do pierwszego pokoju... tam leży kobieta... której przeszkadzać nie trzeba...

Dziecię doskonale zrozumiałwszy, rzuciło się jeszcze raz na szyję generałowój i pobiegło. Dwie przyjaciółki zostały same. Ta którąśmy przed godziną widzieli na pół ubraną, wdziała już skromną suknię czarną i wydawała się w niej lepiej, choć twarz zmęczona, oczy wpadłe głęboko, znamiona ciężkiej pracy i przebolewałych godzin, nadawały jej coś prawie męczeńskiego. Wesołość i rezygnacya kontrastem podnosiły ten wyraz utajonej boleści życia.

Generałowa, która lzy miała na oczach, nściskiem dziecka wyciśnięte, otarła je prędko, pochwyciła dłoń jej i ściskając, zawołała głosem stłumionym:

— Daruj mi, przyjaciółko, towarzyszek, siostrę moją, jeśli mi cię tak nazwać wolno — scenę dzisiejszą. Rachując na serce twe, pod dach się twój schroniłam z niedolą moją... Znasz mnie od lat wielu, od tych dni, gdyśmy razem młodą uędgę na tych deskach teatru spędziły, z których tyś dotąd nie zesza... A! i dobrześ uczyniła! Jan na innym teatrze, i własnego życia gram tragedya! Widziałaś tę żebraczkę — to siostra moja — siostra rodzona, siostra upadła aż na dno najgłębszej kałuży. Ja ją ratować muszę! Pomóż mi! Ty masz serce ludzkie, niewieście—tyś dobra...

— A! z duszy, z serca!—przerwała gwałtownie i ze łzami w głosie artystka — zrobię co każesz! Choćbym ją za własną moję siostrę nawet podawać miała—cóż mnie to zaszkodzić może—nie uie mam do stracenia, a zyszczę dobry uczynek.... Rozkazuj, droga moja..

— Dam co potrzeba na to... zaopiekuj się nią... najmij dla niej izdebkę — odzież, nakarm... zapobież, jeśli podobaa...

Tu rumieniec okrył jej twarz.

— Ona pije! ona się zapija! i szaleje pijana! — dodała ciszej.

Zamilkły obie, patrząc na siebie przerażone...

— Jakże mogła upaść tak nisko! — zapytała aktorka.

— Spytaj dlaczego i jak ja także nie upadłam z nią na równi — mówiła generalowa — nigdy ci się nie spowiadałam z losów naszych... Ten sam człowiek, który zламаł życie moje, zabił ją także... jeden los spotkał nas obie. — Ona żyła i żyje zemstą tylko, na moje teraz dopiero czas nadechodzi...

Artystka, spojrzawszy na przyjaciółkę gdy wymawiała te słowa, zdumiała się zmianą wyrazu jej twarzy. Coś dzikiego i okrutnego nagle te piękne rysy uczyniło straszacami. Ściągnęły się brwi, zsiniały usta, pobladły policzki — oddychała szybko i ciężko.

— Ale dość o tym — zakończyła — winien mi nie tylko rachunek nieszczęść moich, ale i losu dziecięcia... Odpowiedzieć za to musi... Męża użyję... raz w życiu przyda mi się dzikość tego człowieka, od której cierpiałam tyle.

— Natalio — siostró — chwytając obie jej ręce — podchwyciła aktorka — zaklinam cię — zastanów się, opamiętaj... Cierpiałas dosyć! Zemstę zostaw Mścicielowi krzywd wszystkich — daruj mu winę.

— Moję — przebaczyłabym — zawołała generalowa... ale ta jasna główka mojego dziewczęcia, które mi odebrał, które znikło... którego się pozbył, które cierpi może za grzechy moje — Al! nigdy! nigdy!...

— Tereniu moja — dokończyła — to sprawa obca tobie... ja ci oddaję siostrę — czyń co możesz... Bóg ci to nagrodzi, ja nieskończoną wdzięcznością odpłacę.

Rzuciły się sobie na szyję, płacząc...

— Chodźmy do niej — zawołała Teresa — zostawisz mi ją. Ja dziś od repetycji jestem wolną, próby nie będzie, mam dzień cały... Na gorzej są izdebki.... Dam sobie rady.... dodała wesoło. — My ludzie biedni zmuszeni się ocierać o różne istoty upadłe... umiemy zawiązywać rany i balsamować blizny. Zostaw mi ją... Za grzechy młodości, niech mi się zdaje żem mogła zostać siostrą miłosierdzia! niestety! gdybym kiedy nią istnieć być chciała, odepchnęłyby mnie ze zgrozą święte niewiasty... dowiedziawszy się żem była artystką!! Dawniej były plemiona przeklęte, dziś jeszcze są przeklęte stany...

To mówiąc, otworzyła drzwi pierwszego pokoju... weszły. Na podłogę Cześćnikówny.



dze wyciągnięta spała głęboko znużona kobieta.. Nie słyszała ich, nie poczuła, gdy stanęły nad nią.

Generałowa dobyła woreczek i położyła na stole, ścisnęła rękę przyjaciółki i skierowała się ku drzwiom.

Tu czekała ją Lizka, aby uściskiem pożegnać... Dziecię to było wychowanką panny Teresy, a nazywało ją mamą. Ludzie, nawet generałowa, nie wierząc opowiadaniu panny Teresy, posądzali ją o bliższy stosunek z dziećciem, które miało być wzięte od Dzieciątka Jezus. Ile razy panna Teresa opowiadała, jak je sobie uprosiła na wychowanie, uśmiechano się nieznacznie, udając tylko że tę bajeczkę za prawdę przyjmowano. Czuła to bardzo dobrze artystka, iż posądzoną być może, ale się przywiązała do dziewczki i niewiele ją to obchodziło.

— Mój Boże! — mawiała, śmiejąc się i całując dziecko — cóż mi to szkodzi, że mnie sobie posądzają.—Byłabym szczęśliwą, żeby to prawdą być mogło! ale i tak, któżby mi ją kochać bronił?

Kochały ją we dwie na wyścigi, bo i generałowa, ile razy ukradkiem przed mężem mogła się wybrać do przyjaciółki, bawiła się Lizką i bałamuciła ją potrosze a psuła nawet bardzo. Dziewczę dobre było, ale rozpuszczone i swawolne...

W kątku sieni zakradłszy się, Lizka przyczajona wpadła, oburącz chwytając za szyję generałową, aby ją wycałować na pożegnanie.

— Nie puszczę cię — wołała — musisz mnie też pocałować z obu stron... bo cię pewnie znowu długo widzieć nie będę... Ale pocóżes taką brudną i brzydką babę tu sprowadziła do nas..

— Bo biedna bardzo...

Dziewczę pomyślało trochę.

— Jabym jęj téż ze skarbonki groszyk dała—ale taka brudna...

Pożegnały się uściskiem. Generałowa z przestraczem spojrziała na zegarek i co żywiej pobiegła do domu.

---

P. Michał Skórski urządził się był po kawalersku, lecz jak mówił radca z szykiem. Choć nieco zardzewiał na wsi, miał wiele smaku i dobre tradycje. Żyjąc w miasteczku — powiadał — chciał życia używać. W planach było porobić przyjemnych męzkich znajomości, a może na-



wet i niewieścich. — Był wielkim zawsze wielbicielem płci pięknej, nie dla idealnego jój uroku, lecz szczególniej dla plastycznych wdzięków.

Niebardzo więc przebiegał w towarzystwie, byle było swobodne i wesołe. Od niejakiego wszakże czasu, szczególniej od ostatniej słabości i nieszczęśliwego w lesie wypadku z koniem, mniej już myślał o kobietach i zdawało się, że chciał od nich stronić nawet. Łatwe znajomości i stosunki, dawniej dlań najponętniejsze, nie nęciły wcale — zdawało się, że w lepszym towarzystwie szukać zamyslał już nie rozrywki, lecz stałszych jakichś węzłów któremiby życie bez celu mógł lepiej, niż je zaczął, dokończyć.

To postanowienie wpłynęło też pewnie na przedstawienie się w salonie pułkownikowej, o którego endownych skutkach radca mu opowiadał. Zapewniał go, że z tego salonu sześćdziesięcioletni i nieco kulawi ludzie wychodzili najszcześliwiej ożenieni z dziedziczkami wsi i kamienic.

Pierwszy ten jednak wieczór próby wcale nie odpowiedział oczekiwaniom Skórskiego. Wprawdzie począł go od znajomości z panną Olimpią, ale téj się naraził, urwawszy rozmowę — do reszty zaś dobiło go spotkanie z generałową, o której losach nie wiedział wcale.

Rozstali się byli przed laty tak, iż raczej mógł się domyśleć zupełnego upadku nieszczęśliwej, niż tak świetnego jój losu. Czuł, że w tém sercu zasiana nienawiść nie mogła zamrzeć i wygasnąć: generałowa teraz szkodzić mu i wywdzięczyć krzywdy swoje, jako kobieta — musiała. O tém nie wątpił bynajmniej. Spojrzenie jój nienawiścią i wzgardą zatrute, ścigało go powracającego do domu. Długi czas do późnej nocy myślał, co ma począć z sobą.

Chciał uciekać naprzód — lecz zdało mu się to ze wszech miar niewłaściwem. Cóżby ludzie powiedzieli i jak mógł im wytłumaczyć nagłe zniknięcie objawiwszy wprzód wszem wobec i każdemu z osobna, że przybył na stałe mieszkanie.

Rozumując w ostatku przychodził i do tego przekonania, że jakkolwiek wielkie były winy jego, generałowa powoli przejednać się może z saméj obawy, aby o przeszłości jój nie mówił nikomu.

Oprócz tego, tu w Warszawie przynajmniej czuł się zupełnie wolnym od prześladowania waryatki, o której śmierci mówiono wprawdzie, ale Skórski jeszcze temu nie dowierzał. Wyjechać zresztą zawsze czas

było, gdyby się tu pobyt okazał nieznosnym. a tymczasem należało próbować czy się go urządzić nie uda.

Generałowej mógł unikać — mógł się zbliżyć... czas zresztą musiał wskazać jak postąpić wypadnie. Uspokajając się wedle możliwości, Skórski ukolysał myśli wzburzone, lecz zupełnie spokoju odzyskać nie mógł. Chodził prześladowany widniami przeszłości, nie żeby one sumieniu jego ciążyły — lecz że się następstw obawiał.

— Fatalizm jakiś prawdziwie prześladuje mnie za te dwie głupie dziewczęta, — mówił do siebie. — Jedną ledwie się pozbył, zjawia się druga, której pewny byłem że nigdy w życiu nie zobaczę — i to jeszcze w położeniu takim, w jakim ani nie mógł marzyć ją spotkać. Zawsze z tą przedziew sobie dan rady, niż z szaloną — która mnie o mało życia nie pozbawiła. Mściwe natury obn...

Wzdychał tedy Skórski, niewiele spał, a nazajutrz, nie spuszczać się na to, co mu opowiadano o generale i o niej samej, poszedł na zwiały ostrożne. Miał tu wielu dawnych znajomych, z którymi poufale mógł mówić o salonie pułkownikowej i rzucić nieznacznie, pomiędzy dwoma pytaniami, coś o Hóchwartach... Nie mając nic do czynienia, cały dzień przewędrował po cukierniach i restauracjach, nie spotkawszy jakoś nikogo od któregoby mógł dostać języka... W końcu z nudów pociągnął na teatr.

Grano jakąś komedią tłumaczoną z francuzkiego, której siedząc w swoim krześle słuchał roztargniony. Gdy lornetką obchodził łoże dookoła — dostrzegł w jednej z nich, nie mogąc się od wzdrygnięcia powstrzymać, generałową sam na sam z mężczyzną, — który jak się łatwo mógł domyśleć, musiał być jej mężem. Nieznacznie zwrócił oczy na postać tę, zresztą godną bliższego przypatrzenia się. — Był to mężczyzna atletycznej postawy, barczysty, ogorzały na brunatno, z wąsami i hiszpanką, z czołem wytłuszczone — we fraku zapiętym na wszystkie guziki, wycmalowany orderami i rozmaitemi znaczkami jakimiś, trudnemi do wytłumaczenia. Mówiono że to były orderzy tureckie, egipskie, tmetańskie i rozmaitych tym podobnych państw i państewek wschodnich...

Generał powabnym nie był ani młodym, minę miał rębacza, żołnierza i starego wilka morskiego...

Naprzeciw niego siedząca żona spoglądała nań z obawą jakąś wiążącą, nętką, on zdawał się więcej teatrem niż nią zajęty. Kłaniał się też naokoło rozmaitym znajomym, równie ekscentrycznie jak on sam

wyglądającym. Jak wczoraj wieczór a pani Salomei, tak i dziś struła się tym widokiem, do tego stopnia, że mimo mistrzowskiej gry Żółkowskiego, wyszedł w pół przedstawienia i schronił się na górkę do Lours'a. Tu z początku niewiele osób zastał; czytał niby gazety, w istocie nie wiedząc ani co miał przed sobą, ani w jakim języku; — po teatrze dopiero młodzież stara i młoda napłynęła szumnie. Znaleźli się znajomi.

Radca także zaszedł wypadkiem — był bowiem w teatrze.

— Cożeś to wyszedł tak prędko? — zapytał — widziałem cię w krzesłach — straciłeś najpiękniejsze sceny nieporównanego Żółkowskiego.

— Duszno było w teatrze — rzekł Skórski, rozboleła mię głowa, musiałam wyjść.

— Mogłeś się dziś właśnie przypatrzeć nie tylko tej generałowej, która cię wczoraj tak zajęła, ale i jej małżonkowi... Widziałeś go!

Skórski uśmiechnął się, że nie spostrzegł, — tak mu jakoś wypadło.

— Szkoda, — rzekł radca — boć to przecie figura ciekawa. Rozbijał się na morzu nie wiem ile razy, kasały go grzechotniki, miał żółtą gorączkę — pojedynkował się za kilkudziesięciu, nosi gdzieś kule w bok — a jeszcze taki zdrowy i silny, jakby spokojnie całe życie siedział przy piecu.

Są ludzie, co utrzymują, że przyjął był wiarę muzułmańską i trzymał harem na pół z białych na pół z czarnych pań złożony... Uprząkły mi się wreszcie i poprzestał na jednej... ale za to wziął ją z teatru... Kobięty powszechnie się nad jej losem użalają.

Skórski milczał jeszcze słuchając, gdy we drzwiach ukazał się — ów wilk o którym była mowa. Znać żonę wysławszy do domu, sam przychodził się tu rozerwać. Wszystkie oczy skierowały się ku niemu z ciekawością widoczną, nie mógł się od niej powściągnąć i p. Michał.

Generał wydał mu się tu jeszcze atletyczniejszym niż wprzód i brzydszym daleko niż z daleka. Rysy twarzy miał grube, nos nieforemny, wargi odstające a pleć ciemną rumieniec krwawy jeszcze czynił brudniejszą. — W tych rysach nieforemnych jednakże było wiele wyrazu siły i przebiegłości zarazem. Można go było posądzać, że rubaszością pokrywał chytrą, z którą się wydać nie chciał.

Generał miał dosyć znajomych, witał się dokoła ze wszystkimi po żołniersku z miną wesołą, chociaż ci którym ten honor czynił, ostrożnie jakoś i nie bardzo ponętnie go przyjmowali. Znać w nich było jakby pewien wstręt i obawę. Przyszedł wreszcie do radcy, który siedział obok



Skórskiego, podał mu rękę; oczyma zdawał się pilnie śledzić P. Michała, skłopotanego wielce i widocznie nie mającego wielkiej ochoty zbliżyć się, ani poznawać z Hochwarthem.

Przypadek to był zapewne, że generał rozpoczynawszy z radcą rozmowę, obejrzał się i przysunąwszy sobie krzesło do tego stolika, przy którym ci panowie siedzieli, kazał tu przynieść grok żądany.

— Nie cierpię teatru — rzekł — człowiek się dusi w tej atmosferze gorącej, pełnej obrzydliwych wyziewów i przypłaca wątpliwą przyjemność widowiska, droższém nad wszystko zdrowiem... Ja muszę zawsze odchorować każdy taki wieczór, ale dla żony trudno tego nie uczynić. — Ją to bawi.

W ciągu kilku podobnych frazesów zamienionych z radcą, Skórski się wcale nie odzywał i siedział nieco na bok usunięty. Po chwili generał spytał po cichu Fazyńskiego o jego towarzysza i dowiedziawszy się kto był, prosił aby go z nim zapoznał. Nie mógł mu tego odmówić radca... Skórski pochwycony niespodzianie tą niemną mu wcale znajomością, chciał się uklonić zdala, ale generał podał rękę i ująwszy dłoń jego, ścisnął ją tak serdecznie, iż Skórski o mało nie krzyknął. Siedli potem. Generał był w doskonałym humorze... Począł Skórskiego dopytywać z kąd przybywa, co w mieście robić myśli, jak długo zabawi.

— Prawdziwie że na to pytanie, jeszcze stanowczobym odpowiedzieć nie umiał, rzekł Skórski — zależy to od tego jak mi w mieście będzie...

— Nie wątpię że sobie pan upodobasz pobyt w niém, rzekł generał—bo dla człowieka ucywilizowanego jest tylko dwa sposoby znośnego spędzania tego co się życiem zowie — miasto albo pustynia, spoczynek lub walka. Starzejąc mniéj się pragnie walki z krokodyłami, węzami, bawołami i indyanami...

Skórski podszywszy się w niebardzo rozmownego człowieka, słuchał i milczał. Pot mu występował na czoło... Zmieszany był bardzo i pocieszał się tém tylko, że trzymając się zimno, na uboczu, nie będzie w żadnym obowiązku dalszego rozwijania znajomości i stosunków z generałem, oddawania mu wizyty i t. p. Jakby na przekór temu postanowieniu Hochwarth ciągle się ku niemu zwracał z rozmową, był nadzwyczaj uprzejmy i żarcikami podsycał ciężko się wlokącą wymianę myśli. Radca, który się nie dorozumiewał dla czego Skórski nie miał chcieć zawiązać stosunków z tak ciekawą osobistością, zbliżał ich o ile

możności. Tak męcząc się blisko godzinę przesiadeli razem, słuchając opowiadań awanturnika, często zakrawających na myśliwskie historie nieprawdopodobieństw i przesadą. Naostatek generał wstał, obu podał rękę i pożegnał ich, spojrzawszy na zegarek.

— Otóż masz czegoś sobie życzył, szczęśliwy człowiecze, odezwał się po odejściu generała radca—pragnąłeś poznać tych państwa, sam ci się nastęrczył Hochwarth...

— Ale któż ci powiedział żem ja sobie tego życzył?

— Z wczorajszych pytań twych, łatwo się tego było dorozumieć—dokończył radca, jest to tém osobliwszy wypadek, że generał nie szuka nigdy znajomości, bo jest niemi obarczony.

— Ja mu téż ciężarem nie będę — odezwał się pan Michał.

— Ale go powinienes odwiedzić!

Skórski aż się wstrząsł. — Po co? na co? dosyć mam tego...

Rozeszli się późno do domu.

Następny dzień upłynął dosyć nudnie, trzeciego około dwunastój, gdy Skórski miał wychodzić, służący przyszedł oznajmując generała Hochwartha.

P. Michał pobladł. — Cóż było począć? przyjąć musiał, wyszedł nawet naprzeciw niego. Stary żołnierz z wesołą miną wtłoczył się, rubasznie witając szlachcica.

— Piérwszy do pana przychodzę, rzekł — ja tu już zasiedziały, pan dopiero przybyły, poczuwam się do obowiązku opiekowania się nim... Już mi się waszmość nie wykręcisz...

Skórski sam nie wiedział jak dziękować, a gość gdyby był chciał nieco nań zwrócić uwagę, musiałby był dostrzedz w jego twarzy takiego przerażenia i pomieszania, jakby go największe dotknęło nieszczęście.

Skórski, ledwie podawszy cygaro, na parę słów się mógł zdobyć. Nie zważał na to generał, sam mówił wiele, śmiał się jakimś śmiechem suchym i przykrym; opatrywał wszystko, zabawił dłużej niż zwykła trwać piérwsza wizyta — jakby się nasycił zadawaną męczarnią, i opuścił Skórskiego natrętnie zapraszając do swojego domu...

Odprowadziwszy go do drzwi przedpokoju, Skórski zaniechał tego dnia wyjść na miasto i padł w fotel, aby się nanyślić co miał począć. Położenie stawało się tak przykre i niebezpieczne, iż zrazu nie widział innego wyjścia nad udaną chorobę i ncieczkę. Bił się z myślami długo... wstyd, bądź co bądź, było uchodzić, nie wiedział już zresztą co dalej po-



czynać z sobą... dokąd się udać... Na tych rozważaniach, rachubach i kombinacyach, upłynęło godzin kilka... Złamany, niemal chory, p. Michał nie miał już ochoty szukać ani obiadu, ani rozrywki... Więc dla niepoznaki przed służą, niż z potrzeby, powlókł się do restauracyi. Wyglądał jak z krzyża zdjęty. Jadł obiad nie wiedząc co mu podają, dotykając ledwie potraw, ogłupiały i nieprzytomny... Ci co go znali, postrzegli łatwo że coś mu się stać musiało — zły humor złożył na ból głowy nieznosny...

Nie mógł z nim pójść już nigdzie, powrócił do domu i sam na sam z sobą wieczór przepędził a część nocy bez snu przewracał się po łóżku przychodziły mu dzikie myśli, samobójcze...

W marzeniach, które były, jak zwykle gdy człowieka trwoga i troska uciska — dalszym ciągiem tego co dręczyło na jawie — przyszło mu dopiero do głowy, ażeby odwiedziwszy w domu generalstwa nienniknione, oddać w godzinie gdy ich tam nie będzie. O téj łatwo się było dowiedzieć od służącego, zapłaciwszy za fatygę... W ten sposób mogła się przynajmniej odroczyć chwila ciężka do przebycia.

Trzeciego dnia szedł do generała. Chciał z sobą wziąć dla odwagi radcę, ale ten się obowiązkami urzędu wyniósł. Musiał iść sam.

Generał zajmował mieszkanie obszerne i piękne, lecz prawie w końcu Nowego-Swiata. Z bijącym sercem wszedł Skórski na wschody, zatrzymując się niemal co krok dla nabrania sił. Na drzwiach przybita była blaszka bronzowa z napisem bardzo prostym, niezawierającym żadnych tytułów:

#### v. Hochwarth.

Drżącą ręką chwycił Skórski za dzwonek... Chwila upłynęła, chód się dał słyszeć — służący w liberyi skromnej wyszedł. Na zapytanie o generała, odpowiedziano że go nie było. Uszczęśliwiony, odetchnąwszy swobodniej Skórski, zostawił bilet i uciekł. Zyskiwał przynajmniej na czasie.

Tegoż wieczora znalazł w domu bilecik, zapraszający go jutro na — obiad. Grzeczność była wielka — ale zabijająca. Położyć się w łóżko zdawało się jedynym środkiem... Michał całą noc znowu myślał, przemyślał i postanowił pójść; — ściągnąłby na siebie podejrzenia gdyby się wymawiał.

Naznaczoną była godzina trzecia; — Skórski tak się czuł jakoś zmieszany i zesłabłym, że po drodze idąc wstąpił do winiarni i pół bu-





Pan Michał Skórski obywatel z Lubelskiego. (Do str. 57).



telki czerwonego wina wypił duszkiem, aby sobie dodać mężstwa i siły.— W istocie poskutkowało ono o tyle, że jeszcze czuł się mniej przytomnym.— Ten sam służący w białych na ten raz rękawiczkach, otworzył mu drzwi do saloniku... przyciemnionego ciężkimi firankami u okien... Nieopodal od wnijscia stał gospodarz... na kanapie siedziała gospodyni w sukni czarnej. Nikogo więcej nie było...

Hochwarth postąpił kilka kroków na spotkanie gościa, nprzejmie bardzo go przywitał i podprowadził ku żonie, na którą Skórski spojrzeć nie miał odwagi. Głosem dobitnym przedstawił go jój.

Pan Michał Skórski, obywatel z Lubelskiego...

Natalia skłoniła się w milczeniu.

Siedli—Hochwarth zaczął rozmowę ożywioną—Skórski powoli słuchając go, przyszedł do siebie, ośmielił się, podniósł oczy i spotkał wejrzenie pani domu z zimną, okrutną obojętnością wlepione w siebie. Chłód ten obrachewany krył coś przerażającego, był groźbą, od której Skórski zadrżał. Po chwili drzwi się otwały i weszło dwóch ichmościów we frakach znać oddawna w domu tym poufale przyjmowanych, bo generał powitał ich nie wstając nawet i wskazując siedzenia. Poznał ich zaraz ze Skórskim, wymieniając nazwiska.

Jeden z nich słuszny, suchy, wyprostowany, z wąsami wyczernionymi i włosami ufarbowanymi na rudawo-brunatny kolor, zwał się kapitan Bobrski, drugi pękaty i łysy, czerwony, uśmiechający się pokornie, miał tytuł regenta, a nazwisko pocieszne Rybki.

Ci panowie wzięli na siebie podsycanie dalszej rozmowy, do której gospodyni prawie się nie mieszała. Siedziała z tym wyrazem groźnym a zimnym, jak żelazo, w oczach czarnych, ledwie po kilka słów niewyraźnych rzucając, jakby przymuszona...

Gdy oznajmiono do stołu... generał wskazał Skórskiemu żonę. Zmuszony podać jój rękę, p. Michał cały pomieszany, blady i czerwieniejący poszedł do jadalnego pokoju, szczęściem o kilka tylko kroków oddalonego. Ustąpiła była nieco obawa jaką miał w początku, lecz w ciągu rozmowy przedobiedniej pochwycone przypadkiem jakieś wejrzenia dziwne, które na siebie generał i goście jego rzucali, wzmogły ją na nowo... Zastawa stołu była przepyszna, obiad wyszukany i wytworny, wina doskonałe. Generał sam nie pił, ale goście przynaglał, zachęcał, niemal zmuszał do wypróżniania kieliszków. Skórski wymówić się nie mógł. W ciągu obiadu, posadzony przy generałowej, parę razy był zmu-



szony odezwać się do niej, i odebrał nie znaczącą, obojętną odpowiedź.

Ochłonał. Pani Natalia zdawała się bez żadnego wzruszenia widzieć go w swoim domu. Skórski zaczynał sobie mówić, że jej interesem więcej daleko niż jego było wszelkie dawne stosunki pokryć zapomnieniem. to go jakoś ośmieliło, i od połowy obiadu weselszym już być począł.

W końcu podano wino szampańskie, stary węgryz, a po przejściu do salonu, kawę i likwory... Kapitan i regent byli oba w takich humorach, że dwu ich starczyło na ożywienie towarzystwa...

Kwadrans może jeszcze zatrzymała się gospodyni domu w salonie—i znikła... Zapalono światła wcześniej, zapuszczono franki... W boczny pokój zjawił się z całym przyrządem do gry zielony stolik, karty i świece.

General natarczywie proponował wista... niepodobieństwem było odmówić. Skórski przeżywszy jak mu się zdawało Scyllę i Charybdę, zupełnie odzyskał swobodę, mowę i humor, który dobry obiad podsycał.

— Myśnny tu sobie zwykli wieczorami grywać małego wiścika—odezwał się gospodarz. Wiem od rady że i pan go grywasz chętnie — ja nie lubię dziadka. Rad jestem że siądziemy we czwórce.

Punkt był po dukacie, że wszystkiemi możliwemi szykanami.

W takiego małego wiścika, można było przegrać dwieście do trzechset czerwonych złotych jednego wieczora. Ceny téj nie spodziewał się Skórski, zmieszał się nieco, ale mu wstyd było się wymawiać.

— Przyznam się panno generałowi, rzekł — że nie zwykłem grywać tak drogo.

— Cóż za drogo! co za drogo! podchwycił Hochwarth — z gubernatorem Indyj wschodnich grywaliśmy co wieczora po funcie szterlingu... Gdy się ciągle na tę cenę gra, mała wypada różnica. Nie idzie zresztą o wygranę, ale o zabawę. Grać zaś na złotówki i ruble, nie ma wzruszenia i interesu.

— Ja nawet w przypadku gdyby mi nie służyła karta... nie miałbym przy sobie...

— Cóż znowu, przerwał, siadając, gospodarz i rozdając już karty — o to przecie nie idzie! U mnie rachunki raz w tydzień są płatne...

Regent i kapitan nie wymawiali się wcale, śmiano się delikatnie z wieśniaka, aby w nim szlachecką miłość własną obudzić... Wiścik się począł...

Osobliwszym trafem po pierwszym robrze wygranym, Skórski gdy jakoś śmielszym być począł, bo miał pięćdziesiąt punktów w zapasie — szansa zmieniła się nagle. W drugim wziął szlema. Kapitan grający z nim strzelał z zimną krwią niedarowane bąki, bił swe własne lewy, zrzucił najpotrzebniejsze kolory, słowem zdawał się nieprzytomnym. Robr ogromny wypadł i Skórski przegrał go na głowę. Ucieszył się zmieniając partnera, ale kapitan okazał się jeszcze gorszym graczem, i w dodatku klócił się zrzucając winę na milczącego Skórskiego; trzeci robr był nieszczęśliwy. W następnych trzech p. Michał spodziewał się to sprostować, miał bowiem sto kilkadziesiąt punktów przegranych. Lecz gdy komu nie idzie to nie idzie, gospodarz wygrywający dotąd i grający doskonale, z p. Michałem przegrał znowu, zrzucając winę na niego...

— Kochany panie, rzekł z dziwnym wyrazem, musisz być djable szczęśliwym do kobiet, bo w kartach nie masz szczęścia...

Kapitan i regent śmieli się, mimo przegranej nie tracąc humoru. Skórski zaczynał być milczącym. Obliczał już przegraną na dwieście kilkadziesiąt punktów i dawał sobie słowo, że więcej do takiego wista nie usiadzie. Ktokolwiek dawał karty, wypadało zawsze tak, iż p. Michał najfatalniejszą dostawał.

Była godzina dziesiąta gdy tego nieszczęśliwego wista skończyli. Skórski oświadczył, że więcej już tego dnia grać nie może, bo mu widocznie szczęście nie służy. Nie nalegano wcale. Gospodarz kapitanowi zaproponował małego sztosika dla rozegrania kilku punktów. Zaczęli we trzech grać i — choć się dawno rozegrali, ciągnęli dalej. Przystawiał ktoś zawsze. Skórski siedział i patrzył.

— No—a pan... Popróbnij że przynajmniej, zawołał gospodarz.

Postawił p. Michał kilka dukatów na kartę niechętnie — i — wygrał... Dosyć tego było aby się w nim stara żyłka obudziła. Przysunął się i rozpoczął stawiać. Szło mu zrazu nadzwyczaj szczęśliwie, i to go tak ośmieliło, iż podwajał kusze, ale szczęście znowu zmieniło się... i po pół godzinnej męczarni postrzegł że przegrana cała urosła do takich rozmiarów jakich nawet przewidywać nie mógł. Rzucił więc karty i grać przestał.

— Niezmiernie mi przykro—odezwał się generał, spoglądając na niego, że pan pierwszy raz będąc w moim domu, tak niefortunnie wyszedłeś na naszą zabawie. Ale proszę najmocniej — odegraj się pan!

Ja nie życzę sobie być wygranym tak wiele. Byłoby mi to niezmiernie przykro.. Staw pan, ja trzymam... Uczyni pan to dla mnie.. Zmienią się szanse...

Regent i kapitan zaczęli go żartami i na seryo podbudzać.

Skórski niegdyś był namiętnym graczem, namiętność, którą stłumił w sobie a przynajmniej do mniej niebezpiecznych doprowadził rozmiarów, teraz z całą gwałtownością wracała. Nie bardzo go trzeba było zapraszać nawet do odegrywania się. Summa przegrana przechodziła już zapas jaki wziął z domu.

Naglony p. Michał, aby się nie okazać tchórzem, postawił całą przegraną na jedną kartę. Generał zgodził się ją trzymać. Wszyscy pochylili się z ciekawością nieznieruchą nad ciągnącym, który powoli, jakby na tortury biorąc gościa, kartę po karcie wysuwał. Dama ta którą trzymał Skórski zaciągnęła długo — był to zły znak.

Regent i kapitan krzyknęli... — Skórski przegrał.

Tu nastąpiła długa pauza. Nieszczęśliwy stał w potach, nie wiedząc co począć.

— Staw kochany panie — ja trzymam, nie mogę pozwolić aby się to tak skończyło... Nie uwierzysz jak mi przykro! Staw, proszę...

Skórski obawiał się na jedną stawkę znowu wszystko rzucić, lecz kapitan dawał mu znaki potajemne. Regent szeptał, że gospodarz tego sobie życzy...

Stało się tedy, że postawił raz jeszcze i soniko przegrał. Nie wiedział tego z pewnością, ale mu się zdawało, że kapitan tę nieszczęśliwą kartę podsunął.

Gospodarz na stół rzucił karty z widocznym nieukontentowaniem, ocierał pot z czoła, twarz jego była chmurna i ponura... Nie mogłby inaczej wyglądać gdyby sam był przegrał...

Summa dochodziła do kilku tysięcy rubli. Skórski stał bledy jak ściana, usiłując nie pokazać po sobie co czuł i co się z nim działo.

— Nie! już dziś nie mogę ciągnąć — zawołał gospodarz do gościa. — Nie czyni pan sobie z tego nic... O pieniądzach ani myśl... Później poregulujemy te rachunki, pilnego niema nic... Zagramy wiseczką znowu kiedyś i rozegramy się, gdy ci lepsza szansa służyć będzie...

— Ale tak! tak! chórem powtórzyli kapitan i regent.

Kazano przynieść herbatę; — generałowa już się nie pokazywała.

W kilka dni po tym wieczorze pamiętnym i powtórzonych próbach



odegrania się, które mino chwilowego powodzenia, kończyły się zawsze znaczném długu powiększeniem, — Skórski winien był dwadzieścia tysięcy rubli generałowi, który się o nie nie upominał, i niby sobie z tego żartował. Zapraszał nieustannie p. Michała do siebie, pragnął mu ułatwić środki do odzyskania straty i wciągnął go tak, iż Skórski z przerażeniem widział przed sobą ruinę...

Z samą panią generałową spotykał się często ale chwilowo, a oswoiwszy się z tém widmem, uspokojony iż nie zdawało się go znać nawet — przychodził już bez obawy. wmówiwszy w siebie że przeszłość zapomnianą została...

Jakkolwiek gra ta zdawała się wcale nie obrachowaną, a wypadek jej dziełem losu, zwiększając się przegrana, coraz bardziej niepokoiła Skórskiego. Wstydził się mówić o tém komukolwiek. Nareszcie jednego wieczora wejrzenia i obroty kapitana i regenta tak jakoś zdały mu się znaczące, iż mocno przełękły pobiegł do swego przyjaciela pana radcy.

Zastał go szczęściem w domu, przy poobiednim Kuryerku i drzymce, ze zgasłym cygarem.

— Cóż ja ciebie nie widzę już! zawołał radca—co się z tobą dzieje! Generał cię zaarendował — słyszę przesiadujesz tam całe wieczory... toście się poprzyjaźnili.

Skórski ani przeczył ani potwierdzał; — siadł zdyszany spocząć obejrzał się i nie rychło odezwał do radcy...

— Powiedz ty mnie — nie słyszałeś nigdy nic o generale i jego grze w karty?

— Jakto grze w karty? on! w karty? pierwszy raz słyszę... Wista grywają u niego, więcćj nie... Coż to ma znaczyć?

— Tak, wista — odparł Skórski — nie mam się co przed tobą tać Gralem i ja u niego wista... potemeśmy się rozgrywali...

— Cóż? przegrałeś? dużoś przegrał? zapytał radca przestraszony, bo on sam nie grywał nigdy droższego nadkilkogroszowego.

— Bardzo dużo...

— Ale przecież nie tysiące?

— Tysiące — rzekł spokojnie. Generał wprawdzie pieniędzy brać nie chce, ani o nich słyszeć nawet... Każe mi się odegrywać...

— Niechże cię kaci porwą! krzyknął radca... Cóż? kilka tysięcy złotych?

— Gdzie zaś — zawstydzony cicho szepnął Skórski, — sumna do której ci się przyznać nie mogę, ależ to przecież szuler nie jest?

Radca ruszył ramionami. — Nigdy o niczem podobnem nie słyszałem. W resursie grywa grubo, szczęśliwie, to prawda, lecz nikt nigdy go nie śmiałby posądzić o grę wyrachowaną, mówiono kilka razy o znacznych przegranych.

Zamyślił się Skórski.

— To chyba gra była na żart, na kredkę i bez konsekwencji, nic innego nie przypuszczam...

— Ja także, — jednak przyznam ci się, jestem niespokojny trochę...

— Sam ci winien sobie, — zimno odezwał się przyjaciel — tak się dać unieść, zapalić.

Mogę ci tylko zaręczyć, że choć z innych względów o generale mówią bardzo różnie, nigdy nikt o grę chciwą, o szulerstwo go nie posądzał.

Skórski opowiedział ze szczegółami swoją przygodę, i wymienił kapitana Bobrskiego i regenta Rybkę.

— To mnie dziwi że oni byli do gry proszeni, odezwał się radca, bo kapitan osławiony szuler, a regent już miał z tego powodu nieprzyjemności. Za podrabiane karty zleciał raz ze schodów, i nikt z nim uczciwy nie gra...

Skórski oniemiał.

— Ale oni oba przegrywają ciągle! zawołał.

— To rzecz niezrozumiała — zakończył radca. Przegrałeś więc do gospodarza, to jeszcze nic... da ci się odegrać.

Niewiele tém pocieszony, prosząc o tajemnicę, odszedł Skórski do domu. Winawiał on spokój sam w sobie, ale go trawiła gorączka, po nocach spać nie mógł, olbrzymi ten dług leżał mu na piersiach. Prócz tego zmuszony dlań bywać w domu generała i spotykać się z twarzą Natalii chmurną i groźną, choć nigdy słowa od niej nie posłyszał przypominającego przeszłość, — doznawał niewysłowionego wrażenia jakiegoś, gdy czuł wzrok jój tylko zwrócony na siebie. Palił go on, dręczył, nękał...

Dziwnym skutkiem uroku jaki na nim wywierał było, że lekając się tego wejrzenia przebijającego jak żelazo zimne, nie mógł się wstrzymać od szukania go. Wkuty nim siedział niemy jak pod pręgierzem, niekiedy sam na siebie się gniewając, iż zwyciężyć się nie mógł, i odejść uciec nie uniał.

W domu generałowa widocznie grała rolę podrzędną, sam pan oka-

zywał jęj wielkie przed ludźmi poszanowanie, lecz nie miała woli, nie śmiała się odezwać, i stosunek małżeństwa tego między sobą, musiał być bardzo przykrym. Obcym nawet łatwo się tego było domyśleć.

Generał rozporządzał zwykle tém gdzie żona znajdować się miała, jak długo gdzie mogła zabawić. — Pytała się go o wszystko. Ton jakim mówili do siebie, mimo ndawania czułości zdradzał walkę i nieporozumienia. Natalia poddawała się z pokorą rozkazom, — lecz gdy dla oka ludzkiego generał chciał jęj dać jaki dowód miłości, z widocznym wstrętem oznaki jęj przyjmowała. Skórski to widział a raczej zgadywał...

Gdy w salonie generałowej nie było, mąż nie wspominał o nięj nigdy. Czasem na służącego zadzwonił, by spytać czy pani jest w domu, ruszył ramionami niecierpliwie dowiadując się że nie wróciła, — ale milczał. — Niekiedy wśród gry wychodził na chwilę i powracał jakby sporem jakim roznamietniony i gniewny. Dom zresztą był dziwny. Zjawiały się w nim najosobliwsze postacie, cudzoziemcy bogaci, figury widocznie awanturniczém życiem napiętnowane, jacyś ludzie milczący i niezrozumiali, a obok nich najsłynniejsze imiona arystokratyczne...

Generał umiał te żywioły różnorodne uporządkować, wypraszać skienieniem gdy zawadzały, zbliżać, naznaczać im godziny takie aby się z sobą niespotykały. Kobięt bywało nie wiele, a stosunki generałowej były z niemi zimne i ceremonialne. Jedyną przyjaciółką serca, była dawna towarzyszka, ta panna Teresa ukochana, która dziś słynęła jako jedna z najzdolniejszych artystek... Do nięj generałowa każdego prawie ranka zbiegała na chwilę z kościoła, i u nięj sam na sam z nią spędzała godzinę, często łzami oblaną. Bawiła się z Lizką, nśmiechnęła do nięj, mogła tu serce otworzyć... potrzebowała tego wytechnienia i orzeźwienia...

Dwie przyjaciółki rozumiały się i kochały, a były po sercu siostrami. Panna Teresa żyła sztuką tylko... i dla sztuki. Dla nięj teatr nie był zarobkiem i rzemiosłem, był jęj namiętnością. Gdyby los rzucił jęj pod stopy bogactwo, niezależność, skarby, imię, byłaby wszystko to poświęciła dla sceny — bez której dla nięj życia nie było. I nie żąda oklasków, ani pragnienie zdobycia sławy były dla nięj celem, bardzo często okryta wrzawą i buketami swych czcicieli, schodziła za kulisy smutna i nie rada z siebie.

— Dla tych ludzi, mówiła, jak dla głuchych krzyzcć — grać trzeba przesadzenie, jaskrawo, nienaturalnie. Inaczęj cię nie zrozumie-



ją, — odcienia delikatne giuą, pochwycona na uczynku natura dla nich będzie hieroglyfem. Sztuka jest im zabawką, roztargnieniem tylko... bengalskim ogniem co oślepia, nie chlebem co karmi i słońcem co grzeje.

Panna Teresa utrzymywała téż, iż powołaniem artysty jest wtajemniczać tłumy, jest uczyć je a nie do nich się poniżać... Oprócz sztuki, kochała tylko wychowankę, którą wszyscy mieli za własne jęj dziecicę, z czego się śmiała, ramionami ruszając — i — kogoś jeszcze...

Ten ktoś, był to dawny przyjaciel młodości, mogący czulszém nazwać się inieniem, — nbogi profesor, który osiwiadł kochając się w paninie Teresie, a nie mając męztwa się z nią ożenić. Ona mu to przebaczała. — Był nbogi jak profesor, na artystę się nie zdał, choć miał sztuki poczucie.., Ona nie mogła zejść już z tych desek zaczarowanych, a jako pani profesorowa, musiałaby je porzucić. — Kochali się więc platoniczną miłością, która z namiętności młodzięnczej, przeszła w nałóg serca, w przywiązanie spokojne i trwałe. Co wieczora przychodził profesor do nięj, jeśli była w domu wcześnięj, późnięj jeśli grała w teatrze — czytali razem, opowiadali dnia dzieje i żegnali się do jutra uśmiechem. — Ludzie mówili o tęg przyjaźni z przekąsem, ale Teresa która nie obawiała się potwarzy biorąc Lizkę na wychowanie, nie myślała wyrzec się stosunków niewinnych dla złych języków.

Niespodziewany spadek po ciotce, nie wielki lecz zapewniający pewną niezależność, dozwalał paninie Teresie żyć i nieco wygodnięj i swobodnięj.

Do jęg zajęć, istotnie wielkich, bo miała teatr, wychowankę i opiekę nad najniepraktycznięjszym w świecie profesorem... pamiętając o wszystkich jego potrzebach — przybywała teraz nad wszystko trudnięjsza piecza nad kobiętą mieszczeńciem złamaną, upadłą, schorowaną i zepsutą. Początki zwłaszcza były niezmiernie trudne. — Cześnikówna nawykła do włóczęgi, zamknięta w pokoju wytrwać nie mogła.

Teresa zrozumiawszy to, nie wymagała w piérwszych dniach, aby za próg nie wychodziła, dozwoliła jęg pójść do kościoła, pobłąkać się po nlicach, ale głodem zmuszała do powrotu do domu. Tu miała izdebkę na gorze czystą, usługę, i zaraz piérwszego dnia po kąpieli przymusowięj, zupełnie nową odzież wdziała. Teresa dopełniając chrześciańskiego uczynku z poświęceniem, sama własnemi rękami poszła ją uczesać, przybrać... i dobrém słowem ukołysać.

Spostrzegłszy że widok Lizki oddziaływał na nią uspokajająco, że





... obłokanie z niej znikło. (Do str. 65).



wobec dziecka wstydziła się nieszczęśliwa niedorzecznych wykrzyków i stawiała łagodniejszą, spokojniejszą, Teresa użyła jęj dla pohamowania wyryków Róży. Dziwnym skutkiem jakimś niewinny uśmiech dziewczęcia, miał potęgę niezmierną nad zepsutą kobietą. Rumieniła się, milkła, stawiała łagodną i dobrą. Patrzyła na tę istotę czystą jak aniołek, wesołą jak ptaszcę i widok ten sprawiał jęj spokój — trzęwił — koł ból, sprowadzał zapomnienie... Lizce też winną była Teresa, pohamowanie, nawrócenie, uspokojenie nieszczęśliwej Cześniównęj.

Gdy trzeciego dnia zdolawszy się wyrwać z domu, generałowa z bijącym sercem, ze strachem o los siostry przybiegła zastukać do drzwi przyjaciółki, — Teresa nie mówiąc zaprowadziła ją, przodem puszczając Lizkę, na trzecie piętro...

Znalazły tu Cześniównę ubraną czysto i próbującą modlić się na książce. Oczy miała zapłakane... Izdebka z widokiem na ogrody, miała wesołą fizyognomję... Nie było w niej śladu już ani odzieży, ani szalu z którym tu weszła Róża... Natalia zdumiała się. — Twarz jęj siostry bledsza była teraz, mizerniejsza — smutniejsza może, oczy wpadłe i podsiniałe, ale obłąkanie z niej znikło.

Uściskały się milcząc, nie mogły nic mówić przy Lizce, którą szczególnie szanowała Róża... Dała znak sanna siostrze, pokazując dziecig. — Dopiero gdy Teresa z nią na dół odeszły i pozostały same... generałowa mogła z nią pomówić.

— Przynoszę ci niezłą wieść, rzekła... twoja zemsta się skończyła — moja rozpoczęta... Ten człowiek już wpadł w szpony mojego męża i nie wyjdzie z nich całym...

— Zabić go! zabić! — wracając do dawnego szalu odezwała się nagle Róża — zamęczyć...

— Nie — odparła marszcząc brwi generałowa — on mi jest potrzebnym. Ja chcę wiedzieć co się stało z dzieckiem mojem... czy je mam opłakiwać, czy go szukać. Jeśli się dowiem że żyje, porzucę męża, rzucę wszystko... pójde żyć dla niego... Jeśli zaś zabił... jeśli umarło...

Generałowa nie dokończyła.

— To nie może być! przerwała.

— Niech powie na torturach... a potém go zabić! zabić!.. powtórzyła Róża uderzając ręką w stół.

— Nie — nie — zawołała generałowa, — on się z tobą ożenić musi...

Cześniówny.

Krzykiem który się zmienił w śmiech dziki, rozdarła się pierś Róży, która klasnęła w ręce...

— On? zemną? ja w łachmanach do ołtarza... i pijana... i tysiące świadków? nieprawdaż... poczęła wołać — może być zemsta słodszą... a u ołtarza już plunę mn w oczy i zawołam przy świadkach, na kościół cały: — ja żebraczka, nlicznica nie chcę cię — boś ty gorszy łotr i zbój i nie wartes mnie...

— A! daj mi taką chwilę — a umrę szczęśliwą; — dodała, na kolana rzucając się Róża.

— Cicho! na Boga! cicho — i uspokój się, rzekła generałowa — zostaw mnie staranie... Skórski nie długo będzie jak ty żebrakiem... naówczas...

Ściągnęła brew generałowa i dodała ponuro: — naówczas muszę uczynić to z mężem, aby on mi dopomógł. Nienawidzę go, ale mam nań sposób — coś znajdzie; on mnie nie cierpi, lecz się ulęknie...

Róża spojrzała w zwierciadełko wiszące przy umywalni...

— A no! i nie tak już haniebnie wyglądam jak dawniej...

Wzięła się po dawnemu w boki...

— Jego sprawą upadłam... niechże mnie dziś weźmie taką jaką uczynił... Należy mu się to... O! że będzie kochanek szczęśliwy ręczę... Opowiadać mu będę wszystkie moje włóczgi z cyganami i złodziejami... jakeśmy łotrowali na węgierskiem pograniczu... i słoninkę piekli z papryką przy wesółym ogniu, popijając gorzałką... Dżengo grał na cymbalach, drugi na drumli... a my szalały aż popadały jak martwe na ziemię...

Generałowa bladła słuchając, w tém w progu pokazała się główka jasna Lizki. Cześnikówna palec przycisnęła do ust, przestraszona i zamilkła jak złapana na uczynku. Twarz jęj zmieniła się, spuściła oczy pokornie zawstydzona. Dziecię czyniło ją inną, bojaźliwą i spokojną. Lizka przychodziła zapytać o coś od panny Teresy, a w istocie był to tylko pozór do przybliżenia się ku generałowej, która ją lubiła i pieściła.

Względem żebraczki Liszka zachowywała się bojaźliwie, trzymała z daleka i choć biedna kobieta wdzięczyła się do nięj jak umiała, dziecię nie mogło przemódz wstętu. Posługiwało jęj chętnie, ale do zbliżenia się i pieszczot nie miało ochoty; takie na nięj wrażenie uczynił widok łachmanów i rozognionęj twarzy pierwszego dnia po przybyciu.

Generałowa pomówiwszy jeszcze z siostrą o jęj potrzebach, pożegnała i zeszła na dół, Lizkę trzymając za rękę. — Tu zastała Teresę nad

książką, zatopioną w jakiejś nowej roli, którą studyowała. Rzuciła ją zaraz dla przyjaciółki, która raz jeszcze poleciwszy siostrę i nściaskawszy ją czule, wyszła z powrotem do domu.

Zbliżała się do progu kamienicy, spuściwszy zasłonę na oczy i miała wynieść z niej, gdy stojący tu, jakby na czatach, mężczyzna drogę jej zastąpił; zlekła się z początku poznawszy w nim generała. Okryty płaszczem widocznie przyszedł ją tu szpiegować, i jak mu się zdawało, pochwycić na uczynku. W twarzy jego złośliwy tryumf się malował gdy ją zobaczył. Natalia pobladła, drgnęła, ale oczy jej zapłonęły ogniem dzikim i stanęła z dumą naprzeciw niego, marszcząc brwi ciemne.

— Nie dobrze jest tak chodzić pieszo samą po oddalonych ulicach — rzekł sarkastycznie, dla tego zdawało mi się właściwem, pójść za panią i ułatwić jej powrót do domu...

Natalia spojrzała mu w oczy śmiało.

— Rozumiem, rzekła spokojnie — posadziłeś mnie pan, masz słuszość — takię jak ja kobiécie nigdy wierzyć nie można. — Niechcę jednak abys mnie o więcéj posadzał niż jest... i bardzo się cieszę że będę mogła z nim pomówić otwarcie. — Chodź pan zenną.

Generał zmieszany stanął.

— Chodź pan zanną! powtórzyła nakazująco kobiéta — potrzeba żebyś moje zbrodnię naocznie widział i o nią się przekonał.

Cała drżąca i poruszona zawróciła się na wschody, oglądając na męża.

— Proszę zanną, rzekła raz jeszcze, powrócimy tam zkad idę, zobaczysz zkim miałam schadzkę.

Szła szybko na wschody, generał gniewny i chmurny, mrużąc, postępował za nią. U drzwi Teresy zadzwoniła tak gwałtownie, że artystka wybiegła przelekła... Ujrawszy ją na progu, generałowa czekała aż się pokaże mąż, i odezwała się głośno.

— Przyprowadzam ci kochana Tereso męża mojego, który tak był łaskaw i troskliwy, że aż tu po mnie przyszedł. Obawiał się pan generał, ażeby w zbyt złe towarzystwo nie wpadła... muszę cię mu zaprezentować.

Zmieszany mąż, napróżno chciał wstrzymać potok słów rozgniewanej żony — dając jej znaki. Wszedł nareszcie, poznając Teresę, którą widywał w teatrze, i mrużąc coś niezrozumiałego aby się przed nią wytłumaczyć. Generałowa zauknęła za nim drzwi, aby przechodzących



korytarzem nie mieć świadkami téj sceny, lecz była rozogniona, gniewna, lecz już powstrzymać nie mogła.

— Panie generale, rzekła ze śmiechem boleści pełnym, kto bierze kobietę jak ja zza kulis teatralnych, nawykłą do swobodnego życia, do towarzystwa innego niż wasze, ten się zawsze spodziewać może, iż ona dla wytchnienia choćby do dawnych przyjaciół uciecze.

Jestem biedną aktorką, a gram tylko rolę waszój żony i jakiś pani generałowej... która mi dosyć dokuczyła... Dla tego chwilami zbiegam tu odetchnąć, poskarżyć się i zapłakać. Nie dałeś mi waćpan szczęścia, ani ja panu... Ale ja nie mam sobie nic do wyrzucenia, bom mu to wcześniej zapowiedziała...

Generał zburzony, pomieszany, dawał znaki napróżno.

Przy paninie Teresie nie chciał wybuchnąć, ani też przeproszać, czerwienił się od wstydu.

— Zdaje mi się, odezwał się wreszcie, że tu ani czas ani miejsce do małżeńskich waśni i tłumaczeń...

— Owszem, odparła generałowa, musimy tu pomówić z sobą, przy świadku. — Mam wistocie wiele do mówienia i winy, do których się przyznać muszę, a wolę z tą spowiedzią tu skończyć, niż ją do domu odwlekać.

Generał stał zdziwiony. Teresa zakłopotana spoglądała to na przyjaciółkę, to na niego.

— Kochana Natalio — odezwała się, na miłość Bożą, spokojnie — nie unos się...

— Potém osądzisz o ile być mogę w mém położeniu spokojną, poczęła wibrującym od wewnętrznej burzy głosem generałowa... Pan generał raczył mnie szpiegować i być zazdrośnym, wszak to jeszcze honor dla mnie — bardzom mu za to wdzięczna... Skorzystam z tego... Tereso, bądź tak dobra, pójdź i poproś tu mojej siostry...

Generał rzucił się aż...

— Waćpani masz siostrę, o której nie wiedziałem.

— Tak, biedną istotę, o której i ja nie wiedziałam, mówiła Natalia — sądziłam że dawno z nędzy umarła. Znalazłam ją jako żebraczkę pod kościołem — jest tutaj, dla niej i ja tu przyszłam — chcę abyś ją widział...

W chwili gdy panna Teresa posłuszna kierowała się ku drzwiom, rada że téj sceny uniknie, generał się rzucił zastępując jój drogę.

— Ja nie chcę widzieć téj siostry! proszę mi oszczędzić tego widoku...

Zaczerwienił się cały.

— Żeniąc się z panią, dodał gniewnie — sądziłem że biore sierotę, i że żadnej familii nie będę miał na karku...

Dość tego i chodźmy do domu.

— Musisz mnie posłuchać, panie generale, odpowiedziała Natalia — bo ja się ztąd krokiem nie ruszę, do domu nie wrócę i jutro całe miasto wiedzieć będzie, że siostra żony waćpana żebrała pod kościołem. Muie to wszystkim jedno...

Hochwarth za włosy się pochwycił.

— Mów pani, czego chcesz... zawołał gwałtownie, a krótko i prędko...

— Potrzebuję pomocy waćpana, dla pomszczenia honoru mojej siostry...

Usłyszawszy ten wyraz, generał wykrzywił usta, żona jego mówiła dalej.

— Biedna siostra moja została niewiedzioną przez niepocziwego człowieka... Kilkanaście lat, aż do obłąkania przywiedziona, usiłowała się pomścić. Do téj zemsty pan nam dopomóż musisz.

— Ja? do zemsty? podchwycił generał. A mnie to co ma obchodzić? to sprawa mi obca! Dosyć już i tak brnąłem w téj kałuży... Ja o tém słyszeć ani wiedzieć nie chcę...

— Waćpana to obchodzi równie jak mnie — krzyknęła generałowa — wierzaj mi! Dla Teresy nie mam tajemnic, dla waćpana mieć ich też nie chcę. Ten człowiek który zgubił siostrę moję... i przeciwko mnie jest winnym! Rozumiesz mnie pan? dodała runiemiąc się... Zgubił nas obie!

Nie kryłam tego wychodząc za was, że byłam nieszczęśliwą i występłą. Wzięłaś mnie taką jaką byłam... Zniesieszże aby człowiek, który był kochankiem moim, chodził bezkarnie po świecie?

Generał zbladł i ręce załamał.

— Mów waćpani — kto on? znam go? gdzie jest...

— Tu jest... odparła Natalia, lecz nim powiem ci imię jego — daj mi słowo, że postąpisz jak ja chcę... On się musi ożenić z Różą.

Hochwarth posępny milczał długo.

— Sposób pomszczenia się, środki — proszę mi zostawić, rzekł ponuro — nic przyrzekać nie będę... nie zwykłem się wiązać... Mogę tyl-

ko zaręczyć pani że nie ścierpię tego, abym miał za żonę rumienić się przed kimkolwiek. Co uczynię, nie wiem. Kto on jest?

Natalia zawahała się chwilę.

— Chcę, rzekła — aby ci moja siostra potwierdziła prawdę słów moich. — Nie wierzysz mnie, posądzasz... Idź i rozmów się z nią.

— Nie — dosyć tego — obruszył się generał, mów mi jego nazwisko... jego nazwisko...

Generałowa zawahała się jeszcze. — Czuła że wypowiadając je, da go na łup najprzebieglejszemu najmściwszemu z ludzi.

— Waćpan się go zechcesz pozbyć pocichu... i uprzątnąć go z drogi, rzekła — ja tego niedopuszczę... trzeba go ożenić z nią...

— Ale mów mi waćpani jego imię! krzyknął przyskakując generał — ja będę wiedział co uczynię — spuść się na mnie.

Śmiech ironiczny przebiegł mu po ustach, drżał cały...

— Nie wprowadzić nowego dla mnie nie dowiedziałem się tu — rzekł dysząc i przechadzając się po ciasnym pokoiku, — ale niespodziane zjawienie tego jegomości nie da mi spocząć..., trzeba z nim skończyć... kto to jest? mości pani kto jest ten Don Juan szczęśliwy... mów...

Generałowa namyślała się jeszcze.

— Moja siostra — poczęła.

— Mnie bynajmniej nie idzie o tę siostrę — ale o nią — przerwał wybuchając mąż... ale o mnie...

I uderzył się w piersi.

— Popelnilem szaleństwo żeniąc się z nią, pokutuję za to słuszenie... nie chcę się jeszcze wstydić w dodatku — kto on jest...

— P. Michał Skórski! wyraźnym, spokojnym głosem odezwała się żona. Znasz go waćpan...

Hochwarth usłyszał to nazwisko i stał jakiś czas jak przykuty — nie odpowiadając nic — po brudnej twarzy przebiegły drgania jakiegoś jakby apoplektycznego, wprędce jednak oprzytomniał, uspokoił się, ostygl i rzekł zimno.

— Zobaczymy...

— To mówiąc podał rękę żonie, która się cofnęła nie przyjmując jej, uściśnęła w milczeniu przyjaciółkę i nie mówiąc wyszła; — Hochwarth skłonił się zimno, i w ślad za nią pośpieszył.



Pomiędzy gośćmi tego samego wieczora zaproszonymi przez pana generała, na wiseczka i wieczerzę, znajdowali się, oprócz Skórskiego, jeden markiz francuzki, dawny Hochwartha znajomy, który przejeżdżał dla objęcia posady sekretarza przy ambasadzie, i podpółkownik pruski, znajdujący się tu dla rozrywki może, z ołówkiem i książeczką do notat...

Generał miał twarz wypogodzoną i wesołą, a sama pani dawno nie była tak ożywioną.

Ze Skórskim, który zawsze nie bez pewnej obawy wchodził do tego salonu, generał przywitał się zaraz przy drzwiach bardzo serdecznie, uśmiechając mu się, okazując przyjaźń poufałą, niszcząc wszelkie podejrzenie. — Śledził nieznacznie powitanie jego z żoną, ale Skórski skłonił się jój z daleka, ona ledwie mu na to skinieniem głowy odpowiedziała, i p. Michał powrócił do męskiego towarzystwa.

Nie był on zwykle bardzo rozmownym, lecz tego wieczora zmuszono go niemal do wmieszania się w ogólną paplaninę o sprawach miejskich, o teatrze, koncertach i brukowych plotkach... Podpółkownik pruski ciekawy poznać charakter tutejszego społeczeństwa, przysłuchiwał się i badał z wielkiem zajęciem; markiz znajdował że nigdzie w ogóle piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego, nie wydała mu się wdzięczniejszą jak w Warszawie i Paryżu. — Mówiono z tego powodu wiele o kobietach. Generałowa także kilka słów rzuciła w obronę płci swojej. — Po herbacie zaraz zasiedli wszyscy do wista, gospodyni znikła, a Skórskiego zamówił sobie do swój partyjki gospodarz... Nigdy może nie był dla niego tak nprzejmym.

P. Michał wyciągał ztąd najlepsze wróżby dla swego długu, który bądź co bądź go niepokoił. — Tego wieczora jak prawie wszystkich innych, w grze mu się znowu nie poszczęściło, co gospodarzowi dało powód do śmiechu i prześladowania go szczerściem w miłości...

— Waćpan musisz być wielkim balamutem rzekł do niego.

— Już chyba tylko byłem nim, odparł Skórski naiwnie, bo dziś za stary jestem na to...

— Ale, ale! w starym piecu djabeł pali... rozśmiał się Hochwarth. — A w istocie czasby się ustatkować i ożenić... prawda?

— Ożenić? bodaj czy nie będzie trochę późno—odezwał się pan Michał.

— Sama pora — kończył gospodarz — posłuchaj mnie, ja waćpanu żonę znajduję... Stateczną, nie zbyt młodą.

— I posażną — wtrącił kapitan Bobrski, aby p. Michał miał co w wista przegrywać.

Śmiano się tak z biédaka, który udając spokojnego i zadowolonego, dawał z siebie stroić drwinki i przyjmował je łagodnie.

Zwykle unikając obrachunków z gry powstałych, Skórski najczęściej się był wynosił od generała wcześniej niż inni goście. — Nie wstrzymywał go Hochwarth. P. Michał miał myśl szczęśliwą wydania kiedyś wieczorku u siebie, popojenia gości i zaproponowanie gry, przy której w domu spodziewał się być szczęśliwszym. Nie posądzając wcale generała, nderzony był tém że mu się tak u niego fatalnie nie powodziło. Tym razem téż gdy wist się skończył, brał już za kapelusz i miał się do wyjścia, gdy generał wziął go poufale za obie kłapy od fraka i szepnął mu w ucho.

— Proszę cię, panie Michale, zostań na chwilkę, mamy z sobą coś do pomówienia.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż szło o dług kartowy. Skórski posmutniał, ale naturalnie pozostał; goście się porozehodzili. zostali tylko kapitan i regent próbujący się z sobą w ecarté, i generał wziął pod rękę przyjaciela i wyprowadził go do gabinetu, dając mu świeże cygaro...

Był w najwyśmienitszym humorze, sam ognia przyniósł do zapalenia hawanny, posadził Skórskiego w najwygodniejszym fotelu i z twarzą uśmiechniętą, klepiąc go po kolanach, rozpoczął:

— Szanowny panie Michale, rzekł, tak ci się ze mną w grze nie wiedzie, iż mi to największą w świecie czyni przykrość. Doszliśmy odegrywając się do snuki wcale nie szpetnej. Widzę że chcąc ci nslużyć, powolnością moją coraz cię dalej popycham, i nie wiedzieć na czém się to skończyć może.

Musimy nasz intëresik uregulować; nie wymagam pieniędzy — będziemy grali zawsze i zwolna, możesz się oczyścić, jeżeli ci posłuży szczęście... Jednakże na sumieniu mieć cię nie chcę...

Skórskiemu cygaro zagasło; słysząc te czule napomnienia przyjacielskie, robiło mu się zimno i gorąco na przemiany...

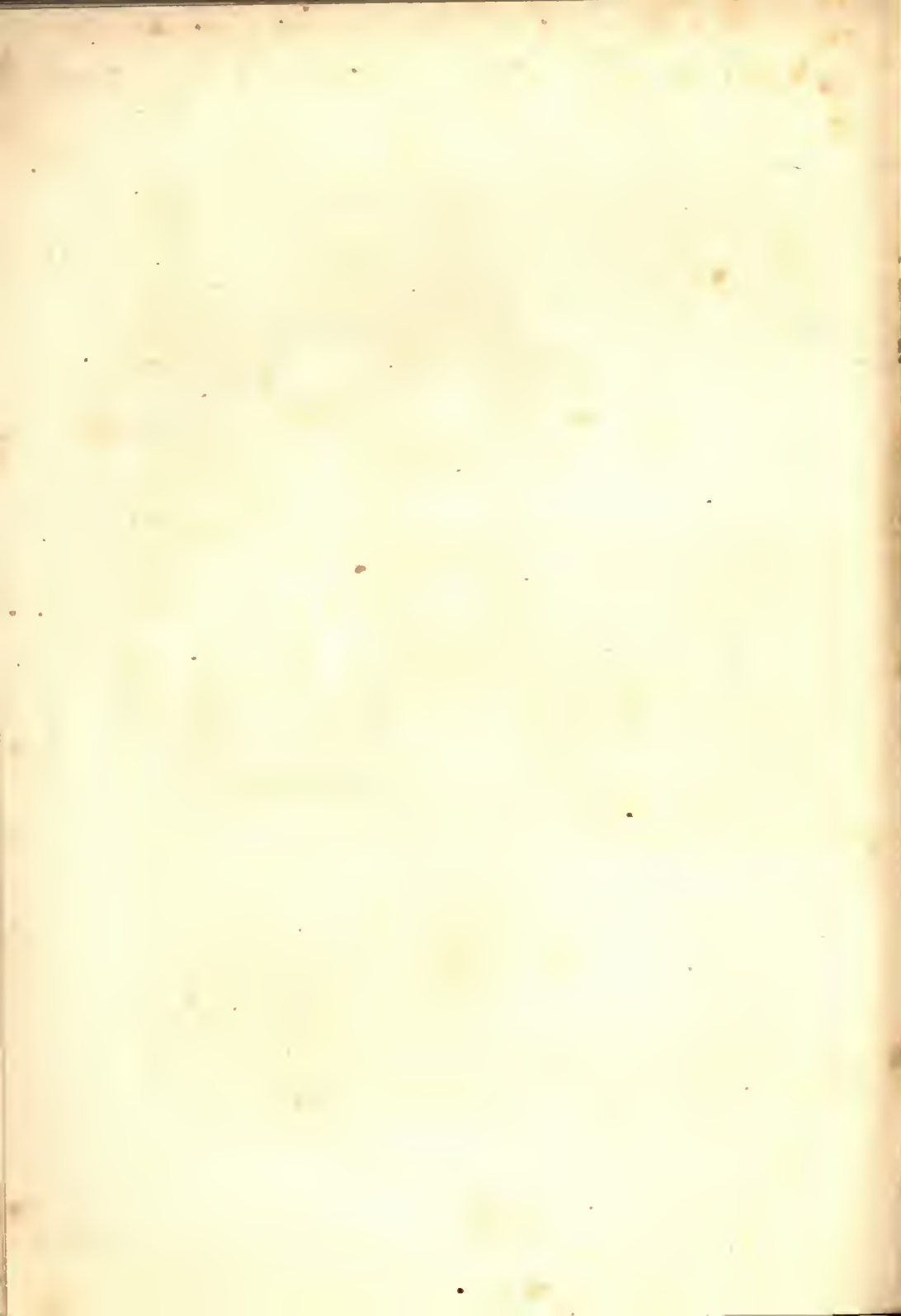
— W istocie, odezwał się — zabrąłem zbytecznie i nieostroźnie.

— Widzisz, ja cię przestrzegałem! dodał generał czule... masz go-



Począł mu palcem cyfry wskazywać... (Do str. 73).





raczkę studencką. Gdyby tak z kim innym, korzystałby z niej. Wiész mi, ludzie na szulerów uarzekają i okrzykują szulerami tych, którzy tylko bardzo po prostu z szansy i głupstw ludzkich korzystać umieją. Należy być panem siebie i ostrożnym...

Ale wracając do naszego rachmunczku, dodał generał idąc do szufladki blisko stojącego stolika, i dobywając notatki—proszę cię zweryfikujmy je...

Pochylił się siadłszy obok Skórskiego i począł mu palcem cyfry wskazywać. P. Michałowi w oczach się émiło — marzenie owo zaczynało przybierać smutne barwy rzeczywistości...

— Mielśmy parę dni temu dwadzieścia? nieprawdaż dwadzieścia tysięcy? Przybywa nam półtrzecia, za dwa wieczory... razem z dzisiejszą przegraną uczyni to dwadzieścia cztery tysiące sześćset...

Pot wystąpił na czoło Skórskiemu, który cyfrom nie mogąc zaprzeczyć, szepnął po cichu ledwie dosłyszonym głosem.

— Dwadzieścia cztery... tak... sześćset.

— Słuchaj że, odezwał się generał — może potrzebujesz pieniędzy, bo to w mieście człowiek się nigdy wyrachować dobrze nie może... Ja ci dam gotówkę, te czterysta, a ty mi wystawisz weksel na dwadzieścia pigé... Ja go schowam do kieszeni! daję ci słowo! To rzecz między nami... ale śmiertelni jesteśmy to raz — i — dodał śmiejąc się — będzie ci to hamulcem od gry... Życzę ci dobrze... nie chciałbym abyś się zgrywał...

Skórski milczał. Niepodobna mu się było oprzeć, a jakaś obawa niewysłowiona przejmowała go i napełniała niepokojem. Czuł się zrujnowanym.

Generał ani nawet przypuszczając ażeby tak prosta operacya mogła najmniejszej ulegać wątpliwości, dobył z kieszeni pugilares, wyliczył rubli czterysta i położył je na kolanach niememu i osłupiałemu Skórskiemu; potem na stoliczku nagotował papier wekslowy, pióro, kalamarz i wskazał je ruchem ręki...

P. Michał siadł pisać nie wiedząc co czyni. Gospodarz ostrożny wezwał z drugiego pokoju kapitana, aby się za świadka podpisał... To się bardzo niepodobało Skórskiemu, ale i temu oprzeć się nie umiał. — Wiedział już że szczególnym składem okoliczności maż tój co go nienawidziła, pomścił się na nim ruiną. W odegrane wcale nie wierzył...

Twarz jego malowała stan ducha upadłego. Nie mógł się odezwać ani słowa. Położył pióro na stoliku i siedział ogłupiały.

Generał nań spojrział i poklepał go po ramieniu.

— Masz w istocie minę, odartego na gładkiej drodze człowieka... Mógłbym się za to pogniewać! Co u licha. — Chciałeś grać, trzymałem ci póki i jak ci się podobało... Los tak rozrządził. — Nie możesz mi tego mieć za złe...

Mówiąc to weksel zasypał i schował do pugilaresu.

— Ja cię o dług ten wcale naglić nie myślę i nie będę. Możemy grać, służę ci zawsze... tylko nie pozwolę już żebyś tak szalenie poniterował... Zapalasze się.

— A tak! zapala się pan! bardzo się pan zapala! potwierdził przywołany kapitan... a w grze, pierwsza rzecz krew zimna... to prawidło...

Tym razem Skórskiemu zdawało się że miał prawo już wziąć za kapelusze, i pożegnawszy gospodarza wyjść — na świeżem powietrzu medytować nad swoim położeniem...

Niezmiernie nprzejunie pożegnał go, ciskając mu obie ręce gospodarz i odprowadził aż do drzwi...

— Nie frasz się pan, i nie miej do mnie pretensyi — odezwał się — uczyniłem to dla twego własnego dobra... Rozmyśliwszy się przekonasz o tém... Dobranoc — jutro czekamy cię z wiseczką a choćby i sztosikiem...

Tak pożegnawszy zszedł ze wschodów Skórski, z pomocą przyświecającego mu lokaja, któremu za tę grzeczność jeszcze zapłacić musiał. Znalazłszy się w ulicy, nie wiedział dokąd iść, — chciał co najrychlej powiedzieć z radcą, była godzina późna, o której go najprędzej mógł zastać w domu. Spiesznym krokiem pobiegł do niego.

Fazyński tylko co był z resursy powrócił i zabierał się do snu, gdy mu spóźnionego gościa przyprowadzono. Poznał z twarzy od razu iż nie przychodził darmo.

— Co ci to jest zapytał cicho.

— Jestem — zrujnowany, krótko odparł Skórski. Wasz pan generał to poprostu łotr i szuler... Grałem jak dzieciak... zapędziłem się, żartowałem ze mnie traktując tę sprawę jakby jej nie brał na serio — a dziś, dziś mi sobie kazał wydać weksel... na dwadzieścia pięć tysięcy rubli, z których patrz ile mi pozostało...

To mówiąc owe czterysta rzucił na stół.



Radca porwał się za głowę i krzyknął.

— To nie może być!

— Ale mówię ci, tak jest!

— Dwadzieścia pięć tysięcy rubli... ale to fortuna... Czyś oszalał...

— W istocie wart jestem aby mnie wsadzono do czubków. Zrazu łudziłem się tém, że mi się da odegrać, — dziś, pomimo jego przyjacielskich zaręczeń, przekonany jestem że weksel...

— I dałeś mu — weksel! przerwał radca.

— Musiałem! wybąknął Skórski.

— Fatalnie! szepnął rzucając się w krzesło gospodarz.

— Byłeś i jesteś moim przyjacielem — odezwał się Skórski, trąc czoło, jakby niekającą panię chciał przywołać; radź mi...

— Cóż tu radzić — odparł radca — to poprostu ruina. Wiele warta Brończa.

— Może być warta pięćdziesiąt...

— Masz na niej Towarzystwo...

— Naturalnie.

— Długi prywatne?

— Któż bez nich...

— Cóż ci zostanie?

Skórki pomyślał i gorzko się śmiejąc rzekł:—Zostaje mi rewolwer, którym sobie mogę w łeb wypalić — lub kij i torba...

— No — przerwał radca —przecież możesz znaleźć jakieś zajęcie!

— Jakie? zapytał z goryczą Skórski, chyba leśniczego lub bezejtera... a tych jest więcej niż miejsc dla nich... Jeżeli generał zechce być surowym, choć mi obiecuje powolność...

— Obiecuje ci...

— Tak... ale 25,000?

Zamilkli... Radca ziewnął, pora była późna, przyjaciel zrujnowany wcale nie na rękę...

— Jakoś to będzie! rzekł wstając... Idź spać, uspokój się — namyśl... Sądzę że generał nie zrobi skandalu... Będzie mu szło o to, aby za szulera nie uchodził.

Pożegnali się i Skórski pociągnął do domu. Nie powiedziawszy słowa służącemu, rozebrał się i położył...

Nazajutrz uczył się chorym i nie wyszedł wcale, ani dnia następnego — nikt go nie odwiedził, ani się dowiedział nawet... Czwartego

dnia z rana, gdy się zbierał już na miasto wyrzść, służący oznajmił mu wizytę generała.

Zwykle Hochwarth przychodził wesół, żartobliwy, nastrojony na ten ton wygodny, który pozwala mówiąc wiele nie powiedzieć nic. — Tym razem z twarzy poępnęj widać było, zły chmurny jakiś, nienkontentowanie, kwas. niezwykły. — Wcale się nie rozczulając nad Skórskim, zdaleka go powitał, dosyć zimno, zamknął drzwi od pokoju w którym byli. i usiadł w krześle zachmurzony. — Skórski nie mógł jeszcze odgadnąć co to znaczyć miało, ale łatwo się domyślał że nic dobrego...

Po chwili milczenia, Hochwarth począł tonem zmienionym i dosyć twardym.

— Nigdy się tego po panu nie spodziewałem, abyś mi za moje powołność miał się tak wywdzięczyć?

— Ja? cóż to jest? spytał p. Michał.

— A no, pozwól, gorąco rzekł ciągnąc dalej Hochwarth, tak się nie postępuje z ludźmi, którzy z pełną ufnością, po przyjacielsku, w domu przyjmują...

Grałeś pan u mnie jakieś chciał, przegrałeś niemal dobrowolnie... Zamiast mi być wdzięcznym, że u mnie był powołnym, tegoż samego wieczora gdyśmy się obliczyli, pobiegłeś na skargę do rady. Okrzyczano mnie w mieście za szulera! a! tak się nie robi, mości panie! tak się nie robi!

— Panie generale — rzekł zmieszany Skórski, kłnę ci się wszystkim co mi najdroższe, nie skarżyłem się, poszedłem się radzić.

— Cóż znowu! mów pan sobie co chcesz! co to jest! wołał generał coraz się mocniej ożywiając—to nie jest postępowanie ani przyjacielskie, ani roztropne... Ja tego znieść nie mogę! Otrąbiają mnie po mieście jako gracza, który waćpana całego majątku pozbawił, dla tych tam głupich dwudziestu tysięcy...

Wstał nagle Hochwarth.

— Kiedy tak jest — dodał — przyszedłem pana oznajmić, że między nami stosunki są zerwane... Rozumić się iż mego długu poszukiwać będą prawnie... Niechże za to że na mnie psy wieszą, mam przynajmniej korzystać jakąś...

Skórski milczał. — Przez parę dni miał czas rozważyć swe położenie i wiedział, że w razie pociągnięcia do wypłaty, nie uratuje się od zguby.

Generał pomimo roznamiętnienia ogromnego był panem siebie — groził zerwaniem i odejściem, ale z nim nie spieszył wcale. — Przechrządnął się po pokoju, trzymając kapelusz w ręku, zdawał czekać na tłumaczenie obwinionego.

— Nie czuję się wcale winnym, odezwał się Skórski. — Nie było grzechem w położeniu jak moje naradzać się z przyjacielem, którego prosiłem o sekret...

— A który nazajutrz nie miał pilniejszego nad rozmiesienie po mieście wiadomości, że ja waszmości ściągnąłem do mojego domu, aby go do koszuli zgrać. Ja waćpana nie zachęcałem ale odciągałem od gry... Ja téj kalumnii znieść nie mogę i nie zniósę...

— Cóż ja mam uczynić, i czego pan żądasz ode mnie? zapytał Skórski już podrażniony... Czy satysfakcyi?

Generał odwrócił się szybko...

— Jakićj satysfakcyi? rozśmiał się ironicznie. Najprzód mi waćpan uczyni to, żebyś mi przegraną sumę zapłacił. Potém, jeśli chcesz innéj, dam chętnie i pozwalam ci wybierać broń, rodzaj pojedynku, jaki się podoba... Wprzód tylko zapłać! cha! cha!

Chciałbyś się tanim kosztem zbyć długu... Przepraszam...

Cierpliwości brakło Skórskiemu.

— Licytuj pan majątek — zabierz go sobie — rób co chcesz...

— Zapewne że inaczej uczynić nic mogę... odparł generał...

Zamiast wyjść, czego się spodziewał p. Michał, Hochwarth usiadł i mówił nieco łagodniéj.

— Ja waćpana żałuję — rzekł, mogłeś nie mieć złéj woli, a mimo to wyrządziłeś mi krzywdę. Droższą mi jest reputacya nad wszystko... Radbym waćpana ratował...

Skórski milczał...

— Mogę waćpanu nastreczyć ożenienie, które ruinie majątkowéj zapobieży...

— Co ożenienie? zapytał zdumiony Skórski. Z kim?

— Nie mogę osoby kompromitować, dopóki w zasadzie się ze mną nie zgodzisz na nic — chcesz się żenić... połatamy wszystko, będzie ci-cho, sza, zgoda i przy wsi zostaniesz...

— Ale z kimże przecie? powtórzył Skórski, na ślepo się żenić nie mogę...



— Osoba ze wszech miar dla waćpana przypadająca... a nawet do pewnego stopnia krewna moja — odezwał się generał...

Ostatnie wyrazy tak zdumiały Skórskiego i jakieś w nim podejrzenie obudziły, iż poskromiwszy się i nie dając poznać co uczuł, spoli tykował.

— Nad tém, rzekł, przynajmniej mi się pan dasz namyslić.

Hochwarth popatrzył nań.

— Nie nagle, odparł, namysłaj się pan — przyjdę za parę dni po odpowiedź. — Wstał, bez ceremonii kapelnsz kładząc na głowę, i bez pożegnania wyszedł z pokoju...

Skórski upadł na krzesło...

Położenie było rozpaczliwe. — Dziwna ta zagadkowa propozycja ożenienia, chodziła mu po głowie, jak coś niezrozumiałego. Widział się osnutym siecią intrygi jakiejs, zgubionym... Życzył sobie ożenienia, ale jak wszyscy starzy kawalerowie trudnym był w wyborze. To co mu tak narzucano, nie mogło być czém innym jak ciężarem i niewolą. Oburzył się...

— Wolę sobie w łeb strzelić! zawołał... Nie mógł już i tego dnia wyjść z domu, zamknął się, służącemu nakazał aby nie puszczał nikogo i gryzł się myślami, z których się wypłatać nie umiał...

Zmierzchało już, gdy siedzący w przedpokoju lokaj, pomimo rozkazu pańskiego nie przyjmowania nikogo, przyszedł oznajmić, iż pani jakaś zakwefiona, nieznajoma, koniecznie się domaga być wpuszczoną.

Skórski począł zniecierpliwiony dopytywać, jak wygląda, jak ubrana... Nie miał żadnych stosunków w Warszawie. — Ciekawość go wręście pobudziła do przyjęcia.

W mroku ujrzał w chwilę potem kobietę zakwefioną, idącą krokiem śmiałym do jego pokoju... Z postawy poznał że to ktoś był z towarzystwa lepszego, na myśl mu przyszła dziwaczna propozycja generała. Nie wiedząc co myśleć, postąpił kilka kroków... Kobięta odsłoniła w milczeniu twarz, poznał generałową Hochwarth.

Na widok jęj cofnął się przerażony. Błada, z oczyma gniewem zapalonymi, stała przed nim patrząc nań z pogardą i wyższością sędziego, który ma wyrokować o winowajcy.

— Poznajesz mnie pan — odezwała się — domyslić się powinneś po co do niego przychodzę... Winieś mi sprawę zdać z losu mego dziecka... Gdzie ono jest? mów.

Skórski onieniał.

— Mów prawdę — dodała generałowa — jesteś w ręku męża mego, który cię może oszczędzić lub zgubić — zależy to ode mnie... Mów, mów mi prawdę, coś zrobił z dzieciąciem...

Skórski, któremu zimny pot na twarz wystąpił, nie mógł słowa przemówić. — Wejrzenie jego ukośnie badało kobietę, namyślał się nad kłanstwem, które miał powiedzieć.

— Dziecię zmarło, rzekł słabym głosem.

— Kiedy i gdzie? zapytała generałowa.

— Na wsi — u mnie; — cicho odparł Skórski.

— To fałsz — niegodny fałsz jak wszystko co twoje usta wymawiały... Dziecię oddałeś precz z domu, wysłałeś je... to wiem? Dokąd?

Skórski upokorzony zamilczał...

— Jeśli masz odrobinę sumienia, mówiła generałowa, powiedz prawdę... Komu i gdzie je oddałeś? Chciałeś się go pozbyć...

Wzięty na badanie — p. Michał wybuchnął wreszcie gniewnie.

— Nie wiem co się z nim stało... Oddałem człowiekowi, który się podjął wychować je — zapłaciłem mu za to; — nic więcej nie wiem...

— Człowieku bez sumienia, bez wiary! łamiąc ręce krzyknęła kobieta. Przyznajesz się do tego żeś nie miał miłości ojca, ani nawet litości człowieka. — Oddałeś dziecko?... Kłamiesz i teraz...

— Mówię prawdę — ponuro i ostro krzyknął Skórski, — o dziecku nie nie wiem, o człowieku co je wziął nie miałem wieści...

— Rozpłakała się Natalia; Skórski stał zimny i rozdrażniony tylko

— Nie miałbym żadnego powodu skrywać wam losu dzieciąciem, gdybym o nim wiedział. Winny czy nie, przysięgam wam...

Generałowa słysząc o przysiędze rozśmiała się głośno, popatrzyła na niego z pogardą największą, zakryła twarz i wyszła z pokoju...

Ta scena dobiła już nieszczęśliwego, starego kawalera; jak na pół obłąkany zawołał naprzód służącego, chcąc mu coś rozkazać, namyślił się potem — i począł śpiesznie odziewać jak do drogi... Drzwi zamknięte były na klucz... Około godziny dziewiątej wieczorem, uporządkowawszy wszystko, wydawszy rozkazy służce, Skórski po cichu wysunął się z domu.

— Zabierzesz rzeczy i pojedziesz do Brończój jutro — rzekł wychodząc. — Nie było czasu do stracenia. Na Pradze u znajomego han-

dlarza koni, mino nocy, kupił pierwszego z brzegu jaki mu się nadarzył, dostał siodło... i puścił się nad ranem w podróż.

Gdy nazajutrz około południa przyszedł Hochwarth odwiedzić Skórskiego, znalazł tylko sługę i tłumoki.

Na zapytanie o pana, odpowiedział pozostały, że wyjechał nocą pośpiesznie, niewiadomo dokąd, a jemu polecił rzeczy odwieźć do Brończęj.—General nie zdawał się tém ani zdziwiony, ani bardzo zagniewany. Przyjął wiadomość dość zimno, uśmiechnął się ironicznie, popatrzył na zegarek, zaczął świstać chodząc po pokoju, popatrzył na tłumoki, pogadał ze służącym, rozpytał go o folwark, dom, pola i gospodarstwo w Brończęj, a w ostatku dawszy mu parę złotych na piwo—odszedł.

Daleko więcej zdziwiony był radca, który dla ceremonii chciał odwiedzić dawnego towarzysza, a przybył *post factum*, gdy już nawet sługi i tłumoków nie było. Stróż kamienicy, człek poważny i umiejący opowiadać *detalicznie* historye swych lokatorów, trzymał go pół godziny, opisując jak ten pan drapnął po nocy na piechotę, jak sługa później wyjechał z rzeczami, i jak najpewniej długów się moc po nich zstać musiało...

— A mnie co do tego? dokończył stróż, nie zgłaszali się do mnie żebym dał znać gdyby *fugas chrustas* chciał zrobić; — nie dał żaden złamanego szeląga.

---

Na gościńcu wiodącym z Lublina do Warszawy, w okolicy leśnej, pod wsią wyciągniętą sznurkiem nad samą drogą—stała opodal nieco od niej chatka, którą zdala za pustkę wziąć było można. Niegdyś zajmował ją podobno kowal, i była przy niej kuźnia tak licha jak ona, aż gdy drugą murowaną postawiono na samą drogę, około nowój austeryi, a tamtą ludzie nocami rozerwali na opał — chata została się sama, i parę lat nikt w niej nie mieszkał.

Ostatni właściciel, wedle zwyczaju, zabrał nawet okna; z dworu, na którego gruncie była wystawiona, posłał nierychło ekonom deski i kazał niemi okna pozabijać, aby pustkę uchować, bo jeszcze na co przydać się mogła. Jakoż po dwu latach zgłosił się do ekonomy człowiek nie młody, na dworaka wyglądający, nie znany w okolicy, który prosił go czyby



chatki nająć sobie nie mógł, a do niej parę zagonów ogrodu. Składał papiéry i świadectwa jako bywał w różnych służbach po dworach, a wszystkie, szczególniej ostatnie świadczyły, iż musiał być człek stateczny. Powiedział o sobie, że mu już na późniejsze lata służba była ciężką, że trochę grosza ucinawszy, pragnął spokojnie gdzie życia dokończyć... Z oczów mu ni źle ni dobrze patrzyło,—ekonom z nich nic nie wyczytał; chłodu miał wzrok jakiś i na pytania ogólnikami, krótko, a wzdychając tylko odpowiadał. Dwór nic nie miał przeciwko wypuszczeniu chaty, z której grosza nie było,—a i ogród chwasty zarastały, z wyjątkiem jednego zagona, który sobie wdowa jakaś na kartofle wyprosiła.

Chatę więc wypuszczono za złotych dwadzieścia rocznie, a ów człowiek nieznamomy, którego panem Mikołajem nazywano, zaraz się tam wprowadził. Okna kupił tanio na jarmarku, a zresztą niczego tam nie brakło do zamknięcia. Sługi sobie żadnej nie wziął, z czego miarkowano że ubogim być musiał, obchodził się też lada czém i sprzętu wiele nie zaprowadził. Mówiono nawet iż na podłodze sypiał, o lada jaki tarczan nie chcąc się postarać. W ogródku sam kopał, ogrodzenie, chrust wyprosiwszy i na plecach go nosząc, połatał powoli, a choć stary był i zwolna robił, nikim się posługiwać nie potrzebował.

Miano go z początku we wsi powszechnie za bardzo biédnego człowieka, bo i odzież nosił starą a zszarzaną, ale się później okazało, że więcej w tém było chciwości i skąpstwa niż ubóstwa. Owszem, z raz u okrzyczany niemal za żebraka, mało co później, chociaż się zapięrał, począł uchodzić za bogatego sknerę.

Wydało się to w ten sposób, iż włącząc w drogę arędarzowi, począł na lichwę potroszę pożyczać. Gdy to gruchnęło po wsi, a ten i ów już się mu zadłużył i niesposób się było ukryć z tém, że w chacie coś grosza być musiało, pan Mikołaj psa sobie dostał, którego trzymał na powrozie cały dzień, złości go ucząc, a na noc tylko na podwórko go spuszczał.

Pies był niepozorny, kundys prosty, kudłaty, planisty, brudny, ale stróż jakich mało. Spał we dnie, a po nocach całych chodził do koła, naszczekiwał lub wył, tak że się aż ludziom przykrzyło, bo inne psy we wsi rozbudzone głosem jego, ujadły strasząc napróżno, lub wyciem mu wtórowały.

Wiele się do tego przyczyniało okoliczności, iż wkrótce i pana  
Cześnikówny.

i psa we wsi znienawidzono. Pan Mikołaj był na pozór flegmatyk, spokojny, mało mówny, czasem się od niego słowa było trudno dopytać, niekiedy nawet się jękał tak zawzięcie, iż najcierpliwszego znudził. Uważano wszakże iż jękanie mu przychodziło gdy się nad czém potrzebował namyśleć, jakby się niemu nymyślnie posługiwał. Do kościoła uczęszczał bardzo regularnie, przychodził niemal pierwszy, odchodził ostatni, modlił się na różańcu z podniesionemi do góry rękami, wzdychając głośno, a gdy się w piersi bił, na cały kościół słychać było... W wielki piątek zawsze krzyżem leżał godzinę, pościł z suchotami. Dla ludzi wszakże co z nim mieli sprawy pieniężne ciężki był, gorzej żyda... Mówił do nich słodko, a bardzo pobożnie zawsze, ale serca w nim za trzy grosze nikt nie znalazł... Już drugiego roku chodził z rękami w kieszeniach, około chaty i ogrodu sam nie robić nie potrzebując, bo sobie w procencie od pieniędzy daremszczyznę zawsze wymawiał. Jeden mu rąbał, drugi kopał, trzeci grodził, czwarty łuczyny musiał dać, i to się wcale nie liczyło... W karczmie nigdy go nikt nie zobaczył, naprzód dla tego, że z arędarzem byli na bakier, bo mu chleb odbierał, powtórze że wódki nie pijał, chyba mu ją kto kupił, i to nie więcej kieliszka. Żywił się też pan Bóg wie czém, dla obrzydliwego skąpstwa nigdy nie kupując, tylko albo z ogrodu zieleninę i ziemniaki sobie gotując, lub garstkę wyżebraną krup. Chleb stary, zeschnięty brał w miasteczku u żydów zabezpiecen, maczał go w wodzie, i innego nie znał...

Przyzwyczajali się ludzie;— ale nikt do niego nie przystał. Nie potrzebował też zdaje się nikogo oprócz swojego psa, z którym był w przyjaźni.

Pies był równie na pozór spokojny i niewinny, a miał zwyczaj milczkiem kąsać... Nawet nocą, gdy najzawzięciej szczekał a zbliżył się kto, ustawał, przyczajał się i dopiero dopuściwszy na podwórze, rzucił się na nieznajomego.

P. Mikołaj przebył kilka lat we wsi, płacąc regularnie dworowi, choć za każdym razem urywać coś próbował;— obyli się z nim ludzie, ale niechęć ku niemu rosła, bo był lichwiarz bezlitośny i kto mu się w ręce popadł, to go powolutku ze skóry odzierał, pobożne dając nauki, że się odeń wyzwolić nie było podobna. Ostatniego roku p. Mikołajowi jakoś gorzej być zaczęło, skarżył się na rwanie i łamanie po kościach, nogi mu i ręce brzękły i czerwieniały. Do lekarza kazać się zawieść nie chciał, żałując pieniędzy, tém mniej do siebie go sprowa-





Za plotem stał jeździec na koniu... (Do str. 83).





dzić. Czatował czasami na drodze czy przejeżdżającego nie pochwyci, ale i to mu się długo nie udawało; a gdy nareszcie raz zatrzymał jadącego, prosząc o radę, doktor go zbył ni tém ni owém, powiadając, że w jego wieku z téj choroby wyleczyć się już trudno, że bogaci na to tracą wiele pieniędzy i podolać biedzie nie mogą. Poszedł więc p. Mikołaj do domu z głową spuszczoną, a smarował się różnemi rzeczami, które mu baby doradzały. Kazał nawet zamawiać jedną, ale to nie pomogło. Mniej już coraz wychodził i to o kiju. Nie mógł się téż obejść bez sługi i nastęrczyła mu się niejaka Pawlicha, wdowa, stara sekretnica, okrutna, którą tylko dla tego przyjął, że za strawę i dach, bez pieniędzy, służyć się podjęła... Tak się męczył prawie nie wstając, a gdy ludzie dla pieniędzy doń przychodzili, na łóżku siedząc ich przyjmował, i z węzełków, koło siebie pozawijanych, grosze dobywał.

Pawlicha powiadała że po nocach jęczał i w piersi się bił, i wzdychał, tak że nieraz z chaty nciekała, sądząc że go zmory lub szatany duszą.

Jedną takięj nocy nieszczęśliwéj, gdy Pawlicha z kądzielą siedziała przy łuczywie, palącym się jeszcze w kominie, a stary co ciemności znosić nie mógł, bezustankn jęczał na swoim barłogu, pies strasznie ujadać zaczął. Nie bardzo z początkn nań nważano, bo to było jego zwyczajem iż niewiedzieć co słysząc z daleka, darmo ludzi njadaniem niepokoił, ale wkrótce potém koło chaty dał się słyszeć tentent,—a zadna tamtędy nie szła droga, tylko wązka ścieżyna do łąk wiodąca. Pawlicha się nłękła jeszcze bardziej, posłyszawszy głos za płotem, wołając.—Jest tam kto?!

Lękała się wyjść zrazn, aż jęj pan Mikołaj nakazał. Noc była bardzo ciemna. Za płotem stał jeździec na konin, powtarzając hukanie i nawoływanie. Pies, aż łapami się na płocie oparłszy, szczekał zajadle. Gdy posłyszał przybyły otwierające się drzwi chaty, w którą się świeciło, poczał na babę wołać, aby do niego szła...

— Co wy tu robicie, na miłego Boga! zakrzyczała Pawlicha—tu drogi tędy niema żadnej; czemu nie jedziecie do wioski?

— A kat was tam wiedzieć ma, gdzie n was wieś, a gdzie jęj niema, — odezwał się przyjezdny. Ciemno choć oczy wykół... Na światło i na szczekanie psie jechałem, bom zbłądził... Baba mu chciała do karczmy pokazać.

— Weźcie ino psa aby on mnie nie zjadł, albo ja go nie skaleczył,

rzekł podróżny. Muszę choć wytchnąć u was, bom się stłknął tą jazdą na miazgę. Dam dwa złote...

Obietnica poskutkowała, Pawlicha psa uwiązała, otworzyła furtkę i podróżny wjechał, a konia uczepiwszy do kołka, sam do chaty wszedł.

W blasku od świeczki počzął się on przypatrywać chacie i jój mieszkańcom, a oni jemu.

Mikołaja trudno było dojrzeć, tak miał i ręce i nogi, ba i twarz szmatami poobwiązywane, a popatrzywszy na podróżnego, zamiast się do niego ruszyć, jeszcze się szczełniej pookrywał i nawet jęczać przestał...

Oprócz téj izby i alkierza, w którym ledwie było miejsce na sypanki, worki i zastawione kozuchy, nie miała chata więcej izb; wszystko więc co Mikołaj posiadał wisiało po ścianach. Była tam i odzież, była i strzelba stara i różnych rupieci dosyć. Wodząc oczyma po izbie, przybyły zobaczył na ścianie stary surdut z białemi guzikami, który Mikołaj znać z dawnéj służby przyniósł z sobą. Coś go tknęło, poszedł się guzikiem przypatrywać, po chwili zdziwiony zapytał:

— A to się tu zkąd wzięło?

Mikołaj przyczajony czy śpiący nie odpowiedział; Pawlicha powoli objaśniła, że to była z dawnéj służby liberya.

Posłyszawszy to podróżny, szybko do łóżka podszedł i schylił się nad niem. Mikołaj do ściany odwrócony, udawał że usnął. Stojąc nad nim przybyły zawołał: — Hej, mospanie — obróć no się, mam się spytać o coś...

Na to nie było odpowiedzi. Pokiwał pytający głową... poczekał trochę,—a że człek był jakiś impetyczny, pochwycił leżącego za kark i ku sobie przyciągnął. Mikołaj krzyknął, a ów gość jeszcze głośnieję.

— A widzisz—nie skryć ci się przedemną.

Baba, która była téj sceny świadkiem, nie wiedziała co myśleć, sądząc że szatan na koniu czarnym po duszę p. Mikołaja przywędrował.

Chory odwrócił się, oczy niby przecierał i niezrozumiale coś bąkał.

— Cóżes to nie poznał mnie? groźnie zapytał stojący nad łóżkiem—może po głosie dawnego pana przypomnisz sobie...

Mikołaj dopiero teraz cichuteńko počzął:

— Dajcież mi choć skonać spokojnie. — Widzicie żem chory...

— Nic ci nie uczynię, ale ze szczęśliwego trafu co mnie tu sprowadził muszę korzystać, boś mi znikł i odszukać cię nie było sposobu...

Mikołaj milczał i stękał tylko.





Kłamiesz! kłamiesz niepoctywy... (Do str. 85).



Podróżny to milczenie przypisując nie potrzebnej obecności Pawliczy, wyprawił ją małym datkiem za drzwi. Szła tedy do sieni, konia niby doglądać, aby się nie urwał; — a koń prędkiej miał ochotę się kłaść niż biegać, bo okrutnie bokami robił i dyszał.

— Stary, ozwał się, po wyjściu Pawliczy, siadając na ławie przybyły, ty mnie nie zwiedzisz. — Znam cię dawno. Skonasz sobie później. a teraz mi musisz odpowiedzieć...

Mikołaj się zwlókł jakoś i siadł na łożu, trzęsąc się ze strachu...

— Co zrobiłeś z dzieckiem? zapytał go podróżny... mów!

— Wychowywałem je, Bóg widzi, do ostatniego grosza się na nie wyszafowawszy, jęknął Mikołaj. Wyrosła dziewczynina pięknie, a no przyszła odra czy jakaś choróbko i — umarła...

— Kiedy? spytał podróżny.

— Już temu drugi rok — rzekł Mikołaj. Baba, która pode drzwiami słuchiła, chwyciła przez szpary w nich i pytania i odpowiedzi. Zrozumiała że szło o jakieś dziecko, i że ono miało umrzeć dwa lata temu, a Mikołaj daleko dawniej tu mieszka i żadnego dziecka nigdy przy sobie nie miał... listów nie odbierał, nigdzie się z domu nie ruszał, — kłamał więc.

Przeszły dreszcze Pawliczę, bo pomyślała sobie że stary coś z dzieckiem zrobić musiał, a kłamstwem to pokrywał. Przeleżała się niezmiernie...

— Gdzież ona umarła? spytał podróżny.

— A to nieborzątko... a to — rzekł wzdychając Mikołaj, pochowałem ją sam na cmentarzyku za wsią.

— Więc i sepultura musi być — odezwał się przybyły, a téj mi teraz koniecznie potrzeba. Zabawię więc do jutra, i od księdza ją dostanę.

Mikołajowi oczy błysły...

— Gdzie? jaka sepultura? odezwał się — czy to dzieci zapisują? Ja nawet się nie meldowałem z tém do księdza — samem trunienkę na cmentarz zaniósł i dołek wykopał.

— Kłamiesz! kłamiesz niepocziwy — zakrzyknął przybyły... kłamiesz!..

— Prawdę mówię...

— Zobaczymy zaraz, przerwał idąc do drzwi podróżny, ale nim doszedł, zerwał się z łóżka Mikołaj o kiju i odciągnął go...



— Co pan chce robić? co? mnie i siebie gubić? Tak jest jak mówię.

— Kłamiesz — zawołał podróżny — ja muszę wiedzieć co się z dzieckiem stało, abym siebie oczyścił. Dałem ci je na wychowanie. Miałeś kobietę wziąć i hodować dziecko aż by dorosło... na toś pieniądze wziął...

I otrząsnąwszy się od chwytającego go za rękę Mikołaja, podróżny drzwi otworzył, baby wołając...

Pawlicha, która wszystko przez szpary widziała, odskoczyła na-przód za próg, aby ją na podsluchach nie pochwyceno, potem przybiegła... Miała ona żal do Mikołaja za twarde i nietościwe obchodzenie się, a podejrzывała go że coś mu na sumieniu ciężzyć musiało; gotowa więc była przeciw niemu świadczyć.

— Dawno on tu przybył? zapytał podróżny Pawlichy.

Zaczęła liczyć na palcach, przypomniła że tego właśnie roku, córka jej zmarła na Zielone Świąta, i obrachowała łąčno lata.

— A miał z sobą dziecko gdy do was przyszedł?

— Mogę choćby i przysiąc na Ewangelii — odezwała się Pawlicha — bo co prawda to prawda, że samiusieńki jeden przyszedł i nigdy nikogo przy sobie nie miał.

Mikołaj spuchnął, czerwoną pięść wyciągnął — babie grożąc.

— El co mnie tam — dodała — ja dla waszeci sumienia mego nie zaprę i duszy gubić nie będę. Nikogo nie było...

Podróżny dobył pieniędzy i dał babie, nie potrzeba już było za drzwi ją wyprawiać. Mikołaj się zwłókł do łóżka, i siadł na niém milczący...

— Nie zmarła tu — to zmarła wprzód... rzekł z gniewem... Chorowite było dziecko... darmo na rękę się je nadzwigał. Cóż pan myślisz że ja zbój jestem... dzieciobójca... co? że ja dziecku życie odjąłem. Tak mi Boże grzechy odpnąć — tego nie zrobił, na przenajświętszy Sakrament przysięgnę. Bóg widzi przysięgnę.

— Mów że mi całą prawdę! mów mi ją zaraz! grożąc zawołał podróżny...

— Co mam mówić! dziecko zmarło... Spuściwszy głowę odezwał się Mikołaj.

— Gadaj bo będzie źle — krzyknął nalegając gość ów natarczywy, mam cię w rękę, postawię cię przed sąd...

Mikołaj oczy podniósł powoli, białka mu w nich zaświeciły i głową począł kiwać.

— A jak że by to jaśnie pan mógł zrobić? A toć by sam musiał się oskarżyć, po co mi na zatracenie i na biedę swoje dziecko oddawał.

Porwał się na te słowa podróżny, aż Pawlicha ze strachu krzyknęła ręce łamiąc, i chwyciwszy starego za ramiona, trzęść nim począł jak martwem drzewem, a Mikołaj jęczyć i krzyczyć. Pawlicha przyskoczyła nie wiedząc już co czynić, żeby kryminału nie dopuścić, bo ze starego łatwo było i rękami i strachem duszę wygnać.

— Mów mi zaraz, niegodziwcze... wołał przybyły...

Rzucił go na łóżko aż stary głową o ścianę stuknął, ale się zaraz porwał i siadł. Pawlicha zawodziła ze strachu... pies pod oknem wył... Chwila była okropna... bo i ów podróżny któremu twarz krwią nabiegła, jak bies z piekła wyglądał...

— Dziś się wola Boża nademną! zawołał stary z łóżka... tracąc poszanowanie wszelkie dla tego, którego tylko co jaśnie panem nazywał. — Co ja się mam bać albo taić! Toś ty lepszy odemnie? Albo to dziecko było moje? Dałeś mi je tylko dla tego, żeś mu kamienia do szyi przywiązać nie mógł, boś się bał!! Co ja miałem z dzieckiem zrobić — ja, stary? sam jeden? A gdybym je wychował co by z niego było? Żebraczka... Com miał uczynić? — Sumienie moje od twojego czyścić? Podrzuciłem je tam gdzie inne rzucają dzieci, aby panny co sieroty chowają, wychowały... Nie było w tym zbrodni...

Przybyły zamilkł, patrząc na starego, który się miotał...

— Tak mi panie Boże dopomóż, — dodał Mikołaj, mówię prawdę.

— Ale jakż dowód na to? krzyknął podróżny, ja potrzebuję dowodu!..

— Żadnego nie mam — odezwał się stary — rób co chcesz, albo mnie zduś tu na miejscu, albo mnie sobie do kryminału oddaj, więcej cierpieć nie będę — wszystko mi jedno...

To mówiąc, zsiniała twarz, wśród której dwoje oczów białych świeciło, podniósł ku napastnikowi, jakby wyzywając go... trząsł się cały.

Zmilkzał chwilę przybyły mężczyzna.

— Ty kłamiesz zawołał — ty jeszcze kłamiesz... przyznaj się...

— Do czego się mam ci przyznać? zuchwale odparł stary. — Niech pójda i popytają u podrzutków, powiem rok, miesiąc i dzień i godzinę, kiedy podrzuciłem dziecko, bom je sobie zapisał... dojdą łatwo czy praw-

dę mówię. — I począł na półce, nad głowami łóżka uczepioną, szukać starzej książki, która mu na poduszkę spadała... Wziął ją i wyciągnął z niej kartkę, podając przybyłemu... Ten spojrzawszy na nią, nie mówiąc słowa, zadumany, schował ją do pugilaresu.

— Masz szczęście! rzekł ponuro — masz szczęście...

A gdzież pieniądze, które ci na dziecko dałem?

Słyszac to pytanie Mikołaj zębami zazgrzytał. — Ale — zawołał — jeszcze ci mam pieniądze oddawać! a tyle lat com żył jak pies, z czego bym żył gdybym ich nie przejadł?

Rozśmiał się. — Będziesz widział pieniądze... ale! będziesz widział! Patrzajcie — jeszcze mu się czego zachciało?

Ściągnął powoli nogi na łóżko, i począł się łachmanami obwiązać spokojnie, jakby już przed sobą nie miał nikogo.

— Babo... zawołał schryplym głosem — idź — zawołaj wójta, sprowadź ludzi... niech się dzieje wola Boża, ja tego dłużej zcierpieć nie mogę i nie chcę... Pawlicha stała nieruchoma. — Podróżny też pogardliwie spojrzawszy na leżącego... podszedł do ognia zapalić cygaro już nic nie mówiąc... jakby na niego nie zważał.

— Którędy do karczmy? zapytał Pawlichy...

Baba rada się go pozbyć była; żywo więc rozpowiadać zaczęła, że od chaty w prawo idzie drożyna, a potem rów nie głęboki; trzeba przejść po kładzce i na groblę wuijść, a groblą zawsze w prawo, podle młynka, prosto do gospody.

Wyrozumiawszy to podróżny, już i okiem nie rzucił na Mikołaja, który z barłogu swojego patrzył za nim niespokojnie. — Otworzył drzwi, wziął konia, skrzypnęła furtka i słychać tylko było chód jego i koński, aż póki na większą łękę nie zeszedli...

W chacie po téj wrzawie panowało milczenie. Pawlicha zamyśloną, patrząc w ogień stała z założonemi rękami. Stary leżał i oczy mu się tylko świeciły. Zbliżyła się doń po chwili, myśląc że mu ta kłótnia i strach chorobę pogorszyć musiały — a litość ją wzięła nad nim.

— Co jegomości teraz? jak?

— Idź precz! mruknął Mikołaj, — zabierz swoje rupiecie i żeby mi tu więcej noga twoja nie powstała...

A była noc czarna i Pawlicha nie miała się gdzie schronić. Plasnęła w ręce...

— Gdzie ja pójdę w czarną noc?? Nie doczekanie twe... Jak dzień



zaświeci to ci się prosić nie będę... Pójdę... Albo to mi tu raj taki? Wole u żyda służyć niż u waszeeci...

Poszła sobie siennik słać, i burcząc się układała — a stary słowa nie rzekł. Rano myśląc że go nastraszy, poczęła węzełki swe ściągać, a on nie nie mówił. Co dziwniej, w nocy nie jęczał wcale, tylko oddychał ciężko. Sądziła że po takiej łaźni jaką przebył, nie podniesie się już i bodaj zaniemówi zupełnie, ale natura była znać w tym Mikołaju osobliwsza, bo nazajutrz rano o swój mocy bez kija się zwlókł, silniejszy niż wprzód, i sam sobie gospodarować począł. Babę precz wygnał, drzwiami za nią trzasnąwszy i zaryglowując je.

Gdy się we wsi pokazała Pawlich, a kumom owę noc ostanią opowiadać zaczęła, kuny mężom, mężowie zanieśli do karczmy, dworscy do oficyny i na folwark, — nazajutrz zrodziła się z tego historia taka, że tylko szubienicę byto postawić i Mikołaja powiesić bez sądu... Doszło to i do plebanii i do dziedzica, zaniepokoił się wszyscy, iż mieli człowieka na gruncie tak długo, który mógł nieszczęście i kłopot sprowadzić... Rada w radę ekonom nazajutrz miał iść do chaty i rozgadać się ze starym. O podróżnego w karczmie dopytywano także zaraz, ale arędarz zaręczył, że ledwie konia popasłszy, dalej kędyś w świat ruszył, nawet nie pytając o drogę. Ekonom nim się zebrał do Mikołaja zająć, wprzód do robotników musiał zajrzeć, na pole jeździć, wyklócić się z kilku parobkami, tak że z południa dopiero do chaty podjechał. Pies nawet nań nie zaszczekał, furtka była zamknięta, w koło głucho i cicho. Zlaził tedy ze stępaka uwiązawszy go do płota, a sam wszedł na podwórko. Drzwi od chaty były zamknięte, ale ze środka nie zaryglowane, tak samo drugie z sieni do izby wiodące. Otworzył je ekonom, spojrział wewnątrz — nikogo. — Sprzęty zostały, barłóg na którym legiwał Mikołaj, jeszcze stał wyleżały i wyduszony jak był, na kołkach zostało coś łachmanów, reszta pozabierana — i starego ani śladu.

Jak mógł ów człowiek uciec, który niedawno ledwie o kiju się wlokł przez podwórko, tego trudno było zrozumieć. Nikt też go wychodzącego nie widział. Psa zabrał z sobą — nie rychło, bo na trzeci dzień dzieci które biegły ze dzbankami do krynicy, powiedziały iż zrana widziały kogoś z chaty idącego ze psem przez pola, a z węzełkiem na plecach, ale go nie poznały, bo stary źle chodził, a tamten i rzeźko się ruszał i młodziej wyglądał... Znać mu ten strach i wzruszenie zamiast zaszkodzić poskutkowało, że władzę lepszą w nogach odzyskał. Dwo-

rowi się należał czynsz, więc rupiecie pozostałe zabrano i posprzedawano, ale nie było ani na połowę zaległości. Pod barłogiem poruszona była ziemia, gdzie garnuszek pono miał zakopany, w którym pieniądze chował... a Pawlicha nawet o nich nie wiedziała.

---

Jednego poranku gdy się go tam najmniej spodziewano, pan Michał Skórski zjawił się w Brończéj, ale do dworu swego nawet nie zajechał, tylko wprost do leśniczego, do gaju, zkąd chłopaka wyprawił aby mu ekonoma sprowadził. A miał starego sługę, co już lat tam przebył ze dwadzieścia, i człowiek był niezły, tylko nie pomierny hulaka. Godzili się pan i sługa, a wzajem sobie wiele wybacząc bardzo się kochali.

Cyrkiewicz zaraz na konia wsiadł i do Leśniczówki pojechał... Lasu w Brończéj było dosyć, i gąszcze a moczary nad rzeką niedostępne, do których mało kto się kiedy dostał. A że wywóz drzewa z téj części lasu był trudny, ocaliło to puszczy kawał piękny i miały czas porosnąć tam sosny, jakich na całą okolicę nie było. Leśniczówka leżała właśnie na kraju tego boru, a była to chata porządniejsza nieco od wiejskich, w której na czas letniego myśliwstwa, pan Michał izbę sobie osobną trzymał, bo niekiedy po parę tygodni polował... Teraz mu się ona przydała wielce, choć o łowach nie myślał... Prędzej niż się go spodziewano przyleciał Cyrkiewicz zdyszany, pojąc nie mogąc dla czego pan zamiast do dworu, wprost się udał na Leśniczówkę; już mu to wielce do myślenia dawało. Na progu spostrzegł Skórskiego, a z twarzy mógł poznać, iż mu się coś stało, nigdy bowiem nawet po chorobie tak staro, wymizerowany i straszny nie wyglądał. Weszli z nim zaraz do pańskiej izby.

— Słyszysz Cyrkiewicz, rzekł Skórski, na nikogo nie rachuję, a w tobie jednym mam ufność. Myślę że mnie nie zdradzisz...

— Panie! przerwał Cyrkiewicz gorąco, żony ani dzieci nie mam, sam jestem, o nie nie dbam tak dalece... Każ pan co chcesz, choćby głową nałożyć przyszło.

— Głowy w istocie potrzeba, ale nie na to aby nią nałożyć — rzekł Skórski. Jedno wątpię powiem, mój Cyrkiewicz — gdyby cię pieczono i warzono w smole, mnie tu niema, nie było i waszmość nie wiesz co

się zemną stało. Ludzie i rzeczy powrócą z Warszawy, im też nie nie mówić o mnie. Leśniczego jestem pewny — chłopca którego posyłam po ciebie odesłać zaraz gdzie chcesz, aby w domu nie był i nie papał...

— To się rozumié — odezwał się Cyrkiewicz, choć jeszcze nie bardzo mógł zrozumieć całej sprawy.

— Składa się tak że ja tu jakiś czas muszę przesiedzieć aby o mnie świat i ludzie nie wiedzieli i zapomnieli. Będą przychodzić listy, proszę odsyłać je nazad z tém, iż niewiadome wam miejsce mojego pobytu...

— A już ja sobie radę dam; — odezwał się ekonom wzdychając, ale proszę jasnie pana. co się stało? jeśli wolno zapytać.

— Mała rzecz, głupstwo — odparł Michał — przegrało się trochę pieniędzy w Warszawie, szulery mnie podeszli... Musiałem dać weksel... niechże dochodzą kiedy potrafią... naprzód tego co weksel wydał, a potem na wiosce pieniędzy... Niéma i chwili do stracenia nim się co rozpocznie, dodał, jedź waćpan po Dygowskiego, temu usta pieniędzmi zamknę aby nie gadał; a trzeba zrobić tak, aby na wiosce nie było co wziąć...

Przeszedł się po izbie p. Michał jakoś już na duchu trochę dźwignięty...

— Ale tu jasnie panu trzeba co przysłać rzeczy, pościeli, ba i do życia; rzekł Cyrkiewicz...

— Chyba tak, aby w domu ani znać było co się wzięło, ani o tém kto wiedział. Rozumiész waćpan... Jakby się wydało że tu jestem, wszystko przepadnie. Jedź po Dygowskiego, mów z nim na cztery oczy, wsadź go na bryczkę i przywoź. Masz co pieniędzy?

Cyrkiewicz usta trochę skrzywił. Muszą się znaleźć. Sprzedam kopę sosen...

Poszeptali z sobą; ekonom chłopca dla utrzymania tajemnicy z listem wysłał do stryjecznego brata o mil sześć, a bratu załceił aby sobie z nim robił co chce, a do domu go nie puszczał. W godzin kilka jechał po Dygowskiego, który był prawnikiem Skórskiego oddawna. Należał on do tego kółka ludzi życie lubiących, jakimkolwiek bądź kosztem, — do którego i p. Michał Skórski się liczył. Karty, butelka, przyjemne próżniacze towarzystwo, składały się na żywot i sprawy pana Godziemby-Dygowskiego, z powołania prawnika, a niegdyś młodzieńca wielkich nadziei. W istocie był to człowiek zdolności rzadkich, obje-



cia łatwego, wielkiej i trafnej logiki, o którą u nas niezmiennie trudno—ale wszystko to niszczyła lekkomyślność i rozpusta... Wyzwolenie z pod pewnych praw moralnych, jakkolwiekby się one mogły zdawać mniej może ważnemi, — prowadzi zawsze za sobą sceptycyzm względem praw tych w ogóle. Tym wyłomem w sumieniu wchodzi doń sofizmata, które burzą całą jego budowę...

— Pan Godziemba-Dygowski ani się też spostrzegł lekceważąc z razu spokój rodzin i święte węzły co je spajają — dopomagając przyjaciółom do wywijania się od wypłat, długów i zadość uczynienia zobowiązaniom — jak wkrótce potem z równą obojętnością począł wszystko co pocziwe, zacne i szlachetne lekceważyć i omijać. Gotów był jako prawnik i obrońca, nie już bronić uciskionych i niewinnych, ale uciskających i występnych. Nie było to w nim zepsuciem można powiedzieć—ale nie przebaczoną, bezwiedną plochością. W śmiech nawykł obracać wszystko, ludzi zacnych i rzeczy święte...

Gdy mógł uczynić dobrze, robił to z równą obojętnością z jaką złe popełniał. — Olbrzymie zdolności łączyły się w nim z niezmienną lekkomyślnością.

Ze Skórskim lubili się jak dwaj ludzie, którzy jedne mają wady, a nie obawiają się by sobie wzajem zawadzać mieli.

W nocy już przybywszy Cyrkiewicz do miasteczka, zastał na nie-szczęście n Dygowskiego kawalerski wieczorek. Nie pokazując się wcale, aby na siebie nie zwrócić uwagi, wywołał go zrećznie i opowiedział mu rzecz całą. — Na miłość Boga, niech pan tylko nie nie mówi, dokąd jedzie, ja z bryczką czekam w zajeździe krakowskim...

Dygowski powrócił do gości ze starym listem wyjętym z kieszeni, a niby odebrany w tej chwili, i z twarzą zafrasowaną, oznajmując im że w pewnym pilnym interesie wezwany jest za Bug do Porycka... Goście dopiwszy ponczu i pokończywszy rachunki wynieśli się zaraz do doktora Weissa, który ich zaprosił, a w godzinę Dygowski otulony płaszczem, siadał w zajeździe krakowskim na bryczkę i ruszał manowcami do Leśniczówki.

Czekał nań z herbatą Skórski...

Uściskali się serdecznie.

— Dygowski, rzekł p. Michał, wlałem po uszy w błoto, trzeba mnie ratować. — Piérwsza rzecz mnie tu niema i nie było, pojechałem do Warszawy i — nie powróciłem. Ty nie wiesz nic więcej.

Na Brończę wydałem weksel sznlerowi, który mnie haniebnie ograł na 25,000 rubli.

Dygowski syknął. — Niech cię kaci porwą.

— Niech jego porwą nie mnie, przerwał Skórski. Na Brończęj jest Towarzystwo, są długi, obrachowawszy wszystko zostaje może trzydzieści albo 25,000 rs. czystych. — Otóż idzie o to aby Brończę zamazać tak aby... aby na niej nie było nic...

— Nie jest to łatwe; — rzekł Dygowski siadając.

— Dla głupich wszystko trudne, ale nie dla ciebie, mój drogi, — kończył Skórski. Mnie się widzi że antydatowany skrypt, na sumę 30,000, wniesiony do akt wszystko pokryje...

— Ale komuż go wydasz?

— Choćby tobie...

— Ja nie mogę.

Zaczęli myśleć i rzucać nazwiska... męczyli się długo, stosownego nie niepodobna było wynaleźć. Dygowski gotów był do owego kondyktu, ale na swe imię przyjąć go nie mógł. Warunkiem było ażeby dług prawdopodobnym się wydawał... Po długich naradach, nie było innego sposobu nad użycie Cyrkiewicza, boć nie jeden tak ekonom bogaci się kosztem pana i jego własne mu potem pieniądze pożyczają, a często i z majątku wypiera. Stało się więc na tym aby Cyrkiewicz zastraszoniby zniknięciem pana, stare różnej daty skrypty, teraz wniósł na hypotekę...

Układano summy, daty i gwarząc zabawiono do wieczora. — Dygowski nasłuchiwał się opowiadania o Warszawie, wypili parę butelek, wina, ściągnięto i ekonoma dla wyuczenia go roli... i Dygowski świeżemi końmi powrócił do miasteczka...

---

Gdy tu się tak misternie składały rzeczy, w Warszawie zniknięcie Skórskiego na pozór żadnego prawie nie uczyniło wrażenia. Generał wszedł do pokoju żony, ze złośliwym uśmiechem na ustach.

— Uciekł, rzekł krótko — poznał widać co się święci. Mniejsza o to... byle nie powracał — i byłem na jego wiosce znalazł moje pieniądze...

Generałowa stała niema.

— Dokąd że mógł uciec? nie gdzieindziej jak do domu...

General coś mruknął, spojrzał na żonę, która w fotel upadła zamysłona, i wyszedł. W chwilę potem, wyjrawszy oknem aby dopatrzeć gdy mąż wyjdzie do miasta, Natalia włożyła kapelusz, narzuciła zasłonkę i wymknęła się drugimi drzwiami do Teresy. Wszystkie jej plany zostały zniszczone, żyz żalu i rozdrażnienia płynęły po jej twarzy, biegła raczej niż szła do przyjaciółki, a gdy się drzwi otworzyły wpadła tak zrozpaczona, iż Teresa przelekła porwała ją w objęcia, aby ukoić i ukołysać...

— Co ci jest znowu? moja droga? co ci się stało?

— Uciekł! jeduém słowem odpowiedziała płacząc Natalia... Miałam nadzieję dobyć z niego wiadomość o mojem dziecieniu... Byłam u niego sama, błagałam... nie dobyłam z niego nic... a jednak on musi wiedzieć co z nim uczynił! Uciekł a z nim nadzieja odzyskania tej po której płaczę... Uciekł...

Mówiąc to generałowa odwróciła się, i dopiero postrzegła, że siostra jej siedziała obok i słuchała. Słyszac wyraz ten — Uciekł, porwała się nagle z krzesła, oczy się jej zapaliły ogniem, drgnęła i powtórzyła napół obłąkana.

— Uciekł — ja go ścigać muszę! On tu był... ja znajdę—dosięgnę ja jedna... Idę... znajdę.

Natalia odwróciła się ku niej razem z Teresą, ale żadne wyrazy, ani prośby, ani obietnice nie mogły jej poskromić i uspokoić. Obłąkanie zdawało się powracać z dawną gorączką.

— Mnie trzeba iść za nim... wołała — ja wiem gdzie go szukać... On w Brończęj, nie może być gdzieindziej, ja drogę wiem... Gdzie on tam i ja... Wyrывая się z rąk wstrzymującym ją, otworzyła drzwi z krzykiem, chwilę stała na korytarzu, jakby przypominając coś sobie, rzuciła się na wschody do swjej izdebki... w tém Lizka uastręczyła się Natalii.

— Dziecko moje, zawołała.... ta biedna kobieta kocha ciebie — posłucha cię może, idź, bież, prosz ją aby z nami została...

Dziecku tego było tylko potrzeba, pędem pobiegła na wschody. Drzwi izdebki w której mieszkała Róża stały otworem, ona w środku niej zrzucała suknie, szukając starych swoich łachmanów i kija. Na podłodze leżały porozrzucane rzeczy, które w pośpiechu pościagała z komody i łóżka...

Jakieś niezrozumiałe wyrazy, ze śmiechem konwulsyjnym mieszanę, wyrывały się z ust... Dziecię nieco przestraszone stanęło w progu...



— Co wy robicie... zawołało.

Srebrny głoszek dziecka przejął ją strachem, drgnęła i krzyknęła...

— Co ty tu robisz, dziecko — zawołała wybuchając łkaniem. Po coś tu przyszła patrzeć na nieszczęśliwą... W twoim wieku tyś znać nie powinna że są takie dole na świecie i takie jak ja istoty... Idź — dziecko moje, uciekaj ztąd... zostaw mnie. Bóg z tobą... idź.

Z rękami obiema wyciągniętymi zdawała się ją odpychać. Dziecię patrzyło ciekawie, przelęknęło nieco, lecz że mu wstrzymać ją kazano.

— Nie pójde ztąd — rzekła Lizka — musicie się uspokoić, zostać... bo ja was nie puszczę. Doprawdy was nie puszczę... Ja wiem co was może uspokoić... Zmówimy litanią razem... Prawda?...

Róża się wstrzęsła...

— Niegodne w téj chwili usta moje i serce z tobą razem się modlić. Idź dziecko moje... Mnie nie wstrzymać nie może, mnie ciągnie przeznaczenie, mnie woła głos, którego słuchać nawykłam...

Dziecko się zamyśliło.

— Ale nie — ozwała się zbliżając zwolna do biednej obłąkanéj i przemagając wstręt a obawę — żadnego głosu niéma... nie nie ciągnie... potrzeba się pomodlić, usiąć spokojnie... Ja tu przy was na stołeczku siadę... nie dam wam o smutnych rzeczach myśleć i tak to przejdzie.

Słuchając szczebiotania tego, pod urokiem jego stała obłąkana łagodniejąc i napawając się mową dziecięcą.

Zdawało się nawet że ulegnie... Posłuszna, zaprzestała zrzynać suknie, okryła się, usiadła. Szczęśliwa ze swego tryumfu Lizka wzięła stołeczek, przysunęła się ku niéj i patrząc jéj w oczy ciągle swe rady powtarzała.

— Tak to dobrze, ja was będę kochała i mama i piękna ciocia generałowa... Tylko nie trzeba tak smutnie wykrzykiwać... bo może to bolić i mamę i ciocię... Żebyście wiedzieli jak desperują...

— Moje dziecko, z uśmiechem rzekła przychodząc do siebie i płacząc razem Róża — po cóż ja tu komu? Wszyscy boicie się mnie, waryatki — ja sama siebie się lękam... Na co ja komu potrzebna? Zawadą jestem i ciężarem...

— Otoż nie, kiedy pani grzeczna, to panią jak mnie, wszyscy kochają, i ja — bardzo.

Róża chciała się schylić by ją pocałować; myśl ta że w dziecku wstręt obudzić może, wstrzymała ją — płakała po cichu, że łzami tro-

chę gorączki spłynęło. Lizce pilno było się swoim tryumfem pochwalić, ale nie śmiała odejść czując instynktowo, że z nią może ustąpić wrażenie. Siedziała więc, nie bogata w słowa, powtarzając jedno, a Róża słuchała więcej dźwięku jej mowy niżeli tego co mówiła...

Migła chwila—weszła generałowa i Teresa. Zobaczywszy ten cnd stanęły obie z daleka... oblakana zarumieniła się. Spojrzenie na siostrę zdawało się nagle przywozić jej na pamięć wszystko co od niej słyszała—wzruszenie wracało... Lizka patrząc jej w oczy... położyła paluszek na nosku i groziła.

— O! znowu! znowu! zawołała... a ja was proszę być spokojną...

Natalia chwyciła dziecko w uścisk, przysiadła do niej na ziemi z czułością i lzy mając w oczach szeptała...

— Czemuż z tą niewinnością aniołka—dziecięcia, zostać na całejście nie można... czemu nas tak psuje świat... czerni każdy dzień sadzą spalonych myśli. O dziecko moje— bądź jak najdłużej dziecięciem...

— A! proszę pani—przerwała Lizka naiwnie, a ja właśnie takbym prędko, prędko chciała wyrosnąć...

Smutny uśmiech przebiegł wszystkie twarze. Ten epizod z wychowaniem zdawał się szczęściem oddziaływać na Różę. Szał w który była wpadła, następował... Nie mówiono tylko o dziecięciu i o rzeczach obojętnych. Nareszcie generałowa przystąpiła do siostry, szepecząc cicho.

— Różo, proszę cię... bądź spokojną... Spuść się na mnie... Nie uciecze on przed nami, ty go ścigać nie potrzebujesz...

Jakby przyjmując naukę i rady, nie odpowiedziała na nią nic Róża i spuściła oczy. W przekonaniu iż nie już nie zagraża siostrze, Natalia zabrała się powracać do domu... Lizka i panna Teresa zeszły na dół, bo się na wieczór spodziewano profesora. Uciszyło się wszystko w domu...

Dziecię po kilka razy biegało na górę, podsłuchiwać pode drzwiami Róży, ale cicho było w jej izdebce... Sądzone iż zmęczona, pomodliwszy się poszła na spoczynek. Nazajutrz rano nie znaleziono jej nigdzie. Na stos zrzucone suknie, z których najnudniejsze wybrała, świadczyły że opuściła mieszkanie, że szał dawny znowu nią owładnął.

Stało się to jeszcze z wieczora, gdy profesor czytał pannie Teresie jeden z dramatów Wiktora Hugo;—po wschodach na palcach spuściła się uboga nbrana kobieta, — zatrzymała chwilę u drzwi, żegnając je wzrokiem, i spieszenie dobiegłszy do bramy, wyruszyła na ulicę. W sąsiednim szynku, przed którym stały dorożki i gdzie woźnice popijali „trosk zapo-





...i nocą pociągnęła dalej a dalej... (Do str. 97).





mnienie“ — Róża z gorączką długo hamowanego nałogu dopadła kieliszków...

— Dajcie! zawołała cicho nie patrząc na nikogo.

Gospodyni z litością na nią spoglądając nalała, — kobieta ręką drżącą poniosła do ust, wychyliła duszkiem, rzuciła pieniądze na stół i uciekła...

Śpiwając poszła w dalszą drogę ulicami. I przeszła most i Pragę, i nocą pociągnęła dalej a dalej, ku známym polom i lasom...

Kilka dni trwała ta podróż, przerywana odpoczynkami po karczmach i snem, po szopach, z węzelkiem pod głową. Ze stajni woźnice ją wypędzali, biczami smagając; na drodze patrzano za idącą... Gdy ludzie na nią oczy zwracali, zwykle stawiała, biorąc się w boki dumnie i łajła. Snem, marzeniem, bólem, wędrówką machinalną, spoczynkiem po lasach na mokrej ziemi, przeszły kilka dni włóczęgi aż do znanego miasteczka. Tu już była jak w domu, znano ją — i gdy się pokazała wśród pierwszych domostw, a psy na nią njadać zaczęły, przybiegały dzieci wołając — potańcuj nam Cześnikówno! zaśpiewaj panno Rózo! a na wołanie dziecinne zrywała się do skoków, i śmiała się małym prześladowcom.

W karczmie Chaim stary zdziwił się zobaczywszy ją, mieli bowiem Cześnikównę za umarłą, i wieści chodziły że się utopiła. Siadła na ławie zmęczona.

— A gdzież to panna bywała? Spytał Chaim, że jej tu tak długo widać nie było?...

— Po świecie chodziłam, po świecie wędrowałam, a co komu do tego? Przyjmowali mnie pięknie krewni w Warszawie, i opływałam we wszystko, ale mi się za wami i za lasami stęskniło... taki bo to niema jak swoboda...

— Żydzie, daj no wódki!

— A jest czém zapłacić? zapytał Chaim niedowierzająco.

— Kiedyżem to ja ci się zadłużyła? ofuknęła Róża. Szabasówki daj, żeby jak ogień paliła...

Żyd przyniósł posłuszny.

— Co tu u was słychać? spytała. Kto umarł, kto się urodził, a kogo lichu wzięło... Cóż pan z Brończęj? czy już zdrów?

— Pojechał ci dawno do Warszawy, rzekł żyd, i słyszę konie i ludzi odesłał, sam nie powrócił.

Cześnikówny.

Róża rozśmiała się.

— A gdzieby się podział! zawołała... gdzieś on tu musi być! ho! ho! Jak go tam nie stało, to go tu szukać...

— A zkądże panna wie że go tam nie stało? zapytał żyd, zdumiony...

— Bo ja wszystko wiem — odparła Cześniówna — na jawie tom głupia albo pijana, a no we śnie wszystko widzę jak na dłoni. Ho! ho! on tu gdzieś być musi!

Ruszył żyd ramionami... Cześniówna znużona ręce podłożyła pod głowę i zasnęła na stole, a spała tak do nocy. Chcieli ją wyrzucić z karczmy ale się nie dała, i pozwolili jej tak spać do rana... Jak świt poczęto dzwonić w kościółku, Cześniówna oczy przetarła, obejrzała się po izbie, westchnęła i wyszła... Ranek był szary, mglisty i smutny, dzwonek jęczał żałobnie, około kościółka oprócz dziadka nikogo... Róża weszła na cmentarz a z niego do kościółka, klękała w kruchcie i z podniesionymi rękami poczęła się modlić prawie głośno i płakać...

Wyszedł ksiądz ze mszą świętą, ona na kolanach wpelzła do kościółka... Tu padła krzyżem i leżała tak przez mszę całą. Odprawiał ją trochę teraz zdrowszy ksiądz proboszcz staruszek, który zobaczywszy Cześniównę, gdy wyszedł do zakrystyi, posłał po nią organistę. On jeden był wtajemniczonym, on jeden tu znał jej dzieje i przeboleale dni ciężkie.

Z nim ona jedynym mówiła inaczej jak z ludźmi ale jego unikała... Tym razem powlokła się zawołana, stanęła we drzwiach na kijn oparta i milcząc czekała pytania.

Łagodnie przystąpił ku niej staruszek.

— Bóg z tobą, rzekł swoim obyczajem — co się stało wam, gdzieście byli tyle czasu, myślałem że nareszcie Bóg się nad wami ulitował i dał wam kąt spokojny, abyście tej włóczęgi poprzestali...

— Gdzie ja bywałam, trzęsąc głową odezwiała się Róża — a mój ojciec! ja sama nie wierzę sobie gdy myślę gdzie to ja zaszłam, gdzie byłam i jak się tu nazad dostałam...

Zaczęła wdychać, trąc twarz ręką...

— Chodziłam za tym djabełkiem co do Warszawy pojechał, bo mi pan Bóg przykazał ażebym się za nim włóczyła, jak mara aż do śmierci...

Głos zniżyła. — Znalazłam tam siostrę, (poczęła się śmiać) chcieli mnie z nim ożenić, ale uciekł a ja za nim znowu, bo muszę — bo muszę...





Niepoprawiona jesteś, zia... (Do str. 99).



— Jego tu niema — odparł ksiądz, i już by ci dosyć było tego wążsania się po świecie...

— A! nie — odparła kobieta — kiedy pokuta to pokuta... muszę za grzech pokutować, a już ciężiej niepodobna jak ja... Poszedł on i ja za nim... On tu musi być! Ja go znajdę — kryje się, ale to nic nie pomoże, ja go i w piekle wyszukam...

— Gdzież by był? i dla czego by się miał chować? rzekł staruszek.

— Albo ja wiem! Złakł się generałowej — rzekła Róża, bo moja siostra teraz generałową! dodała. Jedne losy a nie jedno szczęście... ale i ona nie w raj. Nie!...

— Dawno was bardzo nie widziałem, przerwał staruszek... Obwinił was tutaj żeście wy pono konia mu nastraszyli w nocy umyślnie, gdy się o mało nie zabił? A godzi się to?

— Ojczy kochany, schylając się do sukni starszka i całując ją zawołała Róża — powiem jak na spowiedzi... Konian ja nie straszyła, alem pana za nogę z niego ściągnęła... myślałam że się o drzewo rozbije... alem tego nie dokazała.

Ksiądz ręce załamał.

— I śmiesz potem modlić się w kościele, ty co nauczona bożkim przykładem nieprzyjacielowi przebaczyć nie umiesz, a ścigasz go niepoeciwią zemstą swoją.

— A kiedy mnie pan Bóg na to przeznaczył, odparła żywo Cześnikówna. Pamiętam jak dziś, a było to dawno, gdym jeszcze płakać umiała i usnęłam z płaczem... Zjawił się przedemną starzec w światłości i rzekł mi:—Idź i mścij się nad nim, a nie opuszczaj go aż do zgonu...

— Sen, mara! głupstwo! z oburzeniem zawołał proboszcz... Jak możesz pleść takie rzeczy... Dość już tego obłędu i szaleństwa... dość.— Cierpiał on, cierpiałaś ty... Bogu zdaj sprawy swoje... Znajdę ci przytułek.

Kobieta głową trząść zaczęła i bić się w piersi.

— Ojczy, dobrodzieju! nie mogę! Muszę się za siebie mścić, za siostrę, za jej dziecinę, którą gdzieś ten człek zaprzepaścił, i za matkę co z rozpacz y umarła. O tego nie dosyć...

Proboszcz był oburzony w końcu.

— Niepoprawiona jesteś, zła... Patrz, zawołał, żeby ci Bóg tak kiedyś twoich win przepuścić nie chciał, jak ty nie przebaczasz jemu...



— A toć ja wiem że w piekle gorzćć muszę—westchnęła Cześni-kówna, ja i tu już początek jego mam na ziemi, i byle on tam był także, bylem mogła patrzeć na jego męczarnie, to mi i piekło osłodzi...

Podniosła głowę śmiejąc się; — szal ją opanowywał.

— Niech się już dobrodziej nie męczy dla takiej jak ja grzeszni-cy — dodała... takiej duszy jak moja i anieli z błota nie wyciągną... Do nóżek się ściele... ojca dobrodzieja... Niech będzie pochwalony...

To mówiąc otworzyła drzwi zakrystyi i uciekła...

W Brończej nie było ani słyhu o panu;—z Warszawy przysły pi-sma urzędowe, które nazad zwrócono z poświadczeniem nrzędu, iż o miej-scu pobytu p. Michała Skórskiego nie wiedzano.

Tymczasem Cyrkiewicz z wierzytelnościami jakie na Brończej miał poszedł do sądów, i umiał tak chodźć okolo swęj sprawy, że z pomocą Dygowskiego na majątku sekwestr położył, a wieś dostał w administra-cyą. Przeciągnęło się to nieco. Przysłano z Warszawy w imieniu genera-ła pozew o dług, ale gdy przyszło go mieścić na hipotece, nie było już nań w Brończej nic oprócz ruchomości, które licytowano za podatki za-ległe, a Cyrkiewicz stając do licytacji wszystko zakupił.

Umocowany generała dał mu znać, że darmo by kosztła łożył, bo tu już z próżnego nie było co naléwać.

I znowu przez czas jakiś cicho było.

O panu Skórskim najrozmaitsze chodzyły wieści, że uciekł za gra-nicę, że w drodze życie sobie odebrał, że do klasztoru wstąpił, — sło-wem plótł każdy co kto chciał... a nikt o niczém nie wiedział... Gdy nastała wiosna i początki lata, ekonom objeżdżając lasy spotkał w nich znowu dawniej już widywaną Cześniównę. Cała jęj historya była mu dobrze wiadomą.

Właśnie do Leśniczówki, do Skórskiego, z raportem jechał, gdy zboczywszy w las, bo mu się zdało że siekiérę usłyszał, w dziupli starego dębu, w którym Róża obrała sobie oddawna mieszkanie letnie, zobaczył ją wyglądającą z głową kwiatkami upstrzoną. Cześniówna, która nie dawno do tego schronienia wróciła z leśnej karczemki, na widok Cyr-kiewicza nśniechnęła się, a on podniósł bat w górę i zakrzyczał:

— Tylko ty mi się tu tłucz po lesie, stara wiedźno! dam ja ci!

— A nie widzisz ślepy krecie, żem dziś ja panią tutaj ..

Cyrkiewicz poczerwieniał od złości.

— Ja cię tu w lesie nie ścierpię...

— Kochanie moje... Krwi sobie nie psuj... ja tu siedziałam tyle lat i siedzieć będę... Cóż ja ci złego robię... trochę jagódek narwę, grzybka sobie na suchych gałązkach upiekę — i po wszystkiém... Gdybyś miał sumienie to byś mi dał pokój... a jak mi dokuczysz... to naślę ci chorobę, zaczaruję, zawiążę węzła w zbożu na twoją głowę i kaci cię wezmą, tak jak twego pana...

Cyrkiewicz który się niczego nie bał i stawał z oszczepem na niedzwiedzia nie drgnąwszy — czarów się lękał; pogroził więc tylko ręką siedząc w dziupli Róży i odjechał powoli. Ona śmiała się i za oddalającym się śpiewała:—A nie bądź okrutnym, srodze bałamutnym, kochanie... Nie rzucaj niebogi w tym stanie!!

Długo jeszcze piosnka i śmiech brzmiały mu w uszach...

— A czego on u kata mało nie codzień jeździ do Leśniczówki! poczęła, wyglądając za nim, myśleć Cześnikówna. W tém coś jest. Chyba tam kochankę ma, ale by jój przecie nie ukrywał, trzymał by ją we dworze!

Myśl jak błyskawica przeleciała jój po głowie, wychyliła się ze swego dębu... i po narościach spuściła się na dół... obejrzała dokoła po drzewach aby bez drogi trafić do chaty leśnika, i cicho, nie odzywając się, przekradając, powoli pociągnęła lasem, kierując po znanych sobie bagnach, zawałach i uroczyskach.

Cyrkiewicz jechał drożyną, która okrążała moczary i błota. Cześnikówna знаła tak dobrze miejsca, któremi prawie sucho przejść było można, że o pół sobie drogę skróciła, i gdy się znalazła nieopodal chaty leśnika, jeszcze ekonoma tu słyszeć nie było.

Leśniczówka stała w starym borze ale gęsto podszytym krzakami leszczyny i kaliny... Łatwo się tam było zacząć i podkraść, bo ją tylko z tyłu płot i mały ogródek otaczał, na którym trochę nędznego rośło warzywa. Wybrawszy sobie miejsce dogodne, Cześnikówna zasiadła naprzeciw drzwi samych, aby widzieć mogła co się w dzień dzieć będzie. Wprawdzie zaraz po jój przyjściu, gdy zaszeleściły gałęzie, jeden z gończych psów leśniczego, wybiegł przed próg i szukać począł— lecz wprędce ziewnąwszy wstał i na przyźbie się położył, gdzie słońce pięknie grzało. Nie rychło dopiero tentent konia oznajmił nadjeżdżają-

cego Cyrkiewicza, który świszcząc, powoli się zbliżał. Pies zerwał się znowu, szczeknął i siadł nastawiwszy uszy... Na ścieżynce ukazał się pan ekonom, a ze drzwi Leśniczówki wyszedł naprzód gospodarz i wyjrzał, potem zapewne znać dał panu, bo też i pan Michał w snknance, z cygarem w ustach, stanął na prog...

Cześnikówna zobaczywszy go o mało nie krzyknęła z dzikiej radości, powstrzymała się jednak, ręką cisnąć usta... oczy jej pały dziko, przychyliła się aby widzieć lepiej i słyszeć mogła.

Cicho było dokoła, małym wiatrem poruszane wysokie sosny ledwie głucho szumiały w górze; każde więc słowo wyraźnie do uszu jej dochodziło.

Cyrkiewicz zsiadł zdejmując czapkę, papiéry jakieś miał w kieszeni.

— Jak się masz — rzekł Skórski postępując ku niemu — cóż Dygowski? co z Warszawy? jak tam sobie rady dajecie?

— A nie — odparł ekonom — złego, chwała Bogu, niema nic — po staremu! Generał nas papiérkami obsyła, ale mi to się na nic nie zda... Myślę że w końcu da nam pokój.

— Ależ tak wiecznie trwać nie może, — zawołał Skórski, ja się tu uduszę w tej Leśniczówce. Za próg nie śniem się wychylić, zapolować nie mogę chyba późnym wieczorem aby mnie kto nie zobaczył... mnié- rać trzeba z nudów, a jeden Dygowski coby przez litość powinien zajrzeć, nie przyjeżdża.

Cyrkiewiczowi na myśl przyszła Cześnikówna, którą świeżo widział i namyslał się czyby o niej pawa nie przestrzedz. Wiedząc wszakże jak go ona niecierpliwiła i drażniła, a nawet wspomnienie o niej było mu nieznośnem, i zważając że z chaty nie wychodząc spotkać się z nią nie może, — wołał zamilczeć.

— Dygowski, rzekł, nigdy czasu nie ma... Prosiłem go ale mi powiedział — nie tak to łatwo...

— Przecież to się raz jakoś skończyć musi, mówił Skórski ziewając, nie mogę tu na pustyni życia dokonać. Trzeba coś poradzić.

Usiadł na przyźbie p. Michał.

— Siadaj Cyrkiewicz, rzekł — ja tu dni i nocy medytując coś wymyśliłem: trzeba byś o tém pomówił z Dygowskim...

Ekonom słuchał z wielką uwagą.

— Generałowi się sprzykrzy wreszcie i płacić i posyłać. Gdy się przekona że tu dla niego niema nic, trzeba go zażyć z mańki. Poje-



dziesz waćpan do Warszawy. Jesteś tak jak dziedzicem Brończój, chcesz być spokojnym, wejdiesz z nim na swoją rękę o nabycie długu... Dasz mu do kata, odczepnego pięć tysięcy rubli, dostaniesz odemnie za fatygę trzy—i interes będzie ubity... Gdy dług przeleje na ciebie, przynajmniej z nory będę mógł wyjść.

— Byle się na to zgodził naprzód Dygowski, potem ten prześlęty generał — odezwał się ekonom, bardzo by to była dobra rzecz...

— Mnie tu już i cierpliwości brak i zdrowia—zawędzę się, mówił Skórski—nie wytrwam...

Mówili tak z sobą długo, a Cześniówna słuchała... Nie ruszyła się, nie drgnęła, aby się nie zdradzić, przyczała, przypadła i wyczekawszy gdzie Cyrkiewicz na koń siadł, a pan Michał nazad poziewając do Leśniczówki wszedł, dopiero się rozprostowała. Chciała na tryumf zaśpiewać, ale się powstrzymała; uśmiechała się tylko sama do siebie głaskając ręką po twarzy.

— Jaka ty, kochanie moje, rozumna, mówiła sama do siebie,—tylkoż miéj taki rozumek do końca...

Cichutko z krzaków się wydobywszy, puściła się znowu borem, ku swojej dziupli, w której zwykła była nocować... Tu wlaższy, zwyczajem swym ukłękła, pomodliła się, potem łachmanami okryła i w pół siedząc, pół leżąc, z głową o wypaloną ścianę dębu opartą... usnęła, a przez sen śpiewała i mruczała noc całą.

Promienie wschodzącego słońca, wdzierające się do lasu przez wydatte polanki, zbndziły Różę... Wstała prędko, spuściła się z wyżyny i szła dróżyną, która prowadziła od lasu do Brończój i od miasteczka...

Nie była jeszcze pewną co ma uczynić, ale jéj słodko było że znów ma w ręku nieprzyjaciela... Traf ją wprowadził na drogę, siadła pod krzyżem... czując się zmęczoną...

Drogą słyhać było szybko jadącą bryczkę pocztową ku Brończój. Spojrzała... Siedział na niéj ogorzały, niemłody mężczyzna, niemiléj twarzy... Zobaczywszy żebraczkę przy krzyżu, kazał zatrzymać konie...

— Dobrze tędy do dworu? zapytał rzucając jéj kilka groszy.

— Do Brończój? a juścić! odparła żebraczka, ale tam pana niéma....

— Podróżny ramionami ruszył... dał znak woźnicy i jechał dalej. Cześniówna wstała i także się w tę stronę powlekła...

Był to generał Hochwarth przybywający sam dla wyzyskania swo-

jego długu i obejrzenia wioski. Miał zamiar ją nabyć, domysławiając się kondyktu jakim ją okryto... Rachował na to, że broniąc wsi, coś mu zapłacić będą musieli. Gdy bryczka pocztowa zatoczyła się w dziedziniec, trawą porosły i zdzięzałami chwastami, Cyrkiewicz stał przed oficyną z fajeczką. Z opisu Skórskiego domyślił się generała, człowiek był bystry i długiego czasu nie potrzebował by wiedzieć jak ma sobie postąpić.

Hochwarth wydobywał się z bryczki...

— Czy pan tu jesteś gospodarzem? zapytał...

— A tak... Cyrkiewicz jestem...

— Bardzo się cieszę, ja generał Hochwarth; domyślasz się waćpan z czém przybywam...

— Z czém to ja wiem, ale zdaje mi się, panie generale, że fatyga daremna. Z próżnego nikt nie należy...

— Zobaczymy — odezwał się Hochwarth. — Wioska na licytacji może pójść wyżej niż się zdaje — a bez sprzedaży jęj się nie obejdzie.

Cyrkiewicz zmilczał. Chciał być grzecznym na wszelki wypadek wzięwszy klucze od zamkniętego domu, bo sam w oficynie z nałogu mieszkał, wprowadził do niej pana generała.

Pusto tu było, zatechło i nic od czasu wyjazdu Skórskiego nie zdawało się poruszonem.

— Gdzież się wasz pan, były dziedzic mógł podziąć — odezwał się generał, postarałem się o listy gończe za nim. Dotąd go nie odkryto? Jak pan myślisz?

— Nie umiem odgadnąć; — zimno odparł Cyrkiewicz — świat szeroki. Któż zresztą wie czy jest przy życiu...

Mówił to tak naturalnie, iż niktby go nie mógł posądzić nawet, że wczoraj z nim rozmawiał.

Przyszła mu właśnie na myśl ta rozmowa i zdałomu się, że właśnie teraz może postąpić wedle życzenia Skórskiego.

— Dla nikogo to — mówił — nie jest smutniejszym jak dla mnie. Utopiłem tu całą moję krwawicę, ani dziedzic, ani dzierżawca, wieczny niepokój... Inż gdyby można choć z licytacji nabyć bardzo bym rad...

— Ale i ja do licytacji stanę — dodał generał...

— A panna to na co? spytał Cyrkiewicz.

— Wioska mi się podoba. — Polowanie lubię, mówią że są lasy... Pieniądze leżące mam...

Spojrżeli sobie tedy w oczy, Cyrkiewicz nczuł że to był gracz, któ-

remn on nie sprostą. Hochwarth począł rozpytywać o gospodarstwo, o szczegóły, naturalnie w jak najgorszym przedstawiając się świetle... Nic go to nie zrażało...

W parę godzin przybyli urzędnicy, których generał wezwał, przyjechał i Dygowski jako dawniej umocowany przez dziedzica. Ten mógł się mierzyć z generałem, i Hochwarth wybadawszy go trochę... odciągnął na bok...

— Wioskę doprowadzę do licytacji i kupię, — rzekł — czuję w tém mataninę...

— Niech pan kupuje — odpowiedział Dygowski, niech pan pędzi — wieś dobra... ja nic przeciwko temu nie mam...

Zbił go z tropu tą obojętnością.

— Gdzież się Skórski podział? pytał w końcu — jak się panu zdaje?

— A cóżby on poradził, choćby tu i był? odezwał się mecenas. — Ja dawno w nim widziałem zniechęcenie do życia — sądzę że je sobie odebrać musiał...

Rozmowa cały wieczór obracała się tak w kółku jednym, z którego wyjść nie mogła. Dopóki dzień był oglądano zabudowania, pola, rozpatrywano inwentarze. Hochwarth oświadczył, że pozostanie w miasteczku aż do licytacji i że przynaglić doń musi. Na tém się skończyło wszystko, a nazajutrz rano w istocie generał odjechał i rozkwatował się u znajomego nam Chaima... Przybycie jego, nie tajny powód, poruszały całą okolicę. Skórski miał tu wielu przyjaciół, którzy naturalnie więcej za nim niż za jakimś przybyszem ciągnęli. Nie miał więc generał nikogo coby mu szczerze chciał pomagać: płacił, naglił, jeździł i prosił, spotykając twarze obojętne.

Siedząc tymczasem w małej mieścinie, w której nikogo nie było oprócz proboszcza i wikarego, gdy on z duchownymi jakoś wcale obcować nie umiał — nudził się pan generał okrutnie; Cyrkiewicz zaglądał doń, lecz w układy się wdąć nie było można. — Jątrzyła go ucieczka Skórskiego nie tylko jako wierzyiciela, lecz i jako człowieka co w życiu żony jego odegrał rolę, która Hochwartha do zemsty budziła... Po długim awanturowaniu się i przygodach, chciał zająć w społeczeństwie pewne stanowisko poważniejsze, a myśl ta że ktoś na żonę cień mógł rzucić, niepokoiła go i oburzała. Zdawało mu się, że pamięć jęj przeszłości zatrzeć potrafił równie jak swojej, starał się o stosunki, a choć



natura dobywała się z niego czasem, jak w grze z p. Michałem, umiał te wybryki pokrywać różnemi pozorami i był pewien, że świat mu ich za złe mieć nie będzie. — Gdyby był pewien samobójstwa i zniknięcia wiekuistego Skórskiego, znacznie by się czuł spokojniejszym, lecz nie mógł w to uwierzyć, instynktowo poznawszy w nim człowieka, który nie miał tyle energii w sobie ażeby się na własne targnął życie.

Całe dni spędzał Hochwarth, to na niecznośnej gadaninie z Chaimem, który mu stare opowiadał dzieje okolicy, to na przechadzkach za miasteczko ku lasom... przypominającym mu potroszę amerykańskie puszcze.

O panu Michale mowa niemal była co dnia, żyd znał go od dziecka... Z początku nieco oszczędzał Skórskiego, ale powoli dobywały się różne o nim zeznania, które go w oczach Hochwartha coraz dobitniej malowały. Żyd stary był niepospolitym ludzi znawcą i sądził ich w sposób bardzo prosty, nie ulegając żadnym złudzeniom.

Jednego wieczoru rozgadali się jakoś więcej i szczerzej niż kiedykolwiek. Chaim był w dobrém usposobieniu i gadatliwy, co mu się nie zawsze trafiło.

— Co to się dziwować, rzekł, że on tak mizernie skończył. Proszę pana generała, nie obrażając nikogo, albo to inaczej może być, kiedy człowieka młodego pieścizotami popsują? Stary Skórski chorowity był i w łóżku znaczną część życia kawęczał, jejmość robiła co chciała, a z jejmością jednak robił co zapragnął... To było takie rozpuszczone dziecko, że się po niem jeszcze co gorszego spodziewać było można. Piętnaście lat miał, jeszcze szkół nie skończył, a już takie na wsi życie prowadził, że i starszyby nie wytrzymał z nim. U niego tylko Ronie, butelka, psy i jeszcze coś gorszego było na myśli, a przed matką, pokorną minę zrobiwszy i pocałowawszy ją, wyklamał się i uniewinniał.

Ona wszystko znosiła, byle Michasiowi było z tém dobrze, i bo-daj w końcu tę powolność życiem przypłaciła...

— Jakim sposobem? zapytał generał.

— A! to już dziś stare dzieje — rzekł żyd, a mnie przykro sobie usta tém walać... O pięć mil od Brończój żył niejaki pan Cześniuk, który całą swoją wioskę i żony posag przechulał i przemarnował... Albo to u nas osobliwość! — Została po nim wdowa i dwie córeczki... Musiała się do miasteczka wynosić bo jéj nic nie zostało oprócz dzieci, których wychować nawet nie mogła. Ludzie z litości przysyłali jéj to krup, to

mąki i żyła pokornym z jałmużny.—Były podobno z panią Skórką czy w dawniej przyjaźni, czy w pokrewieństwie, dosyć że litując się tych dzieci, Skórska je do domu zabrała, obiecując wychować i sama się zajmować niemi. Dziewczęta były śliczne, a pan Michaś prędko się tego dopatrzył.

Żyd, jakby mu nie miło było mówić o tém, westchnął i zamilkł chwilę. Generał wstał dziwnie poruszony i zbliżył się do niego. Znać go historia ta nad miarę zajmować zaczynała.

— I cóż się tedy stało? zapytał.

— A co mogło się dobrego stać! odparł Chaim... Skórski przyjeżdżał ze szkół na święta i na wakacje i bałamucił. One były jeszcze prawie dziećmi... On już gorzej zepsuty był niż inni w jego wieku. Matka na wszystko była ślepą... I stało się nieszczęście... Skórska je odeśłała do matki, która z bólu i żalu umarła... a i ona nie długo ją przeżyła...

P. Michaś sierotkę na wychowanie wziął, bo się z żadną żenić nie chciał, — a i to dziecko niewiedzieć gdzie się podziało...

Chaim ręką w powietrze zamachnął i umilkł...

— Zmarnowały się dziewczęta... jedna poszła w świat, zapła się i obłąkana dotąd się tu jeszcze włóczy... z drugą nikt nie wie nawet co się stało... Gadali ludzie że była aktorką w teatrze!..

Generał stał niemy słuchając, napróżno starał się być obojętnym, Żyd poznał jak go to oburzało, — lecz nie dziwił się, bo i w nim wspomnienie to budziło bolesne uczucie.

— Łotr! rzekł Hochwarth krótko...

— I za to go pan Bóg pokarał, dodał Chaim, bo za siéroce łzy karze pan Bóg. — Zmarnowało się i jemu życie, i nędznie i przeszło w kłopotach i strachu. Po wielu latach wróciła jedna z tych dziewcząt, w łachmanach, odarta, rozpojona, na pół obłąkana i nie dała stąpić Skórskiemu żeby go nie prześladowała sobą. Nie było sposobu ani się jej pozbyć, ni odpędzić;—kryła się własach, szpiegowała, poprzysięgała że gdyby się ważył żenić to go od ołtarza odciągnie. Nie dała mu dnia przeżyć spokojnie... Nareszcie w roku przeszłym, mówią ludzie że w nocy go w lesie napadła, i z konia ściągnęła, tak że padłszy na pień o mało się nie zabił. — Po tej chorobie uciekając od niej pojechał do Warszawy, ale i Cześnikówna znikła, i powiadają że za nim i tam poszła... Teraz znowu się tu włóczy...

— Dziwna historia! przebaknął generał, ledwie mogąc poskromić wzruszenie, dziwna historia.—Mówiłeś o dziecięciu, hm? zapytał niby obojętnie, to było pewnie dziecię téj waryatki...

— Przepraszam, jasnego pana — właśnie że tamtéj drugiej, o której nikt nie wie co się z nią stało.

— I dziecko to zginęło.

— Co się z niem stało, nie można dosledzić.—Wziął je Skórski do siebie, obiecując wychować za własne, ale mu i wstyd było i zawsze myślał się żenić, a dziecko zawadzało... Jak tylko matka poszła w świat, małego jeszcze się pozbył, dał słudze na ręce i wyprawił z domu. Od-tąd ni sługi, ni dziecka nikt nie widział, ani o nich słyszał.

W milczeniu wysłuchawszy powieści, Hochwarth zadumany poszedł siaść w krzesło.

— A ta obłąkana żebraczka znowu tu wróciła? rzekł po chwili.

— Już dawno; jak tylko jego w Warszawie nie stało, przysłała tu, zapewne spodziewając się go znaleźć. I jeżeliby kto mógł go wyszukać to ona...

Żyd ramionami ruszył.

— Ona tak zdaje się waryatka, obłąkana, a jak się upije to skacze i śpiewa od rzeczy, — ale jak jój trzeba mieć rozum to ona go ma!.. Wyspiegnie, jak policyant, — z pozwoleniem pańskim—mówił Chaim, będzie trzeźwa, będzie głodna; pójdzie nie wiem wiele mil piechotą... Już ją Skórki chciał kazać zanknąć...

— Ona tu przychodzi czasem do miasteczka? zapytał cicho Hochwarth...

— Mało nie codzień. Ja ją jasnie panu pokażę, bo ona u mnie pi-je... A złego słowa sobie powiedzieć nie da... złaje choćby największego pana. To jest bardzo nieszcześliwa kobieta...

Po rozmowie Chaim odszedł, generał myślał długo...

— Tego łotra mi trzeba nieodmiennie dostać w ręce. Natalia nigdy mi nic nie mówiła o dziecku... kto wie gdzie je podział? Może się kiedy odkryć? Zapisane być musi w metrykach, pozostały ślady... Szkaradna historia — i ja mam przyjemność być w nią wmieszany... rzekł śmiejąc się gorzko.—To miło...

Nazajutrz rano generał który nie lubił księży, ale w potrzebie do każdego się zastosować umiał, poszedł z nudów zapoznać się ze starym proboszczem... Opowiadał mu o misjach w Indyi i Ameryce...



a że go to niewiele kosztowało, grał rolę bardzo gorliwego katolika. Narzekał na interes, na przymusowy pobyt w małej mieścinie, dotknął wręście interesu ze Skórskim, samego Skórskiego i przyznał się przed staruszką, iż mu Chaim całą historią opowiedział.

— Proszę księdza kanonika — dodał tytułując staruszkę w nadziei że go to połechce, — coś się stało z tym dziećciem...

— Nie wiem, odparł proboszcz — sądzę że gdzieś na wychowanie oddane, bo o nic gorszego nie mogę go podejrzewać.

— A metryka tego dziećcia? zapytał Hochwarth — wszak w księgach być musi? z wymienieniem imienia matki?

— Musi się w nich znajdować, bo dziećcie sam chrzcilem — rzekł staruszek, i wpisał je z obowiązku...

Hochwarth zamilkł, nie miał żadnego powodu wydobywania tej metryki, a nie chciał na siebie ściągnąć podejrzeń. Zaczął potępiać Skórskiego i z pogardą się o nim wyrażać.

Ksiądz zmilczał.

— Panie generale — rzekł w końcu — winien ten człowiek wiele, to pewna — lecz i pokutował dosyć. Szkoda tylko, iż go cierpienie nie opamiętało ni nawróciło. Ta nieszczęśliwa obłąkana zatrula mu życie. Trudno zrozumieć i uwierzyć, ażeby uczucie zemsty w człowieku mogło trwać tak długo, tak gorąco, tak niemal jeszcze wzrastające z wiekiem a nienasycone...

— Jegomość dobrodziej jako duchowny — odpowiedział generał z wyrazem uamiętnym, wolnym jesteś od takich uczuć i nie pojmujesz ich nawet, — spędziwszy świątobliwe życie na poskramianiu ich; ale my ludzie świeccy, słabi, młodzi — rozumiemy jak trudno przebaczyć temu, który się nie upokorzył i nie ugiął...

— Dajmy mu pokój — zakończył proboszcz, może już nie żyje. — Odpowie na sądzie Bożym, sąd ludzki powinien być łagodnym — Bóg z nim! Bóg z nim... Pożegnał się generał.

Dnia tego długo bardzo, do późnego wieczoru, chodził po miasteczku i pustej okolicy, a gdy wrócił i Chaim do niego wedle zwyczaju stawiał się na gawędkę, znalazł go ponurym i milczącym jak nigdy. — Zaczepiał go ze stron różnych i słowa dobyć nie mógł.

Dopiero na wychodnym Hochwarth jakby mimowoli odczuwał się.

— Lecz że też tego lotra ani śladu; ani trupa znaleźć, ani po-

szlaki po nim dopytywać niemożna!! Nie miał pieniędzy uciekając nad te które ja mu dałem, nie mógłby niemi długo żyć...

Chaim ramionami ruszył.

— Jestem pewny — dokończył generał, że on tu ma przyjaciół co o nim wiedzą, że Cyrkiewicz z nim w potajemnych stosunkach, a plenipotent także... że mu grosza dosyłają. Żeby też się niczém nie zdradzili, żeby ich złapać na uczynku nie można... Niepojęta rzecz... Istuknęła pięścią o stół...

Chaim popatrzył.

— Niech no jasnie pan poczeka a ma cierpliwość, to się jeszcze wszystko... inaczej obrócić może...

I pożegnawszy go, poważnym krokiem wyszedł z izby...

Wieczór był letni, parny ale pogodny, słońce zachodziło wśród piętrzących się i kłębiących chmur, powyżlanych z jednej strony, podszytych liliowo z drugiej, obreźbionych u dołu krwawymi fręzlami. Gdzieniegdzie, wśród tych pozaokrągłych obłoków, wyciągały się już długimi pasami sinemi i kładły na spoczynek nocny opary wieczorne. Nad błotami jakby w nich kipiało, mgły muślinowe wlokły się i kołysały! — Jaskółki zwiły się chmurami górą, to opadały na dół i szybowały do gniazdek. W krzewach słychać było gwarne gospodarstwo na gniazdkach, w których strawę dzielona i zabićrano się do snu...

W głębi lasu było cicho, wierzchołki sosen kołysały się zwolna, dołem spało już wszystko. Promienie pomarańczowe zachodzącego słońca złociły wierzchołki, a poniżej mrok się rozścielał szary, przez który gdzieniegdzie swawolnie zakradziony pas światła... wieszał się po listkach i rozwielał kałże...

Czasami jastrzęb wracający z łowów, lub czarny bocian co mieszka w dzikich nstroniach, przeszybował powietrznemi szlaki i zniknął... W promieniach ostatnich ény komarów słupami stały, żegnając słońce i życie... Niekiedy spóźniony robotnik dziękiół poczynął kuć korę starą i ustawał...

W dziupli ogromnego, starego dębu, na kilka stóp wzniesionój nad ziemię, otwartój nieco ku zachodowi, siedziała Cześniówna, zwrócona ku słońcu i smutna, modliła się ze złożonemi rękami. Przychodziły na nią takie chwile łez, bólu i modlitwy, gdy odchodził gniew i pragnienie zemsty i cała namiętność, która życie stargała. Naówczas płakała nad sobą, nad przeszłością, i prosiła Boga by umrzeć mogła.

O kilka staj od miejsca w którém przesiadywała, była nędzna lepianka, w której mieszkał strażnik sąsiednich lasów z małą dziewczynią, sierotką, bo mu żona zmarła przed kilku laty i został z nią sam. Dziewcze posługiwało ojcu, a że się spotykało od paru lat z Cześnikówną i często z nią roznawiało, przywiązało się też do niej. Horpynka знаła ów dąb i mieszkanie kobiety, która za obłąkaną uchodziła. Przybiegała do niej czasami i przynosiła jej ciepłej strawy trochę, czystej wody lub kawałek chleba. Róża, której jałmużnę nawet nieproszoną dawano, groszem się za to dzieliła z Horpynką. Zawiązała się dobra przyjaźń między niemi...

I teraz właśnie gdy zapłakana Cześnikówna modlitwę swą kończyła, zaszeleściło u stóp dębu, spojrzała i zobaczyła Horpynkę, spinającą się ku niej z garnuszczykiem w ręku...

Dziewcze ciekawie się przypatrywało stariej przyjaciółce, na której oczach widziało łzy, a niedochodząc postrzegła ją jeszcze domawiającą modlitwę...

— Dobry wieczór — matusiu...

— Dobry wieczór — dziecko moje...

— O co się to wy tak gorąco modlili?

— Jak zawsze, żeby mnie pan Bóg prędzej wziął z tego świata... Nie mam co na nim robić... głowie ciężko — sercu smutno, ciała słabo... a duszy tęskno...

I otarła łzy...

— A! dalibyście pokój! a komu lekko? ojciec stęka cały dzień i przyszedłszy do chaty nocą — mnie tak czasem trudno podołać, że padam ze zmęczenia... a trzeba żyć, gdy pan Bóg przykazał.

— Pokuta! pokuta! szepnęła Cześnikówna, biorąc garnuszek i dając parę groszy dziewczecze. Bóg ci zapłać...

— Ja chciałam coś powiedzieć, szepnęło dziecko na palcach się podnosząc ku stariej... — Was tu pono ktoś szuka... czy z ciekawości... czy może ze złej woli. Jakiś stary pan niedawno przyszedł do ojca, znać mu ktoś o was powiadał, bo pytał o wasz dąb i pewnie dziś jeszcze tu przyjdzie. Ojciec mu drogę rozpowiedział, ja nie mogłam strzymać... Bądźcie ostrożni...

Dziewcze się obejrzało, palec położyło na ustach... potem nim w dal na las wskazało, skoczyło prędko i skryło się w zarośla...



Cześnikówna obojętnie dosyć, jak w wygodnym fotelu, rozparła się w swęj dziupli, założyła ręce na piersiach i czekała...

Nie rychło chód się dał słyszeć ostrożny; — idący stawał niekiedy i rozpatrywał się, strzelbę miał przez plecy przewieszoną, buty długie i znać nawykły do pieszych wędrówek, uniał sobie wynaleźć drogę i kierować się po lesie... Stary dąb omszony, najgrubszy ze wszystkich zwrócił jego oczy, począł go obchodzić do koła i postrzegł otwór wygorzały, w którym siedziała Róża. Ona poznała w nim tego podróżnego, którego widziała jadącego do Brończój.

Podniósł głowę przechodzień.

— Dobry wieczór — aleście to sobie osobiwe gniazdo dobrali!

— Mnie tu dobrze odezwała się Cześnikówna. Słyszałam że w najwyższe drzewa pioruny biją, myślałam że tu który padnie... a no — nie!

— Co wam się tak życie sprzykrzyło?

— A wam? odparła Róża...

Mężczyzna zmilczał...

— Musieliście dużo broić! rzekł...

— A wy? spytała Cześnikówna...

Po chwili milczenia, wychyliła się nieco aby mu lepiej przypatrzeć,

— Wy tu obcy i co wy tu robicie? Jechaliście do Brończój? po co?

— Szukam Skórskiego?

— Po lesie! a no! poczęła Cześnikówna, nie zły węcl macie! Ta-ki zbój nie może gdzieindziej siedzieć tylko w wilczej jamie, albo w niedźwiedzim barłogu... A po co on wam?

Generał, gdyż on to był — nśmiechnął się.

— Mamy z sobą interesa, rzekł...

Stara wlepiła w niego oczy bystro, jakby na wylot przejrzeć go chciała.

— A cobyście z nim zrobili gdybyście go znaleźli??

Generał ręką zrobił ruch znaczący, jakby chciał pokazać żeby mu karku nadkreślił. Róży czerwoność wystąpiła na policzki, oczy się zapaliły, pochwyciła rękami za brzeg dziupli i zrzęcznie dosyć spuściła się z niej na ziemię. Stanąwszy naprzeciw generała w milczeniu, jęła mu się przypatrywać od stóp do głów.

— To wy już wszystko wiecie — rzekła cicho — musieli wam powiedzieć o Cześnikównie i o nim, i że ona jak wyżeł za zwierzyną węchem za nim gonić umi... Chcielibyście mnie zrobić wyżłem, a gdy stanie...



Mnie tu dobrze, odezwiała się Cześniówna. (Do str. 112).





Przyłożyła rękę do twarzy, jakby strzelać miała i zawołała.—Buch leży! i wszystko skończone...

Dygnęła generałowi. Umysł jej już poczynął się rozstrajać.

— Wy już wszystko wiecie, dodała... że on był moim kochankiem i że mi pierwszy nawiązał na szyi stryczek, który mnie dusi a zadusić nie może. Ot taka dola! Tyle lat... tyle lat a końca niema...

Generał wpatrywał się w nią zdumiony; rysy jej twarzy wykrzywione, znędniałe, dziwnie mu jednak chwilami przypominały żonę...

— Cóżbyście wy z nim zrobili gdybyście go znaleźli? spytała Cześnikówna — mówcie...

— Możebym go oddał do kryminalu, rzekł generał, a może sam się z nim rozprawił...

— Jego szkoda do kryminalu... odparła Róża—jemnoby tam było dobrze.—On na pieniądze, jemu być tam krzywda się nie działa. Dali by mu szlachecką izbę a potemby się opłacił i puściliby go na wolność...

Potrząsa głową. — Jegoby na wolnym ogniu piec... przywiązanego do drzewa... a jabym śpiewając tańcowała do kola... Niechby się tak pomęczył trochę jak ja całe życie...

Hochwarth słuchał i patrzył...

— Już gdybym ja go złapał, ręczę wam nie byłoby mu téż wesoło w moich rękach...

Róża w dłonie klasnęła. — To lubię! Gdzie on tam i ja?

— O ho! a więc gdzieś on tu niedaleko być musi, jeżeli wy jesteście? podchwycił Hochwarth zbliżając się — Róża popatrzyła nań skrzęcem i oczyma.

— A kto wie? może!

Hochwarth machinalnie sięgnął do kieszeni, brzęknęły w niej pieniądze. Z krzykiem i złością rzuciła się od niego Cześnikówna, podnosząc pięść groźnie.

— Co ty myślisz! żem ja Judasz! że ludzi sprzedaję? krzyknęła... A idź ty mi precz...

I jakby przestraszona poczęła nazad drapać się do swojej dziupli na drzewo...

— Czekaj! zawołał generał surowo, — przecież ci pieniędzy nie myślałem dawać... gadajmy z sobą po ludzku...

— Ja nie umiem po ludzku;—jeszcze gniewna, zwiesiwszy się nad dziuplą mówiła Cześnikówna.

Cześnikówny.

— No — to po szatańsku — począł zniecierpliwiony generał. Szukam Skórskiego? wiesz gdzie jest? daj mi go?

— A tak? rozśmiała się Cześnikówna, żebyś ty sobie jego wziął a ja go nie miała. Ja tego nie chcę...

— A mścić się pragnęłaś całe życie...

— Prawda... ino pomaleńku. Raz tylko po pijanu szatan mnie skusił bym mu głowę rozbijał... Był to wielki grzech... Skryła się w dziuplę krzycząc: — Dobranoc jegomości... Idź spać! idź spać! słońko krwawe na zachodzie! zachodzie... wilcy na żér idą, kto się z niemi nie zna, niech po lesie nie wędruje. — Idź spać...

Generał zmieszany stał pod dębem... dumając i nie wiedząc co począć dalej. W swoim życiu spotykał istot wiele, które miały i niespełna rozumu i w różnych stopniach spokoju, peryodyczne, częściowe obłąkanie — ale podobnej istoty nie widział nawet w Ameryce ani w Indyach, gdzie słońce na ludzkim mózgu gra jak na odstrojonych organach.

— Dyabeł w niej siedzi! zawołał z cicha sam do siebie.

Cześnikówna dosłyszała.

— Musi to tak być — rzekła z góry — ja go nawet w sobie czuję. — Przychodzi z wizytą, zawichrzy mi w głowie, ogonem zakreśli pod czaszka... zapieczętuje w piersiach i rusza dalej. Książd go próbował wypędzać, nie daje się. — Pójdzie za interesami i powraca do domu... Cha! cha! dobranoc...

Hochwarth chodził pod dębem spoglądając na słońce. Do chaty leśnika, koło której konia zostawił, kawał było niewielki — nocy i wieczoru się tak dalece nie obawiał, bo z różnemi drogami był obyty, i nad Orenoką nie jedną noc przebył w lesie.

— Héj, słuchajcie no, panno Cześnikówno, zawołał, podnosząc głowę do góry, pogadajcie ze mną jak należy.

Wy tego samego chcecie co i ja, przecie gdy dwóch z jednym wojnę prowadzi, to się za ręce biorą.

Śmiech się dał słyszeć z góry.

— A gdzieżbyś ty mnie chciał wziąć za tę rękę, która była i w błocie i we krwi. — Ja ciebie o pomoc nie proszę, a ty mnie daj pokój... bywaj zdrów bo cię wilcy zjedzą, żalby mi było takiego uczciwego człowieka...

— Z szalonymi niema rady! burknął generał chcąc odchodzić.

Postąpił kilka kroków już kiernjąc się ku chacie strażnika, gdy, jakby się nagle namysliwszy, chyżo i zręcznie Róża spniściła się znowu z dziupli i poczęła iść za nim...

— Ja jegomości przeprowadzę — odezwała się równając z nim i krok równając z chodem jego. Pójdziemy sobie w parze, jak dobrzy przyjaciele... Ja nawet wiem dokąd idziecie.—Do chaty strażnika krótszą drogę pokażę...

Pogadamy po drodze...

Hochwarth milczał zniechęcony.

— Powiedźcie mi że go nie zabijecie, prędko złapawszy — odezwała się — no to może? może zrobimy co z sobą! kto to wie?

— Zabijać go przecież nie myślę — odczuwał się generał...

— Bo nie trzeba — dokończyła Cześniówna — wszystkoby się skończyło! Nie! nie. A co jabym robiła? Babką przy kościele nie będę... nie stanie mi co na kłębek nawijać... a ja z tym kłębkim boleści pójdę na sąd Najwyższego i rznęę mu go pod nogi, aby wiedział na ile sążni wrzucić go w przepaści piekielne...

Kiwała głową.—Póki żyję zwijać będę a zwijać... czarne nici... pokrławione.—Ale co wy z nim zrobicie...

— Co? począł generał stając nagle, pieścić się z nim nie będę, to pewna... Naprzód mi musi odpowiedzieć za zatracone dziecię... a potem mamy z sobą inne rachunki. Brończę mu wezmę i pójdzie z torbami...

Cześniówna klasnęła w suche dłonie.

— Ot to, to... z torbami! Slicznie... ja z nim pójdę razem i już nam będzie dobrze...

Ty jesteś widzę dobry człowiek, dodała... z jegomością gadać można... Przyjdźcie jutro o świcie, ja was do jego jamy zaprowadzę...

Zdziwiony tém nagłym postanowieniem, generał stanął.

— Napewno?

— Jak Cześniówna słowo szlacheckie da, to nie zawiedzie... odezwała się poważnie — bo ja jestem szlachcianka i dobrego rodu... tylko ot tak schłopiałam jak widzicie, po wierzchu... We środku szlachectwo zostało całe...

Wzięła się w boki.

— To już dosyć — rzekła wskazując na lewo, chata strażnika ot tam za leszczyną — traficie do niej. Jutro na zaraniu... A weźcie strzelbinę bo nie można wiedzieć co będzie! Nuż się zająć trafi po drodze...



Dobranoc...

To mówiąc odwróciła się z pokłonem i chichocząc znikła w zaroślach...

Cała ta scena w której Róża stawiała przed oczyma Hochwartha jak widno jego żony, jak potworny jej samowtór, — podziałała nań więcej niżby na kogokolwiek innego mogła. — Zatrzymawszy się chwilę, widząc że już Cześniówna nie wróci, poszedł z wolna we wskazanym mu kierunku do chaty strażnika. Tu czekał nań koń, którego dosiadłszy, klusem popędził do miasteczka...

Miał co w myślach przebieierać...

Spodziewał się Skórskiego pochwycawszy dosyć mieć poszlaków, do zadania mu podstępnego fałszerstwa w sprawie długu. Raz rozpoczęty proces dozwalał uwięzić winowajcę i — może się go pozbyć nazawsze... Kogo innego mógł użyć z boku dla wytoczenia mu sprawy o zatraczone dziecię...

Pozbyć się go — było teraz celem Hochwartha... dopóki żył i był wolnym, generał nie mógł być spokojnym... Tajemnica żony jego wydać się mogła. W Ameryce lub innym kraju, gdzie wymiar osobisty sprawiedliwości i zemsta za krzywdę — uchodzi bezkarnie, byłby bez wahania chwycił się innego środka. Tu, należało być ostrożnym — generał miał stosunki, liczył na nie... a w ostatnich dniach pobytu w miasteczku, dostarczono mu dowodów, że pokrycie Brończęj długiem było podstępne i fałszywe... Dowody te, drogo nabyte, kompromitowały i Dygowskiego, lecz tego nie miał powodu oszczędzać pan generał...

Należało się też rozmyśleć dobrze nad jutrzejszą wyprawą, jak ją przedsięwziąć, samemu czy z pomocą kilku przybranych ludzi, w razie gdyby pochwycony myślał się bronić.

Generałowi ani na siłę, ani na zręczności, ani na przytomności umysłu nie zbywało. Para rewolwerów w kieszeni, przy umiętności użycia ich — starczyło choćby na dwóch lub trzech ludzi. Nie rad był wtajemniczać nikogo, ani zawczasu rozbudzać posądzeń... Przybywszy więc do miasteczka poszedł do swojego mieszkania i zajął się tylko opatrzeniem broni.

Właśnie gdy tę czynność rozpoczynał, w progu zjawił się zwykły gość wieczorny Chaim, który na widok broni, dosyć niespokojnie cofnął się i stanął w pewnym oddaleniu.

— Do czego to jaśnie panu... ten interes... rzekł cicho.

— Ja to zwykle z sobą wożę w drodze...

— Ale u nas to niepotrzebne — odpowiedział Chaim — u nas ludzie się tak nie porywają prędko i niema niebezpieczeństwa...

— Ot, niech to sobie będzie! zakończył Hochwarth. Na jutro do dnia potrzebować będę konia. Okrutnie mi tu nadno, chcę trochę objechać lasy...

— Można i bez tych instrumentów — dodał żyd — u nas w lesie jak w domu bezpiecznie. Chowaj Boże!!

Nic już nie odpowiadając Hochwarth szykował broń...

Noc przeszła w części na rozmyślaniu i niecierpliwem wyglądanu poranku. Szarzało zaledwie na niebie gdy już generał po konia posłał, dobrze przed wschodem słońca, pod pozorem uniknienia skwaru, wyjeżdżając ku znajomej chatce strażnika...

Przybył tu gdy już pilny gospodarz ruszył był do lasu; pozostała tylko Horpyńka, konia zostawionego obiecując pilnować. Hochwarth, obeznany ze wszystkim, sam go rozsiodłał, spętał i na łączkę puścił na paszę... Nie potrzebując już pytać o drogę, sam ruszył ku dębowi Cześnikównej. Właśnie pierwsze słońca promienie przebijały grube obłoki, nagromadzone na wschodzie, gdy stanawszy w miejscu ujrzał pannę Różę, modlącą się w dziupli na kłęczkach. Zobaczywszy go przeżegnała się i skoczyła ze swojego schronienia na ziemię. Była tego rana znacznie spokojniejsza niż wczoraj i mniej rozmowna.

— Chodźmy, odezwała się krótko — niech nogi nie szeleszczą, po cichu iść trzeba...

Puściła się sama przodem, wskazując kędy przejść było można suszej między moczarami, trzęsawiskiem, kłodami i kępami...

Kilka razy generał napróżno usiłował rozpocząć rozmowę, potrząsała głową nie odpowiadając wcale. Przeszli przestrzeń dzielącą ich od Leśniczówki — dosyć prędko. Dzień choć się wybierał na pogodę, jeszcze był cały w chmurach ciężkich i szarych obłokach. — Zbliżając się ku chacie, Cześnikówna odwróciła się ku idącemu za nią i na ustach kładąc palce, dała mu do zrozumienia, aby się zachował jak najciszej...

Z po za drzew i zarośli widać już było wysoki dach Leśniczówki. Róża wprowadziła generała na to samo miejsce, z którego po raz pierwszy wyszpiegowała tu Skórskiego — kazała mu usiąść na obaloniej kłodzie, a sama zaczęła się za nim. W chacie wszystko się jeszcze spać zdawało. Dwa ogary zwinięte w kłębek odpoczywały na

przyźbie. Okno izby w której mieszkał Skórski zapuszczone było zieloną firanką... Z komina jednak dobywał się dymek biały, świadczący iż gospodyni już ogień rozłożyła...

W milczeniu upłynęła długa chwila... Za drzwi wyszedł mężczyzna w torbie borsuczej, ze strzelbą na ramieniu, z fajeczką w ustach, w długich butach po kolana, świsnął na psy... Oba one zerwały się jak oparzone, strzepnęły uszami i poczęły łasić około niego.

Z niemi razem Leśniczy w bok puścił się ścieżyną ku lasowi. Przechodził o kilka ledwie kroków od generała i Cześnikówny, która przypadła do samej ziemi... Gęste zarośle osłaniały tę zasadzkę, której psy, zajęte łaszeniem się koło swojego pana, nie poczuły...

Wyjście z chaty Leśniczego, ułatwiało Hochwarthowi pochwycenie p. Michała. Chciał wkrótce potem już wstać i iść, ale go Cześnikówna prawie gwałtem wstrzymała... Oczy mieli zwrócone na drzwi i okno, którego zasłona nie długo się podniosła, ręka z wewnątrz odryglowała je i popchnęła... W oknie ukazał się Skórski w koszuli, ziewając i wyciągając ręce do góry.

Generał nie czekając już dłużej, zaroślami podszedł pod samą chatę, drzwiami z przeciwnej strony wsunął się do sieni idącej na przestrzał, i otworzył drzwi izby w której się Michał znajdował. W tej samej chwili Cześnikówna, której szło o to ażeby wiedział kto mu przyjaciela przyprowadził, stanęła, śmiejąc się, naprzeciwko okna — w którym stał Skórski.

Na widok jój z krzykiem przeraźliwym cofnął się w głąb napa-dnięty, zdjął z kołka strzelbę i w pierwszym wybuchu gniewu i strachu — zmierzył i wystrzelił.

Generał stał właśnie w progu...

Dym zaległ w części izby i zasłonił nieszczęśliwą ofiarę, która chwytając się za pierś, z krzykiem i śmiechem urągliwym — upadła...

Jak obłąkany rzucił Skórski na ziemię fuzyą, gdy w tej chwili zwracając się spostrzegł niespodziewanego gościa. Z rewolwerem w rękę Hochwarth stał w progu spokojny, błady, uśmiechający się szydersko.

— W samą porę przybywaś — odezwał się, ażeby zabójcę w imieniu sprawiedliwości aresztować...

Skórski stał jak osłupiały, nie usiłując się bronić nawet...

Na huk strzału z domu, wylekła wyrwała się gospodyni na podwórze... Na przeciw drzwi leżała Cześnikówna na wznak, z ręką na pier-





W samą porę przybywam — ażeby zabójcę aresztować. (Do str. 118).



siach, z których buchała krew. Twarz jęj już trupia powlekała bledość, resztki tylko życia, drganiem ciała się zdradzały. Oczy zeszkłone nie widziały już nic... usta przestawały się poruszać, skrzywione ostatnim uśmiechem... Trafiona w serce — skonała natychmiast.

Hochwarth zbliżył się o krok do Skórskiego.

— Pozwolisz mi, szanowny panie, rzekł z krwią zimną, abym się zapewnił iż znówu mi nie zbieżysz i nie zmusisz do szukania cię po świecie...

Skórski nie odpowiedział ani słowa. Oczy jego padły na trupa leżącego przed chatą i oderwać się od niego nie potrafiły. — Hochwarth mógł się zbliżyć, w silne dłonie ująć jego ręce i skępować mu je z tyłu... zamknął potem drzwi na rygiel i zajął się szukaniem sznurów i odzieży dla więźnia... który nie myślał się bronić. Cała ta scena odbywała się w złowrogiem milczeniu. — Słysząc tylko było nawoływanie i płacz gospodyni wylekłej, która nie mogła pojąć co się stało. Zwiąawszy Skórskiego, Hochwarth popchnął go ku drzwiom, które odryglował, odzywając się głosem żołnierskim.

— Naprzód! marsz...

Właśnie wychodzili ze drzwi, gdy tentent konia dał się słyszeć i Cyrkiewicz wpadł na podwórko... niemal na trupa Cześnikównęj. Spojrzał na swego pana, którego prowadził generał, na leżącą Różę, i w pierwszej chwili jakiegoś nierozważnego strachu, zawrócił konia i uszedł.

Są wypadki w życiu ludzi, które najzatwardzialsze serca poruszają i wstrząsają całym dusznym organizmem, choćby długimi wyrobionym laty. Jak przesilenia w chorobie sprowadzają one zmianę usposobień, otwierają życie nowe i zmuszają zerwać z przeszłością.

Taką kryzys w życiu Skórskiego był ów ranek, w którym na pół przytomny, ledwie rozbudzony, strachem i gniewem przejęty porwał strzelbę i zabił Cześnikównę...

Gdy wychodzili z chaty razem z generałem, a obok trupa przechodzić nieuchronnie było potrzeba, bo tamtędy wiodła ścieżka, Skórski targnął się i stanął nad nim niemy. Patrzył długo na twarz nieszczęśliwej, na wytoczoną jęj krew, która kałużą stała koło nięj i Hochwarth musiał go w końcu popchnąć aby zmusić do dalszego pochodu... Ze spu-



szczoną głową, jakby na pół umarli, bijąc się o drzewa które mijał, niemy, nie odpowiadając na pytania, dowlókł się prowadzony tak do chaty strażnika. Tu Hochwarth znalazł sposób posłania po wóz, zatrzymał idących ludzi aby mu pomogli, i sam towarzysząc więźniowi, dostawił go do miasteczka.

Zjawienie się tego skrupowanego więźnia, opowiadanie generała, wóz na którym leżał, stojący wpośród rynku, całą ludność niemal ścigał tu... ciekawością bezmyślną. Tłumy biegły oglądać siedzącego na prostym drabiastym wozie dziedzica Brończój, o którym opowiadano, że tego ranku strzelił i zabił Cześnikównę... Oburzenie malowało się na wszystkich twarzach i szmer złowrogi napełniał targowisko...

Generał oddawszy Skórskiego w ręce straży miejskiej, która go dalej odstawić miała, sam wrócił do mieszkania, chcąc natychmiast jechać z więźniem dla złożenia zeznania. Wóz stał jeszcze w rynku, gdy na probostwo doszła także wiadomość o wypadku. Staruszek proboszcz który tylko co był mszą odprawił, zaledwie czas mając zrzucić albę, pośpieszył drżący do Skórskiego...

Na widok proboszcza, którego nawykli byli szanować wszyscy, rozstąpiły się tłumy, poodkrywały głowy i starzec mógł się zbliżyć do wozu... Z oczyma wlepionymi przed siebie niernachomie Skórski nie widział nic, nie spostrzegł też staruszka, który jedną rękę położywszy na wozie, łagodnym głosem odezwał się do niego.

— Panie Michale — Bóg z tobą (ksiądz zwykł był te słowa często powtarzać) co ja słyszę... co się to stało?

Na głos ten Skórski odwrócił z wolna głowę, tocząc wzrokiem obłąkanym.

— Ja nie wiem — rzekł.

— Jakżeś mógł?

— Ja nie wiem... powtórzył machinalnie Michał ja nie wiem...

Napróżno proboszcz coś chciał z niego wybadać. Skórski milczał osłabły i nieprzytomny... Poszedł więc staruszek do generała, który z bardzo zimną krwią rzeczy swoje pakował.

— Na miłość Chrystusową — odezwał się drżący — powiedźcie mi jak się to stało? jakim sposobem wyście temu byli przytomni? gdzie to było?

Hochwarth usiadł i ze szczegółami opowiedział wszystko.

— Szukałem go, rzekł, udałem się do kobiety, która najprędzej

o nim wiedzieć mogła. Trzeba było takiego nieszczęścia, ażeby w chwili gdy go miał aresztować, ona mu się za oknem ukazała... Strzelił bez namysłu — zabił ją na miejscu. Krył się od dawna na Leśniczówce.

Proboszcz załamał rękę.

— Niezbadane wyroki Boże — rzekł... wszystko się składało na krwawy koniec tej historii — Bóg osądzi! Bóg osądzi...

Ze łzą w oku zbliżył się starzec do generała. — Nie znam was, dodał — anibyśmy śmiały dyktować sumieniom waszemu jak ma postąpić — pomnij pan jednak byś świadczył nie na potępienie człowieka, ale jak na uratowanie obłąkanego brata.

Hochwarth skłonił się nie odpowiadając... W chwilę potem tłum mieszczan przeprowadzał wóz, ostawiony strażą, aż do rogatek... Generał zwolna jechał z tyłu posępny i milczący, z cygarem w ustach...

Gruchnęła wieść po całym sąsiedztwie, a można sobie wystawić jakie uczyniła wrażenie. Tegoż dnia ciało nieszczęśliwej Cześnikówniej przywieziono do miasteczka, a do niego zebrało się co żyło, aby je oglądać. Ci co się nieraz urągali z żyjącej, gdy śpiewając skakała pół obłąkana pod sienią u Chaima, szli teraz ze łzami oglądać zwłoki, i litowali się losowi nieszczęśliwej. Znalazł się znowu ten sam szlachcic, który ją nieraz z rąk tłumu ratował, ofiarując się sprawić trumnę i pogrzeb. Z mieszczan każdy śpieszył z jakimś datkiem dla umarłej.

Rzadko bogatym i możliwym taki się pogrzeb ludny trafia — jakim był Cześnikówniej. Wybiegli nań wszyscy... Kobięty trumnę przysypały kwiatkami, wykopano dół na ustroniu pod brzozą, i tak po niej szlochały kobiety, jakby teraz dopiero los jej ciężki poczuły... Bractwa, świece, chorągwie — wszystko co do najwspanialszych pogrzebów wiejskich należy, znalazło się teraz dla Cześnikówniej. Staruszek proboszcz prowadził kondukt i zamiast mowy nad mogiłą, chustką otarł łzy, które mu z oczów płynęły...

Cyrkiewicz przerażony, uciekwszy do Brończój, tu dopiero rozmyślać zaczął co mu czynić należy. Poleciał natychmiast do Dygowskiego... Ten już wiedział o wszystkim, bo wieść się piorunem rozbiegła, był niespokojnym bardzo. Doszło go bowiem wprzód, że generał coś poodkrywał a to dla niego nieprzyjemne może spowodzić następstwa.

Zafrasowany wielce odprawiawszy Cyrkiewicza do domu, aby poszlaki narad z nim nie było, sam pośpieszył do miasta, aby ratować jeśli się da Skórskiego, lub z generałem się rozmówić, dopóki czas był

jeszcze... Zdawało mu się że tu już majątek poświęcając, życie i honor ratować było potrzeba. Skórski już był osadzony w więzieniu, a generał odpoczywał po trudach w najętym mieszkaniu, gdy Dygowski śmiało się doń stawiał.

Widzieli się już i znali wprzód, z powodu zamierzonej licytacji.

Na Hochwartha, który w życiu wiele przeleżał, wcale krwawa scena nie podziałała, było to dlań rzecz powszednia. Cóż tam jedna jakaś kobieta przestrelona w chwili szału... Jadł więc z dobrym apetytem lichą wieczerzę, gdy mu oznajmiono Dygowskiego. Kazał prosić.

Mecenas mężnie się stawiał, choć odwagę miał sztuczną.

— Panie generale, rzekł — byłem przyjacielem Skórskiego i tej przyjaźni nie zaprę się i teraz. Czuję się w obowiązku go bronić. Proszę pana abyś mi raczył powiedzieć otwarcie — o co panu idzie, o odzyskanie należności, czy o zgubienie człowieka?

Generał właśnie zęby sobie przetykał piórkiem i nie odpowiedział zaraz.

— Jak się panu zdaje? zapytał flegmatycznie.

— Zdawaloby mi się iż do zguby człowieka nie masz pan żadnego powodu...

Hochwarth popatrzył na Mecenasa.

— Możesz się pan mylić, rzekł — ale ja nie mam obowiązku tłumaczyć się przed nim. Nie idzie zresztą ani o zgubę ani o ratunek, chodzi o sprawiedliwość.

— Znasz pan historią tej kobiety i tego człowieka, i co on przez nią wycierpiał.

— I co ona przez niego cierpiała — dodał generał.

— Więc się kompensuje przynajmniej, rzekł mecenas.

— To panowie prawnicy lepiej pogodzić niż ja potrafię.

— Jeszcze słówko — odezwał się Dygowski — Skórski ma przyjaciół, znać że na to uczucie zasługiwał; jeżeli mogą pana rozbroić opłacając mu jego należność, chętnie to uczynią.

— Ale ja nie jestem sprawiedliwością, dodał Hochwarth.. Zresztą sędzę, że dowiodę machinacyj nieprawnych na majątku i bądź co bądź swoje odzyszczę.

Dygowski nie okazał wzruszenia — wstał powoli z siedzenia i zabić się do wyjścia. Oko Hochwartha śledziło każdy ruch jego.



— A zatem nie mam żadnej nadziei ażebyś generał względny chciał być dla nieszczęśliwego...

— O mnie nie idzie — odparł Hochwarth — ja nie mogę... Nadto szanuję sprawiedliwość.

Skłonili się sobie chłodno, Dygowski odszedł. Nie było nic do zrobienia z generałem.

Był on tu obcym, a Skórski i Dygowski mieli przyjaciół i stosunki, na które cokolwiek przynajmniej rachować było można. Pomimo postachów generała dowieść kondyktu było trudno, co się tyczy kryminalnego procesu o zabójstwo Cześniówniej, ten, wywodząc całą smutną przeszłość przed sąd, — miał też na korzyść obwinionego dać łagodzące okoliczności. Długie prześladowanie, napaści, zabójstwo popełnione bez rozmysłu, — dozwalały się spodziewać, iż wyrok być może mniej surowy. — Historia obu siostr musiała się wytoczyć przed kratki — generał wcale się nad tem w pierwszej nie zastanowił chwili, iż w ten sposób żona jego dotkniętą być może. Dygowski i obrońcy Skórskiego nie wiedzieli o tem że żona generała była siostrą Cześniówniej. Dałoby im to broń w ręce...

Dopiero nazajutrz rozmawiając o sprawie z jurystami, których ona żywo obchodziła, Hochwarth usłyszał, że w obronie Skórskiego, czy przeciwko niemu, wytoczy się cała przeszłość obu kobiet.

Zmieniło to natychmiast usposobienie generała... Dochodzenia sądowe mogły, idąc po nici, dotknąć żony jego, a nawet zmusić ją do świadczania przed sądem, — ta myśl przeraziła go jak uderzenie pioruna. Zemsta zgotowana dla Skórskiego, obracała się obosieczna przeciwko niemu samemu... Sprawa już stała tak, iż cofnąć jej nie było podobna...

Sam do Dygowskiego iść nie mógł, lecz tegoż samego dnia jeszcze pokierował tak krokami swemi, ażeby się z nim spotkać. Mecenas trzymał się na uboczn... Zbliżyć się doń pomogła zręczna strategia. — Było to w przedsiönku sądowym, generał z nim się przywitał...

— Panie Mecenasic — odezwał się chłodno — wczorajsza nasza rozmowa utkwiała we mnie. — Nie chcę ażebyś był pomówiony o niewyrozumiałość i okrucieństwo... musiny jeszcze pomówić z sobą.

Zgodził się na to jak najchętniej Mecenas... Znikli oba odszedłszy na ubocze...

— Nie cofam słowa mojego, rzekł Dygowski — dług za Skórskiego

zapłacimy... a generał złagodzisz swe zeznania. Nie żądamy od niego nic nad prawdę, lecz prawdę nie zatrętą osobistą nienawiścią...

— Czy spodziewacie się panowie by mógł być uniewinnionym? spytał generał.

— Są okoliczności łagodzące — odezwał się adwokat. Postawimy świadków, którzy okażą ile lat i w jaki sposób cierpiał od tej nieszczęśliwej...

Hochwarth zamilczał ..

— Nie potrafię tego panu wytłumaczyć, odezwał się po przesłanku — dla czego mnie do pewnego stopnia — obchodzi los rodziny, z której pochodziła Cześnikówna. — Inn mniej się na jaw wyprowadzi z tych smutnych dziejów, tém lepiej.

— Zapewne, rzekł zdziwiony trochę Dygowski — ale cóż to pana generała obchodzić może... Rodziny tej już niema...

— Któż to wie! odezwał się Hochwarth, — odsłaniać te dzieje i dla Skórskiego byłoby nie korzystném — pan je znasz?

— Dostyc dokładnie — odparł Dygowski.

— Siostra Cześnikównej — wyjąknął kstuszając się generał — uchodząc w świat podobno zostawiła dziecię w rękach Skórskiego, który je miał wychować. — Co się z niem stało?

— O tém nie wiem — rzekł obrońca — ale zkądże pan tak dokładnie jesteś uwiadomiony.

— Ja? Siedziałem dość długo w malém miasteczku — odezwał się generał, to wszystko tłumaczy.

Dygowski zamyślony zamilkł.

— Wiész pan co — szepnął generał — kwestya pieniężna załatwi się między nami bez trudności... W interesie Skórskiego zdaje mi się najwłaściwszém...

Tu zawahał się nieco — Dygowski patrzył mu w oczy.

— Ażeby z więzienia za granicę uszedł i więcej się w kraju nie pokazywał. Do tego możemy mu dopomódz... Ja sam — rzekł zniżając głos — ja sam — mógłbym do pewnego stopnia postarać się o ułatwienie mu ucieczki, ale — z jednym warunkiem.

— Z jakim? zapytał adwokat.

— Żeby mi przez pana dał szczerą, pewną i popartą jakimikolwiek dowodami wiadomość, gdzie się znajduje owo dziecię jego...

Znowu Dygowski niezmiernie zdziwiony popatrzył na generała.

Nie miał w nim żadnego zaufania, ta nagle zmiana usposobień, ta li-  
tość nad Skórskim, ofiara pomocy do ucieczki, dopytywanie o dziecię—  
zdały mu się kryć jakąś zdradę i być wielce podejrzanymi. Nie po-  
znawał Hochwartha, a miał powody lękania się go...

— Pan generał niech daruje — odezwał się zafrasowany — lecz  
po ostatniej naszej rozmowie terazniejsza mi się wydaje tak dziwną,  
tak nie wytłumaczoną...

— Przyznaję, a dodam, i wytłumaczyć się nie mogącą, podchwycił  
Hochwarth. Bierz to sobie pan jako chcesz. Możesz mi wierzyć, mo-  
żesz nie ufać — na to nie mam sposobu...

— Byłby sposób wtrącił Dygowski.

— Jaki?

— Gdybyś pan generał chciał się ze mną zaraz ułożyć o warunki  
pieniężne.

— Nie mogę, póki nie będę mieć pewności, że Skórski uciecze  
i że mi da wiadomość o dziecku...

Hochwarth przeszedł się po pokoju, mecnas stał zadumany...

— Miarkuj pan, odwracając się dodał generał, że ja knuć żadnej  
zdrady nie mogę, bo cóżbym miał za zysk na niej? Mogę go zabić nie  
posługując się innemi środkami nad te, jakie mi jawnie posługują...

— Bądź co bądź, potrzebowałbym się widzieć ze Skórskim — zaś  
kończył obrońca...

— Zdaje mi się że jako jego umocowany i przed sądem adwokat,  
masz pan do tego prawo...

Skończyła się rozmowa na tém; Dygowski odszedł niezmiernie  
zdziwiony tym obrotem, a nazajutrz wyrobił sobie pozwolenie widzenia  
się z obwinionym.

Stan więzień pomniejszych na prowincyi, nie był nigdy bardzo przy-  
kładnym, a w miasteczku w którym Skórskim siedzieć przyszło, istnia-  
ło tylko tymczasowe, składające się z domu drewnianego, w którym ro-  
zmaici przestępcy mieścić się musieli — Wprawdzie Skórski otrzymał  
izdebkę osobną, ale ją tylko wązki korytarz oddzielał od tych, w których  
włoczęgi i wszelkiego rodzaju plągawe wyrzutki społeczeństwa w zad-  
uszonych izbach dokupy były spędzone. — Sam widok tego obrzydłego  
kafarnamu wstręt obudzał.. Dygowski nie był zbyt drażliwych nerwów  
człowiekiem, przecież wszedłszy tu doznał przykrego uczucia. Wrzawa  
która go dochodziła, cyniczne śmiechy, piski i łajania, powietrze duszne



we wnętrzu, kazały mu przyspieszyć krok, aby się co rychlej dostać do celi więzienia... Stróż powoli mu ją otwierał, a wpuszcivszy go, sam pozostał nieruchomy przy progu. — Zakratowane małe okienko, osłonięte tarcicami tak, że tylko z góry wchodziło doń trochę szarego światła, tarczan pokryty siennikiem i grubą kołdrą, stolik i jedno krzesło — składały cały sprzęt izby, której piec przy wuijściu rozwalony i zatkany na prędce cegłami, dodawał nędznego pozoru.

W głębi postrzegł Skórskiego, który z nogami spuszczone, z głową na piersi zwieszoną, z rękami obwisłymi siedział na tarczanie, okryty jakimś płaszczem, spadającym mu z ramion. Najeżone włosy, odzież w nieładzie, dawały poznać bezmyślną jakąś rozpacz...

Nie podniósł z razu nawet oczów na przybywającego, otwarcia drzwi nie zdawał się słyszeć — pozostał tak nieruchomym aż Dygowski zbliżywszy się doń ujął go za dłoń zimną... Dopiero drgnął i wpatrzył się weń z osłupieniem jakimś dziwaczniem.

— Panie Michale, zawołał, siadając na przeciw niego Dygowski — widzę cię jakimś zrozpaczonem i bezprzytomnym a potrzebuję się z tobą rozmówić chłodno i rozważnie. Czasu mamy niewiele, zbierz myśli, proszę cię...

— Co ty chcesz odemnie? wybąknął z trudnością Skórski — to są próżne rzeczy... Niéma o czém mówić już — co się miało stać to się stało... Było napisano.

— Ale ratować się potrzeba?

Więzień ruszył ramionami.

— Na to niéma ratunku, rzekł głucho — na to już niéma żadnego — to darmo... nie mówmy...

Dygowski, który przy stróżu mówić nie chciał i nie mógł, poszedł mu wcisnąć coś w rękę, aby stał w korytarzu. — Zawahał się nieco, ale mruczając wysunął po chwili.

— Mówmy krótko a stanowczo — począł obrońca. — W generale znalazłem niespodziewanie, mimo że zrazu okazywał się zajadłym — powolniejszego niż sądziłem człowieka... Obrona twoja byłaby trudną, chce ci dopomódz...

(Nachylił się do ucha) — do ucieczki.

— Któż od swojego losu uciecze? rzekł Skórski... Zresztą dokąd? z czém?

— Na to wszystko znajdzie się odpowiedź, gdy zechcesz tylko chło-

dniej jój poszukać — mówił Dygowski. — Generał kładzie jeden warunek, abyś mu złożył dowody gdzie się znajduje dziecko... które ci siostra Cześnikównąj powierzyła...

— Ażeby je zgubić? podchwycił Skórski, aby śladu po nim nie zostało! a! rozumiem to dobrze...

— Ja, nie a nie — rzekł Dygowski...

— Generał jest mężem drugiej Cześnikównąj, mruknął Skórski.

Obrońca porwał się z krzesła, chwytając się za głowę.

— A! teraz to rozumiem wszystko... możesz się wyratować zawołał...

Skórski spojrzał wzrokiem dziwnym.

— Znałeś mnie innym, rzekł — ale ten piorun wszystko we mnie wyrócił, zmienił mnie całego... Nie chcę mieć więcej na sumieniu! Dostyc tych kar za zbrodnie moje!! Dziecka nie dam na stracenie... to dziecko moje!.. Winienem żem je opuścił, ratować je muszę... wynaleźć je powinienem...

Zdziwił się w istocie takiemu usposobieniu przyjaciela, lecz zamilczał...

— A! ty nie wiesz, dodał Skórski, trac konwulsyjnie piersi, ty nie wiesz co od téj chwili gdy m trupą tego widział... stało się we mnie... Zdało mi się że jakiś obłęd spada mi z oczów — żem ja sam zabity dla życia, a obudzony dla pokuty... Dygowski, ja o nic już nie dbam, chcę tylko w sumieniu mojem spokoju... spokoju... spokojn!

Mówił z wzrastającym coraz zapalem; nigdy go takim nie widział Dygowski, i zdumiał się a zmieszał niezmiernie.

— Przecież należy jakkolwiek uspokoić generała... inaczéj... będzie ci szkodził. — Gdzież jest to dziecko?

— Powierzyłem je łotrowi! Cudem jakimś znalazłem go i zmusiłem do wyznania, że je w domu podrzutków umieścił... Mam dzień i datę i godzinę...

— Moglibyśmy więc je odzyskać...

— Ale nie oddawać generałowi! nie jemu! dziecka czekałby los najsmutniejszy... To dziecko moje... Zapóźnie pomyślałem o tém, ale chcę i mnszę je odzyskać dla siebie — ześlą mnie w Sybir—mogę je zabrać z sobą...

Zadumał się. — Kogoś przecie na świecie mieć będę.

I znowu głowę spuścił na piersi.

Dygowski tarł i darł włosy na głowie.

— Cóż mu powiem? zapytał.

— Że dziecko — nie żyje — rzekł Skórski...

— Jaki mu dowód dam na to?

— Żadnego! daj mi pokój! ja się bronić nie chcę, jam zginiony...

— Lecz jeśli w istocie odezwało się w tobie uczucie i serce ojcowskie — podchwycił adwokat, to dla dziecka winienesz się ocalić.

Zamilczał Skórski.

Powiedz mu zresztą, wyjąknął po chwili, niech mi pomoże do ucieczki, a daję mu słowo, że więcej o mnie ani o dziecku słyszeć nie będzie... Jestem zabójcą, powrócić przecież nie mogę... Pójdę gdzieś, nie wiem — będę pracować, jeśli potrafię... są gdzieś jacyś krewni w świecie... mnie dziś nie niepotrzeba — tylko spokoju! spokoju! i daleko gdzieś być od tych miejsc gdzie się krew lała...

— Jesteś jeszcze rozgorączkowany — odezwał się adwokat, widząc wchodzącego napowrót stróża, który chciał przyspieszyć koniec rozmowy... Uspokój się, ja powrócę...

Skórski zimną dłoń podał.

— Nie trzeba ci nie...

— Nie — rzekł sucho — nie, tylko spokój, spokoju...

Stróż brzęknął już kluczami u drzwi, potrzeba było wychodzić. Na Dygowskim widok więźnia i więzienia uczynił nader przykre wrażenie. Ażeby się z niego otrząsnąć, poszedł do domu i tam długo potrzebował ostygnać, nim się uczuł znów panem sił swych i przytomnym... Chciał wieczorem dopięro pójść zdać sprawę generałowi ze swego poselstwa, gdy Hochwarth ukazał się w progu — dowodziło to z jego strony niecierpliwość.

— Byłeś pan u niego? zapytał.

— Tak jest, ale go znalazł w takim stanie, iż z nim mówić było niepodobieństwem. Rozgorączkowany... Wymógłem na nim przecież jedno — daję słowo iż jeśli się na wolność dostanie, nigdy ani o nim ani o jego dziecku wiedzieć pan nie będziesz... Ujdzie za granicę...

— A to dziecko? przerwał niespokojnie generał.

— Powierzone było słudze, który je miał na wychowaniu. Umarło z ospy, dorzucił kłamiąc jak najnaturalniej Dygowski.

— Jakiż dowód? jaki dowód? zawołał Hochwarth — mnie potrzeba dowodu.

— Jego słowo widzi mi się dostatecznym!



— Jego słowo!—wzgardliwie rzekł generał—słowo tego człowieka niema dla mnie żadnej, najmniejszej wartości.

— Jeżeli tak—spokojnie począł Dygowski, nie mamy się co układać z sobą. Niech się więc zbierze sąd, niech się wytoczy proces, a ponieważ świadkowie nam potrzebni, jeżeli powołamy i—panią generałową przed kratki...

Nie mógł dokończyć, gdyż olbrzymiej siły Hochwarth porwał się z miejsca:

— Milczć! krzyknął głosem zburzonym od gniewu... Ani słowa więcej!

Dygowski odskoczył, porywając za dzwonek stojący na stoliku; ale generał wychwycił mu go i zgubił w dłoni. Dyszeli oba patrząc na siebie długo...

— Nie uciekniesz! krzyknął generał—jeżeli się pokaże, jeżeli o nim wieść pochwycę, pójdę i w łeb strzelę... A jeżeli waćpan poważysz się to coś mi powiedział powtórzyć choćby ścianie... zabiję, klnę się honorem, zabiję...

— Uspokój się pan — rzekł Dygowski dosyć zimno — ja jestem adwokatem, w moich piersiach jak u spowiednika tajemnica zamięra... ja pana nie zdradzę.

Hochwarth obejrzał się do koła ucieknie i rękę wyciągnął drżącą na przejednanie Dygowskiego.

— Mości panie, zawołał, tu idzie o honor domu, o cześć kobiety, powinność zrozumieć mi i mienie przebaczyć.

— Wszystko to pojmuję i zapomnę — rzekł Dygowski, teraz idzie o ratowanie Skórskiego.

Tu zaczęli szeptać z sobą długo i naradzać się. Mecenas wprowadził go do gabinetu, wyszli z niego dopiero w godzinę, zupełnie jak się zdawało z siebie zadowoleni i w porozumieniu jak najlepszym. Dygowski tylko zmęczony i blady, a Hochwarth niepomniecznie zaczerwieniony... W kieszeni od surduta niósł wetknięte papiery, które gorączkowo jakoś poprawiał ciągle...

Tak się rozstali.

Mecenas po wyjściu gościa musiał się położyć w łóżko...

Trzeciego dnia potem, zrana około dziewiątej, w całym miasteczku panował popłoch niewysłowiony... Stráže wojskowe i cywilne pługowały po domach i okolicy, gońcy jacyś rozbiegli się na wszystkie strony...

Cześnikówny.

Nadzorca więzienia wpadł błąd i zrozpaczony do generała oznajmując mu, że ten nieszczęśliwy zbójca, Skórski, niepojętym sposobem uszedł z więzienia.

Hochwarth zdawał się niesłychanie zdziwiony i obruszony... Polecił sam natychmiast na miejsce badać jak się to stać mogło... Nikt w istocie wytłumaczyć tego nie umiał. Izba była pusta, ani śladu wyłomu, ani popsutego zamka... Stróż nie widzieli nikogo wychodzącego ani dniem ani nocą. Padało podejrzenie na wszystkich, ale szczególnych poszlak nie było przeciw nikomu. Coś cudownego w tém uwolnieniu widziano, tak że zabobonni ludzie gotowi byli wierzyć w czary. Najściślejsze badanie nie potrafiło nawet wykazać nocą czy dniem uszedł więzień i jaką wydobył się na wolność drogą.

Poszły listy gończe na wsze strony... ale że nikt tak bardzo sprawy nie popierał, przygłuszono ją, i pozostała tylko legendą bajeczną w miasteczku... Utrzymywano że po kobiecemu przebrany wymknąć się musiał.

Panna Teresa przeglądała właśnie historyczne ilustracje jakiejś, ażeby z nich zaczerpnąć pomysł do stroju. w roli Maryi Stuart, gdy do drzwi zadzwoniono.

Ponieważ nikt oprócz obcych tym sposobem się nie oznajmował, a znajomi pukali zwykle aby się do niej dostać — panna Teresa z wielką niechęcią powoli zamknęła książkę i poszła ku drzwiom, poprawiając domowy strój zaniedbany... Twarz jej wyrażała nienkontentowanie.

— Natręt jakiś! mówiła do siebie, chwili spokoju niema człowiek...

Otworzyła przecież drzwi i ujrzała zupełnie obcego mężczyznę, już niemłodego, który bojaźliwie zaglądał wewnątrz mieszkania. stał na progu i wahał się co ma powiedzieć. Fiziognomią miał tak przestraszoną, twarz tak wybladłą i wynędzniałą, ręka w której kapelusz trzymał tak mu drżała, a w rysach tyle było wyrazu niespodzianie tragicznego, bolesnego, że panna Teresa z podziwieniem wpatrując się w tę postać, domyślając jakiegoś zbiedzzonego artysty z prowincyi, przychodzącego po braterską jałmużnę — nie wiedziała sama co począć.

— Czy nie omyłką pan? spytała...

— Nie — słabym głosem rzekł mężczyzna...

— Panna Teresa... ska?

— Tak jest...

— Pozwoli pani, jękając się dodał niespodziewany gość — interes najwyższej wagi. Czy pani sama?

Coraz bardziej zdziwiona, artystka odpowiedziała.

— Proszę pana sama jestem.

Mężczyzna, który ubrany był w paletot z podniesionym kołnierzem, jakby się lękał żeby go niepoznano, wsunął się ostrożnie, i naprzód całe mieszkanię niespokojnięm wejrzeniem rozpatrywać począł.

— Nięma nikogo? zapytał.

Zaczynało to niecierpliwie dosyć żywą pannę Teresę.

— Mówiłam panu...

— Pani mi przebaczy, rzekł cichym i osłabłym głosem nieznajomy — wydam się jęj dziwnym... Nieszczęściu wiele darować potrzeba — a ja jestem bardzo nieszczęśliwy...

Sposób jakim wyrzekł te słowa, dowodził, że szły mu z duszy, że w nich nie kłamanego nie było... Zabrakło mu głosu... panna Teresa ncznęła litość, zrezygnowana przysunęła mu krzesło.

— Siadaj pan, proszę, uspokój się. — Jeżeli mogę mu być pomocną w częm...

— Pani się o tęp dowiesz zaraz, rzekł tręc czoło... Lecz od czegoż mam zacząć?

— Mów pan, jak najkróć, jak najprościej, to będzie najlepší.

Znaczyło to — nie nudź mnie... Mężczyzna mimo wahania zdawał się rozumieć. Z kieszeni bocznej surdnta, dobył pomiętą, brudną karteczkę...

— W roku... dnia... miesiąca, godzinie, czytał drżącym głosem — dziecię plci żeńskięj, podrzucone zostało do szpitala Dzieciątka Jezus.

Teresa zarmieniona, z załamanemi rękami, porwała się z krzesła.

— To dziecię jest — mojęm, kończył coraż ciszej mężczyzna. Nieszczęśliwy, okropny skład okoliczności zmusił mnie, a raczej — po co mam kłamać — młodość i płochosć moja spowodowały, że je niegodziwemu słudze oddał na wychowanie... Zdradził mnie, rzucił je do szpitala... Los mi pomógł ślad mojego dziecka odszukać... Przywłókkęm się po nie, pomimo że moja przytomność tu grozi mi — śmiercią... Pani wzięłaś to dziecię, ono jest u nięj.

Kończył drżącym głosem. a podniósłszy oczy, ujrzał pannę Teresę, spoglądającą nań z gniewem, z oburzeniem, ze zgrozą i rozpaczą



niemal. Nie mogła wyrzec słowa... wyciągnięta ręka jój, odpychająca go — drżała...

— Dosyć tego — zawołała — jest to zapewne środek wyłudzenia odemnie zapłaty! Dziecko to do waćpana, do nikogo należeć nie może, tylko do mnie... Rodzice się go bezduszni zaparli, rzucono je bez nazwiska, bez znaku, bez opieki na łaskę i nie łaskę losu... a gdy sercem do litościwój piersi przyrosło, ma być wolno pierwszemu lepszemu co się o nie zgłosi — zabrać aby je raz drugi i gorzej może dać na zatracenie!!

Waćpan myślisz że ja mu je oddam! To dziecko mojem jest, bo mi je przyswoiła miłość moja, bo ona mnie kocha jak matkę, a ja je jak własne dziecko...

Co waćpan chcesz? oddam ostatnią koszulę! Dziecka! nigdy!

Mówiąc to jakby na scenie, była straszną, tragiczną — poruszającą.

Mężczyzna słuchając jój z jakimś poszanowaniem, wstał.

— Pani, zawołał — ja jestem ubogi, ja jestem nieszczęśliwym — ja nie mam na świecie nikogo, ale ja oddam co mam, aby choć późno obowiązku dopełnić. Ja jestem jój ojcem.

— Waćpan jój ojcem? katem raczej — w zapale oburzenia odczytywała się artystka... Nie byłeś jój ojcem, zaparłeś się...

Przestraszona jakąś myślą, nie dokończywszy, pobięła panna Teresa i zamknęła drzwi prowadzące do dalszych pokojów.

— Waćpan się nie lndź, dodała cała zdyszana, tego dziecka mieć nie możesz... Ja, jabym je miała oddać w ręce tego, co się go zaparł w niemowlęctwie...

— Pani, przerwał nieznajomy zmieszany — nie wypieram się winy, godzien jestem kary, występnyim się wyznaję... ale jestem nieszczęśliwy — jestem dziś bardzo nieszczęśliwy... Ułituj się pani nademną.

— A nad mojem dzieckiem mam nie mieć litości? wybuchnęła panna Teresa, ze śmiechem bolesnym. Jakąż rękojnią dla mnie daje ta spóźniona miłość i skrucza?

Coraz się bardziej unosząc i pragnąc co najprędzej ukończyć tę scenę, artystka pobięła ku drzwiom wchodowym, i otworzyła je.

— Wychodź pan! nie mamy nic więcej do mówienia z sobą... Żegnaj pana. Nieznajomy stał w miejscu nieruchomy, pot tylko ocięrał z czoła...

— Pani litości nie masz, szepnął cicho... Nie wiem jak mam mówić. Racz mnie wysłuchać, zaklinam panią.

Panna Teresa gwałtownie zatrzasnęła drzwi. Z namarszczoną brwią usiadła w krześle, trzęsąc się z gniewu, założyła ręce na piersi— milczała.

Mężczyzna walczył z sobą długo.

— Pani masz słuszość, rzekł ponuro — uznaję to — ale ja mam prawo do dziecka...

— Prawo? jakie? zrzekłeś się go na rzecz szpitala. Gdybym ja nie wzięła dzieciny, dziśby ona może zamiatała ulice; czyż wiem jakiby ją los mógł czekać?

— Nigdy w świecie jej nie dam... kocham ją... to dosyć. Dla was to obca istota, dla mnie córka... i ja bym ją dać miała... Nigdy! nigdy! Chcesz pan, pozywaj mnie do sądu, pójdę się bronić sama, a jeśli w pierśsiach sędziów znajdę serce, wygram sprawę moję—jak Bóg na niebie.

— Ja pozywać nie mogę— odczuwał się nieznajomy—ja jestem sam... pod wyrokiem, — ja muszę nciekać z kraju.

Panna Teresa zmarszczyła czoło.

— I śmiesz na podział tego nieszczęśliwego losu dopominać się dziecka! A, to prawdziwe serce ojcowskie. Zapewne, wziąłbyś ją waćpan jako sługę... a — już — mówić nie mogę.

— Pani, przerwał czerwieniąc się nieznajomy... pani jesteś nielitościwą.

— Ja się bronię... ja własności méj bronić będę do ostatniego...

Głos jej brakło.

— Kto waćpan jesteś? zapytała.

— Jestem nieszczęśliwy, rzekł cicho, tego dosyć.

— Nie — bo nieszczęście mniś być skutkiem winy. Pocóżbyś się ukrywać musiał i uchodzić...

Gość spuścił oczy... zabrakło mu słów, głowę pochylił, zamyślił się. Siedział tak jakby zapomniawszy gdzie jest i kogo ma przed sobą. To zdętnienie przejęło jakąś obawą artystkę.

— Czy to dziecę waszém jest czy nie, zawołała, to wielkie pytanie Często po kilkoro podrzntków jednego dnia i godziny się znajduje w kołébcie.

— Tego dnia — zawołał pędko mężczyzna, było tylko to jedno.. Świadczą rejestra szpitalne.

I znowu siedział zamyślony...

— Panna Teresa zniecierpliwiona do najwyższego stopnia, poczę-

ła się przechadzać po pokoju, jakby tylko wyjścia natręta czekała. Po namyśle długim wstał z krzesła, chwiejąc się na nogach.

— Nazwisko moje pani jest niepotrzebne — odczuwał się — ale z położenia mojego wytłumaczyć się muszę. Mimowolnie popełnione zabójstwo zmusza mnie do nieczeki. Jestem szlachcic, niedawno miałem jeszcze wieś, majątek... dziś pozostało mi około stu tysięcy złotych, mam krewnych za granicą. Jadę pracować aby dziecku przyszłość zapewnić. Pani sama nie jesteś majątną, jesteś artystką. Jakiż los ję zgotować możesz? i chyba ten zawód ją czeka, któremuś się pani poświęciła. Jest on zaszczytny, nie przeczę — ale... Zamilkł.

— Przepraszam pana — przerwała gniewnie panna Teresa, mylisz się. Nie chcę ję uczynić artystką, aby jak ja nie cierpiała, aby w duszy czując się królową, w życiu nie była najlichszej gawiedzi poddaną, a w prywatnej sferze istotą wyjątkową i niemal wzgardzoną... Nie — uczę ją pracy, usposabiam ją do życia w rzeczywistości, my snami żyjemy, a w przebudzeniach bolejęm tylko. Nie — ona nie będzie artystką...

— Pani mnie nie uznajesz zdolnym zabezpieczyć ję los — rzekł nieznajomy — daruj że téż ja odmówię pani do tego, nie chęci ale mocy... Pani żyjesz jak sama mówisz, snami, a życia twardego dni powszednich rozumić nie możesz.

— Ale mam serce i instynkt matki dla nię, a waćpan zapóźno poczułeś, nawet obowiązki ojca...

Dosyć tego, dokończyła — próżno będziemy się sprzeczać — ja nie dam dziecka...

To mówiąc wskazała na drzwi, ale mężczyzna ani się ruszył z miejsca.

Panna Teresa, chociaż przeżyła wiele i przeboleła, nie nabyła zimnej krwi i cierpliwości, temperament miała żywy a nawyknięcie do sceny nadawało ję więcej jeszcze namiętności w ruchach i postawie.

Serce ję było rzeczywiście poruszone, nie wiedziała co począć z tym osobliwym natrętem, który spadł na nią niespodzianie z groźbą odebrania dziecięcia, do którego się przywiązała. Oburzoną była i gniewną.

— Mówiłam pannę, — powtórzyła po chwili — że dziecka mu nie oddam, jeśli jest jakiś sposób prawny wydarcia mi go, możesz próbować, z dobrej woli, mówię panu nroczyć się — nie zrzeknę się przybranęj sieroty. Jest moja, ludzie i Bóg inaczej nie osądzą...

— Mówiłam pani, — rzekł ponuro mężczyzna, że prawować się nie





To mówiąc wskazała na drzwi..... (Do str. 134).



mogę, upominać nie mam sposobu — rachowałem na jój serce, na jójliwość na sprawiedliwość.

Nie miałabym serca, litości ani uczucia sprawiedliwości, gdybym uczyniła zadość jego żądaniu — przerwała artystka.

— Dodam to tylko — szepnął mężczyzna — iż mogę być co chwila pochwycony i zginać, ale nie zważając na niebezpieczeństwo, będę stał u drzwi pani, póki mi nie oddasz dziecka... Mam dla niego obowiązki, chcę je spełnić dam mu imię moje — dam co mam... przestanie być sierotą bez nazwiska...

Teresa pogardliwie się uśmiechnęła. Niechże choć wiem, dodała — jak się pan nazywasz?

Mężczyzna zawahał się nieco i pomyślał.

— Jest to nie tylko moja, ale i innych osób dotycząca tajemnica — honorowi pani powierzyć ją mogę. Nazywam się — Michał Skórski.

Panna Teresa, która bardzo dotąd obojętnie słuchała co mówił, krzyknęła usłyszawszy nazwisko, znane jój z wyznań przyjaciółki. Zalałamała ręce, ze spuszczoną głową padła w krzesło, nie odpowiadając stojącemu przed nią panu Michałowi.

Zdało się jój cudem prawie, że ta nieznana sierota — była córką jój najlepszej przyjaciółki, widziała w tém jedno z tych dziwnych zrządzeń opatrności niepojętych, które ludzie trafem zowią, a serca wiarą przejęte — Bożej ręki dziełem. Przywiązanie generałowej do tego dziecka, w którym się nie mogła domyślać własnej córki — miłość Lizki dla niej — wypadek, który te ciemności tak cudownie a nagle rozświecał — wszystko to pogrążało ją w jakiśś zadumie uroczystej. Skórski wytłumaczyć sobie tego nie mniał.

Panna Teresa nie rychło wstała i podniosła nań oczy.

— Niepojęte są losy ludzkie — rzekła — nazwisko pańskie, czegoś się domyślać nawet nie mógł, dało mi nazwisko matki dziecięcia. Jest w tém palec opatrności. Ja jestem przyjaciółką Natalii, — w lepsze ręce dostać się dziecię nie mogło — i pan byś chciał je odbierać!

Z kolei Skórski stanął zdumiony.

— Zkąd że pani wieśz o czém nie powinien, nie może nikt wiedzieć?

— Myśmy siostrami serdecznymi dla siebie były niegdyś i jesteśmy do dziś dnia — nie miała dla mnie tajemnic. Lecz mogłażem się spo-



dziewać, przewidzieć, że ja będę wyznaczoną dla ocalenia jój dziecięcia od nędzy i sieroctwa!

A! to nie pojęte! za to nie wiem jak Bogu dziękować...

— Idź pan — zawołała — dziś nie mogę mówić więcej, przyjdź jutro, nie przychodź wcale, uczyni jak mu się podoba... ale teraz, błagam go, proszę, zostaw mnie w spokoju...

Skórski skłonił się, chciał zdaje się prosić o coś jeszcze, ale nie śmiał i zbliżył się ku drzwiom. W tém panna Teresa zawołała go. Porwała się nagle jakąś myślą poruszona, z gorączką sobie właściwą, chwyciła papier, pióro, kałamarz:

— Pisz pan, zawołała — pisz pan zeznanie, że Lizka jest jego córką, i na czém to przekonanie opierasz, — ja potrzebuję tego świadectwa.

Skórski się nieco zawahał.

— Pani nie możesz tego papieru pokazywać nikomu...

— Nie zdradziłam i niewydałam nikogo w życiu — nie narażę i was na niebezpieczeństwo — pisz pan — to mi potrzebne...

I stojąc nad nim nagliła go...

Skórski ulegając żądaniu, po namyśle usiadł do pisania.

— Jabyś chciał choć widzieć ją, — rzekł cicho.

— Nie dziś! odparła stanowczo Teresa — dziś nie — żegnam pana! To mówiąc chwyciła już papier, przycisnęła bibułę, złożyła go szybko i za gors schowała...

Skórski wyszedł z wolna. Artystka poczęła się gorączkowo przechadzać po pokoju... kłękła potem u kanapy ze złożonymi rękami i zaczęła się modlić. Dramat, który zwykła była odegrywać na scenie, wkraczał w jój własne życie. Doznawała uczucia jakiegoś egzaltującego, podnoszącego ducha, którego najwznioślejsza poczyta uczynić na nię nigdy nie mogła. Serce jój biło, łzy się lały z oczów, była szczęśliwą i biedną razem. Jeszcze téj modlitwy nie dokńczyła, gdy do drzwi od pokojów, które była zamknęła, dobijać się zaczęto. Za niemi słychać było świeży głos Lizki, wołający na nią słodkiem imieniem matki.

— Mamo, mamó, czego się mama zamknęła? to ja! to twoja Lizka! proszę otworzyć! proszę otworzyć!

Porwała się Teresa, otworzyła i wchodzącą Lizkę porwała w objęcia, ściskając namiętnie. Dziecię oddało jój ten uścisk z weselem, z uśmiechem, z pieszczotą, chociaż go zrozumieć nie mogło. Panna Teresa usiadła tuląc ją do siebie i nie mówiąc jeszcze słowa...

— Czy mama co grała, że taka wzruszona, zapłakana — smutna? proszę zaraz dla Lizki pokazać twarz weselszą... Mamcia wie i sama mówi, że dla dziecinnułej Lizki łzy są zaraźliwe... to i ja się rozpłaczę.

— Nie płacz — dziś ci płakać nie wolno, powinnaś się pomodlić — rzekła wzruszona matka przybrana. Słuchaj mnie uważnie Lizko, gdybyś miała drugą matkę... czy byś mnie zawsze kochała?

— Jakto drugą matkę? zdumione spytało dziecko; — dwóch matek nikt mieć nie może...

— Lecz gdyby... gdyby, mówiła Teresa całując ją, matka przybrana musiała prawdziwej ustąpić — czy dla mnie zostałoby ci w sercu miłości trochę?

Pytanie to niejasne, zmusiło dziecko do myślenia, Lizka nie dobrze je zrozumiała, patrzyła w oczy Teresie jakby w nich czytać chciała to, czego wyrazi niedopowiedziały...

— Jakże ja ciebie nie mam kochać? odparła cicho — i czyż może przestać kto raz kocha?

Naiwne to pytanie zapłacone zostało pocałunkiem, i nie mówiła już nic więcej Lizce, która w główce swjej dziecięcej rozbierając matki słowa, pozostała zamyślona.

Zbliżała się godzina, w której zwykle na chwilę przybiegała generałowa. Z niecierpliwością oczekiwała na nią teraz Teresa. Co chwilę patrzyła na drzwi i wstrząsała się słysząc chód na korytarzu. Sama nie wiedziała jeszcze czy ma jęj wyjawić tajemnicę i w jaki sposób to dokonać, a czuła że utrzymać jęj w sobie nie potrafi. Naostatek znane pospieszne kroki Natalii, dały się słyszeć w korytarzu, weszła żywo, ale nie jak zwykle smutna i spokojna a zrezyguowana — weszła z oczyma czerwonymi od łez, z piersią wznoszącą się westchnieniami, zburzona, bezsilna weszła i upadła przy drzwiach na krzesło.

— Co ci jest? na Boga! przybiegając do nięj wraz z Lizką, zawołała przyjaciółka...

— Nie pytaj! daj mi się wypłakać — daj mi się uspokoić, myśli zebrać. Chodzę jak obłąkana od rana... pod ciężarem nowym... ty nie nie wiesz...

— Cóż się stało? twój mąż?

— Nie mów nic o nim... o wszystkich moich nieszczęść przyczyną... Róża biedna nie żyje! I jaki zgon! mój Boże — z ręki tego człowieka! Michał ją zabił...

— On ją zabił! krzyknęła artystka, przypominając sobie w tej chwili rozmowę z nim jego wyznania.

— Dla niej wszystko skończone — zawoła Natalia, on dokończył tylko zabójstwa poczętego przed laty... konała długo... Po tym czynie... uciekł zbrojca... bo jego zbrodnie bezkarne być musiały wszystkie...

Teresa milczała długo zamyślona.

— Zkądże ty to wszystko wiesz — generał wrócił?

— Niema go jeszcze, ale raczył napisać do mnie...

Obie dłonie przyłożywszy do rozpalonych skroni, Natalia siedziała płacząc, Lizka teraz zbliżyła się do niej i obejmując ją rączkami, po swojemu pocieszała pocałunkami.

Czy w tym stanie ducha można było dopowiedzieć generałowej resztę historii jej własnej, i w tej chwili rzucić w objęcia utraconą dziewczynę — nad tém potrzebowała się namyślić artystka. Szepnęła Lizce ażeby wyszła nie naprzykrzając się generałowej, która potrzebowała spokoju... Dziecię posłuszne wybiegło na palcach, stanęło w progu z żalem rozstając się z matką i powoli wróciło do swjej robotki...

Gdy drzwi się za nią zamknęły, generałowa nierychło podniosła oczy zapłakane.

— Zbrojca ten zbiegł, odezwiała się — a z nim ostatnia moja nadzieja dowiedzenia się o losie dziecięcia. Nie wierzę w jego śmierć — czuję że żyje, widzę je we snach moich, wyciągające ręce ku mnie, wyrzucające mi żem nieładzko je porzuciła, zaufawszy w serce ojca? Ale ojcowie serc nie mają! — a matki serca i wnętrzości dla dzieci! Przyjdzie mi więc z tą ostatnią myślą się pożegnać, żebym je kiedykolwiek odzyskać mogła...

Z rękami załamane zaczęła chodzić po pokoju — Teresa nie spuszczała ją z oka.

— Moja Talko, rzekła na pozór chłodno — nie powinnaś rozpaczć, nad dziećmi opuszczonemi czuwa opatrność Boża... Wierz mi... W chwili gdy się tego najmniej możesz spodziewać, dziecię się endem znajdzie!

— Dla mnie! end! gorzko poczęła Natalia — albowiem ja endu godna? Cóżem w życiu uczyniła aby nań zasłużyć? Byłam lekkomyślną matką, jestem złą żoną, nie umiem się poddać losowi memu, dręcę siebie i drugih, targam więzy co mnie pętają... A! Bóg dla takich istot odrzuconych cudów nie czyni.



— Mnie się zdaje przeciwnie — odpowiedziała Teresa, gdybyś nawet była taką jaką ci się podobało odmalować, Bóg mógłby cnd uczynić, aby cię nawrócić... Cierpiałas nadto...

— Tak—to przechodziło siły moje—mówiła Natalia. Wierz mi, były chwile gdym ze łzami u ołtarza prosiła Boga aby mi wziął życie, lub ujął brzemia. Lecz czyż głos taki jak mój idzie do nieba?

— Wierz tylko w cnda — stanie się! zawołała Teresa—a! ja wierzę w cnda na ziemi! jam ich doświadczyła.

Z za łez spojrzała generalowa.

— Nie widzę ich w życiu twojem — rzekła niedowierzająco...

Teresa nie odpowiedziała nic.

— Więc Skórski uciekł? zapytała obojętnie.

— Znalazł zapewne przyjaciół co mu do ujęcia z rąk sprawiedliwości dopomogli—a! niechby sobie żył—byleby przyszedł nań kiedy żal i skrucha i wyznanie prawdy.

— Ty jednak dziwna jesteś — przerwała siadając przy niej Teresa. Chcesz wieści o tém dziecięciu, lecz nawet gdybyś je jakim wypadkiem odzyskała — cóżbyś uczyniła? Wydaneby było na łup mściwemu generałowi! Byłoby ono bezpiecznem? Znasz człowieka — nie musiałabyś drżać co chwila o los dziecka.

Dreszcz przebiegł po Natalii, która poruszyła się cała i obejrzała z przestrachem.

— A! tak jest—ale jabym je skryła od niego... mogłabym choć ukradkiem widzieć je niekiedy—coś dlań obmyśleć, czuwać nad niem... Miałabym nadzieję, choć kiedyś — może zbliżyć się do niej lub oddać ją w ręce co by ją otuliły od niebezpieczeństwa... Pomyśl! Rzucona w świat, bez opieki może... jaki los ją czeka... srom, nędza...

Zakryła sobie oczy.

— Talko droga, nspokój się — obejmując ją odezwała się Teresa. Gdybyś nie była tak poruszoną mogłabym ci może coś pocieszającego powiedzieć.

— Mnie? pocieszającego? jestże coby mnie mogło pocieszyć?

Spojrzały sobie w oczy...

— Wiem coś wypadkiem o losie tego Skórskiego. Mówiła namyślając się artystka. Przyjaciół profesora ...ski (zmyśliła nazwisko) jest dawnym towarzyszem i przyjacielem Skórskiego. Dziś rano mówił mi właśnie.

Oczy Natalii tak dziki wyraz przybrały słuchając, iż Teresa wstrzymała się w opowiadaniu.

— Co ci mówił? na Boga! prędko! przerwała generałowa.

— Że Skórski wczoraj podobno przemykał się przez Warszawę — i — nie sam, ale — jak mówią z dziecięciem... dziewczynka bardzo ładna, mogła być wieku Lizki...

— Ale on tu jest jeszcze może — krzyknęła ręce załamując generałowa — na Boga! na zbawienie! Tereso, idź do profesora, poślij go, spiesz — ja chcę widzieć dziecko — ja je muszę odebrać, choćbym zbójcę siostry poświęcić miała...

Artystka stała tak dziwnie niewzruszona i spokojna, że Natalia nie mogąc tego pojąć, oburzyła się gniębem.

— Ty nie masz serca! zawołała — ja cię proszę.

— A ja proszę cię — o spokój — odpowiedziała Teresa. Właśnie żem dowiedziałysy się o tém, miała serce... dla tego — dla tego...

Natalia z ustami otwartymi stała czekając ostatniego słowa...

— Dziecię twoje — odebrałam!!

Spojrzała na generałową, która pobladła, osunęła się — i — omładła... Lecz osłabienie to trwało chwilę tylko... jak ze snu obudzona zerwała się na nogi i rzuciła na ziemię aby podziękować Teresie, która ją ledwie czas miała uchwycić w objęcia. Milcząc dobyła papieru, który miała przy sobie i podała go jój.

Natalii w oczach się émiło, czytała i zrozumieć nie mogła. Zdawało się jój niepodobieństwem, ażeby Lizka córką jój stać się miała — brzmiało to jak cud — jak coś niepojętego, nieprawdopodobnego...

W tém Teresa zawołała na dziewczę, z wielką nciechą i poskokami biegnące ku nim... Natalia rozplakana porwała ją na ręce i przycisnęła do piersi, oszalała niemal z radości... Dziwny jakiś głos dobywał się z jój ust, niezrozumiały, załzawiony, namiętny...

— Moja! ona jest moja! wołała ciągle — być że to może? Lizko! tyś moja... a! wielki jest Bóg! a litościwy... i modlić się, modlić, modlić potrzeba...

Dziecię nie rozumiało nic, ale pojmowało tę jakąś wielką radość otaczającą je — choć Teresa dzieląc ją, płakała... Czuli że część serca siórotki utraci.



Mojal ona jest mojal wolata ciagle.. (Do str. 140).





Gdy nazajutrz wszedł znowu Skórski do mieszkania panny Teresy znalazł ją samą i zupełnie spokojną, siedzącą z książką w fotelu. Przygotowana była całkowicie na jego przyjęcie. Dnia tego Michał wydał się ję jeszcze straszliwiej wybladłym, znędziałym i upadłym. Po ubraniu włożoném bezmyślnie znać było bezprzytomność i zaprzątnienie jakiegoś a zaniedbanie... Włosy w nieładzie, oswiałe oczy blade, drżenie febryczne, niepokój i obawa najmniejszego szelestu, stan jego ducha mallowały.

Chytry i przebiegły wyraz twarzy, ustąpił nowemu, oswiałemu zimną zrezygnowaną rozpaczą, której pozostała tylko obawa cielesna nienuchronnej męczarni. In więcej panią siebie i chłodniejszą występowała panna Teresa, tóu zdawał się w obec nię czuć więcej upokorzonym i słabszym. Widać było że mało mu pozostawało nadziei, wyswobodzeniu dziś tego, czego wczoraj uprosić nie mógł.

— Przychodzę, odezwał się głosem słabym — i mam nadzieję.

— Muszę panu wszelką odebrać — przerwała poważnie artystka — ale natomiast dać panu tę pocieszającą pewność, że dziecię pozbawione ojca — mieć będzie troskliwą we mnie matkę, jaką byłam dotąd — że ich mieć będzie dwie, bo oko drugiej matki ze krwi także nad nióm czuwać będzie...

— Jaktó? zapytał nagle Skórski — generał by je zabił.

— Generał wcale wiedzieć o tóu ani potrzebuje, ani będzie — mówiła Teresa, o to pan być możesz spokojnym.

— Ale pani nie powinnaś mnie i dziecka zdradzać, oparł się ozywając Skórski — to się nie godzi! Pani nie znasz człowieka.

— Znam wszystko — i mogę panu zaręczyć.

— Nie — ja się na to nie zgadzam! Generałowa nie powinna wiedzieć, mogłaby się z tóu wydać — Hochwarth gotów na wszystko, aby się pozbyć nienawistnego dziecka... Ja nie mogę pozwolić, ja się narażę sam, ale ją wyratuję.

— Mój panie, odezwała się zimno Teresa, na którą oddziaływały rozmowy z generałową — byłeś pan tak mało ojcem tego dziecięcia, tak długo było ci ono obojętném, zawadą — że mi trudno w tę nagle rozbudzoną czułość uwierzyć. Zostaw pan mnie troskę o los dziecka i bądź spokojnym.

Skórski się zmieszał.

— Wynówka słuszna — rzekł chmurno — ale dziś ja innym je-

stem człowiekiem. Jak się to stało, nie wiem; padł strzał, widziałem krew—przeszyło mnie wrażenie morderstwa — zabity we mnie stary człowiek, jestem pokutnikiem i—nędzarzem. Nie pragnę życia—chcę umrzeć spokojny na sumieniu... spokojny!

Westchnął.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła z groźną twarzą Natalia. Popatrzyła nań.

— Ja jestem matką, odezwiała się, waćpan żadnego nie masz prawa do dziecka.

Skórski stał niemy.

— Zabójco mojej siostry — idź ztąd — i nie pokazuj się tu więcej. Dziecką widzieć ci nie dam, nie jesteś wart go zobaczyć. Idź! pokutuj!

Wskazała ręką na drzwi.

— Idź!

Teresie biło serce, zdawała się jęć Natalia zbyt okrutną, lecz wstać się nie śmiała.

Skórski upokorzony nie mówiąc słowa wyszedł powoli... Słychać było nieprzytomny, dziwny, jakby pijany chód jego na wschodach...

— Ale on sobie życie odebrać może, szepnęła Teresa.

— O, tém nie odpokutowałby swój zbrodni... odparła Natalia.

---

Osiem lat upłynęło od opisanych wypadków, zmieniło się wiele rzeczy, znikło osób wiele, zapomniano mnóstwa wieści i plotek, które niegdyś po świecie chodziły—salon tylko pani pułkownikowej Salomei, z nieco wytartymi meblami, z troszkę odnowionem towarzystwem, — trwał zawsze na dawniej utrzymywany stopie. Tryb przyjęć nie zmienił się wcale, a dla oczu tych co przywykli patrzeć na miłą gospodynię, twarz jęć nawet pozostała tak wdzięczną i świeżą jak dawniej. Radca utrzymywał że pani Salomea odmłodziła i być to mogło, gdyż dawniej prawie nie używała kosmetyków, posługiwała się własnymi zębami, obchodziła warkoczem danym od natury, a z postępem lat sztuce kazała zastąpić co wiek nielitościwy popsuł i wyszczerbił.

Wieczorami więc, z daleka, mogła się nawet świeższą wydawać.

Pewnego zimnego wieczoru, jak zawsze wśród karnawału, pułko-



wnikowa dawała coś tańczącego, co się balem nazwać nie mogło, ale nim było w istocie.

Pani Salomea nie pozwalała, aby zabawy u niej nazywano balami. „Ja balów nie wydaję,—mówiła wszystkim, ale dla młodzieży, która zabawić się i poskakać potrzebnje, chętnie salon otwieram i zapraszam, byle wesoło się rozerwać. Choćby do białego dnia.“

W istocie muzyka nazwać się balową nie mogła, ale do tańca służyła wybornie. Składał ją fortepian wysłużony, któremu już nie się stać nie mogło, choć w niego całą noc bito co siły, skrzypce, basetla, klarnet i bębenek. Była to orkiestra nsymplifikowana, pierwotna, nie ceremonialna; czasem skrzypce odpoczywały pod pozorem zerwania struny, czasem klarnet się oczyszczał z ciepłych tchnień rodzących tony, basetla odzywała się tylko jak czkawka, ale ten pocziwy fortepian nie znużony, wiecznie lunczący, brzmiący bo mu pedałów nie popuszczano—zastępował wszystko. I skakano bardzo rażno a ochoczo. Wprawdzie do wieczory był tylko jeden wina gatunek czerwony i jeden biały, ale oba wyborne, a półmiski ładowane jak szknty i potrawy niewykwintne a smaczne.

Miejsca było dosyć, bo zwykle dwa salony spore, u których zejścia się zasiadała orkiestra, służyły młodzieży do skoków. Znano owe wieczory pani Salomei z ożywienia i wesołości nie wymuszonej, jaka na nich panowała. Sama gosposia choć ciągle się wyrzekała, że jest zastarą do tańca, dawała się brać do mazura, do kontredansa, do poloneza, do polki, walcu tylko już nie znosiła, bo jój zbyt działał na nerwy.

Spodziewano się w tym dniu gości więcej niż zwykle, był jakiś karnawałowy przypływ młodzieży, inauguracye nowych panieńskich towarzyszek, mówiono o dziewicach mających po raz pierwszy ukazać się na ślizkich posadzkach salonu.

Młodzież dla tańca, starsi dla wieczory, wielu dla ciekawości wybierali się na raut pani Salomei.

Zwano czasem rautami te wieczory, dla ścisku, czemu drndzy opowalali, przedstawiając, że rauty z natury swój są nie tańczące, ale tylko duszące jarmarki.

Około godziny dziewiątej już zaczynali się zbierać goście i była nadzieja, że około jedenastej muzyka ozwie się polonezem Kurpińskiego. Co chwila zjawiała się nowa suknia jasna, nowy bukiet, nową morą okryta mama, jakiś czarno obleczonej tatko i z przeciętą na pół fry-

zyerską sztuką głową — młody lew pewien, iż tym razem serce jakieś upoluje.

Pani Salomea miała na sobie ubranie, które poważne jój, rozkwitłe wdzięki podnosiło znakomicie; była to suknia blado lila, z koronkami białymi, w której jój było niezmiernie do twarzy. Wszystkie kobiety jój to powtarzały, ale że żaden mężczyzna nie potwierdzał tego wyroku, pułkownikowa nie była jeszcze pewną, czy nie popełniła jakiego wykroczenia przeciw modzie.

Gdy już salony oba po podścianami przyozdobiły się grzędą piękności, gdzieśniedzie poprzerzynanych okwitłemi i żółkłemi postaciami dla zbawiennego kontrastu, w chwili gdy fortepian rozpoczął miał swą burzliwą funkcją... szept się rozszedł po pierwszym salonie, oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom wchodowym, ktoś nowy ukazał się w progu, rozbudzający ciekawość niezmierną. Była to złotowłosa panienka, w białej sukience z różowymi wstążkami, ubrana prawie po pensyonarsku, ale tak piękna, że na niektórych twarzach odbity blask jój oblicza wyrażał się osłupieniem.

Śmiejąca się jój twarzyczka miała wyraz anielsko-dziecinny; oczy patrzyły w świat z mężstwem tych źrenic, co się jeszcze nigdy niczego nie uległy, bo mało co widziały. Małeńkie usta różowe kwitły niewinnem weselem. Wszystko w niej było cudownie piękne i harmonijne. Kształty, postać, nóżka, ręka, a bursztynowy warkocz nie pożyczany od fryzjera, mógł jeszcze bez uszczerbku w lokach się rozsypać po białej szyjce...

— Widzisz ją — co za piękność!

— Patrz co za anielska twarzyczka.

— A! jakaż cudowna! mówiono dokoła.

Mężczyźni byli zgodni, wśród blondynek dojrzalszych odzywały się słabe krytyki, niektóre panie terażniejszości nie mogąc nie zarzucić, groziły przyszłością, ale zjawienie się blondynki zachwyciło salon cały.

Widywano ją ukradkowo na ulicach, w oknie, lecz była zbyt młodą aby się mogła ukazywać w towarzystwach, tego dnia występowała po pierwszy, i po rumieńcu jój twarzyczki, po dziecinnie zakłopotanych ruchach, znać było że ją ten wielki świat przerażał, te tysiące oczu skierowane na nią, niepokoiły. Gdyby nie była tak wesołą, rozplakałaby się może.

Za nią szła surowych rysów i wyrazu twarzy kobieta średnich lat niegdyś piękna, której z dawnych wdzięków czarne tylko oczy ogromne





Była to złotowłosa panienka. (D) str 144.





dziwnie iskrzące pozostały. Było coś dzikiego, niemiłego prawie w tém obliczu dumném, nie rozjaśnioném żadnym promykiem nadziei — milczącym i wiekuistą napiętnowaniem tęsknotą...

— Kto to jest? proszę cię,—matka z córką! kto taki, mój radco? zapytał z natarczywością niezmierną młodzieniec w białych rękawiczkach.

— A! a! wiele by mówić! daj mi pokój.

— Ale radco kochany...

— Po kolacy — głodny nie mam werwy w opowiadaniu — rzekł radca — cierpliwości... po kolacy powiem.

Wkrótce po ukazaniu się tych pań, wystąpiła w pierwszej parze polskiego jakaś prezesowa z jakimś księciem, w drugiej gospodyni z jakimś radcą i wieczór został inaugurowany.

Panienka w białej sukience zwracała ciągle oczy, a tancerzom prezentowanym sobie co chwila, opędzić się nie mogła; tańczyła lekko jak motylek, wdzięcznie, wesoło, z taką młodzieńczą fantazją, iż starzy dawali sobie deptać po nogach, byle się na nią popatrzeć.

W tańcu rękawiczki wszystkie popekały, wiele trzewików zostało zmienionych, ochota była niezmierna. Młodzieniec uwijający się z talerzem, złapał nareszcie radcę przy małym wygodnym stolczku posilającego się razem upakowanym kotletem, pieczysem, kompotem i tortem. Praktyczny radca wyrzekł się form dla istoty, zdobył sobie zawczasu co mu było potrzeba i z obawą tylko patrzył, by kto nie przysunął się do podziału butelki czerwonego wina, którą z wielką pracą potrafił dla siebie ocalić. Młodzieniec z talerzem przysiadł się do niego.

— Panie radco, moja historia?

— Jem teraz, to jest zajęcie ważne, walka o byt... nie mogę mówić i jeść razem...

— Ale zlituj się.

— Powinieneś być do téj pory historyi się dowiedzieć — rzekł radca — a mnie od nich uwolnić.

— Z pełném zaufaniem, czekałem na spełnienie obietnicy...

— O cóż ci idzie?

— Kto są te panie?

— A no, przecież tyle powinieneś wiedzieć, wdowa po generale Hochwarth i jej...

— Tu radca chrząknął głośno.

Cześćnikówny.

— Siostrzenica!

— Zkądże to zjawisko?

— Taka piękna panna nie mogła spaść, tylko z nieba...

— A nazywa się?

— No — nie wiem, siostrzenica pani generałowej zapewne. Radca począł się śmiać. No nie, nazywa się panna Skórska, bogata dziedziczka... a piękna jak anioł... ale mama, chciałem powiedzieć ciocia...

— Cóż ciocia, panie radco?

— Ciocia,—straszna i wymagająca... a ojciec...

— Alboż ojciec żyje? ma ojca?

— A ma... ma... Patrzaj no tam w prawo, ten stary, wyłysiały, z zapadłemi policzkami...

— Któż to taki?

— Niegdyś obywatel... później Bóg go tam wie, był w Australji długi czas, czy na petroli, czy na złocie, czy na jakim innym instrumencie, ogromną zrobił fortunę i powrócił z nią do kraju...

— Pan go zna?

— Szkolny towarzysz, ale od pewnej chwili jego życia nie jesteśmy z sobą dobrze... To dziwak, trochę awanturnik... zresztą...

— Nie widziałem go ani na chwilę przy córce...

— A bo źle jest z generałową, która go nie lubi... i nie mówią nawet z sobą...

— Wygląda pani generałowa w istocie, rzekł młodzieniec — dziwnie jakoś, niemiło...

— Daj jój waćpan pokój, życie jój pono było niemiłe, coś dziwnego. Wyszła za drugiego takiego awanturnika jak Skórski, a może gorszego od niego, który ją o mało nie zamęczył zazdrością, podejrzliwością i popędlivością. Szczęściem dla niej, że go na polowaniu we własnych dobrach, zabił wypadkiem leśniczy... musiał go wziąć za dzikie zwierze... cha! cha! dodał radca. Dopiero po jego zgonie odetchnęła nieco generałowa i mogła wziąć do siebie siostrzenicę... Mówią że jój ma cały majątek zapisać, bo ją niewypowiedzianie kocha...

— Czy odziedziczyła po generale?

— Zapisał jój podobno *in articulo mortis*, nie mając komu zostawić.

— A zkądże ta waśń ze szwagrami? dopytywał ciekawy młodzieniec.



— Albo ja tam wiem! kto tam wyszpéra, dosyć że się nie lubią....

— Co za położenie przykre dla młodej osoby...

— Zapewne—mówił radca, ale ona się wychowywała zdala od ojca, mało go znała nawet i niewiele cierpi pewnie na tém, że ją tak trzymają iż ledwie go zobaczy... Ale jak to na wielkim świecie zwykle, musiałeś waćpan uważać, iż Skórski się przyszedł przywitać z generałową zdaleka, że córka mu dygnęła, że do niej kilka słów przemówił i dopiero odszedł.

— Uważałem i to że generałowa przywitawszy się, twarz odwróciła od niego i już nie spojrzała nań.

— Bo się mocno nie lubią — mówił radca. Panna zrobi pewnie partyą świetną. Po matce, chcę mówić *po ciotce*, weźmie dobra znaczne, a ojciec oprócz wioski dawniej ojczystej, którą wykupił, ale w niej nie mieszka, posiada pono znaczne kapitały; tylko gra słyszę na giełdzie może jeszcze zgrać się. Otóż i cała historia — dodał radca — jesteś spokojony?

— Po części... chociaż zdaje mi się żeś pan radca część jej połąkł razem z kotletem!

— A bardzo być może! rozśmiał się stary, są rzeczy których się nie mówi, które się odgaduje, a tak szczęśliwie, z dobrą metodą uniwersytecką od natury obdarzony młodzieniec, powinien umieć prawdy zawsze dojść choćby na wierzchu nie siedziała...

— Mnie tylko jedna bije w oczy, to niezmierna piękność panny-w jej blasku ginie wszystko... Co za urok! jaki wdzięk!

— I mówią że wychowanie pańskie co się zowie—dokończył radca, śpiewa i gra mistrzowsko... maluje cudnie, tańczy jak widziałeś, a w dodatku dobra, łagodna i...

— To prawdziwe nieszczęście! zawołał młodzieniec, kogóż godnym uznają tego skarbu?

— Audaces fortuna juvat!—rzekł radca i ostatni kieliszek wina wychylił.

KONIEC.









# NAKLADY

## GEBETHNERA I WOLFFA.

	Rs. kop.
Buckle H. T. Historia cywilizacji w Anglii 2 t. . . . .	3 60
Brodziński Kaź. Dzieła wyd. zupełne, popr. i z nieogłoszonych rękopisów dopełnione staraniem J. I. Kraszewskiego z wizerunkiem poety 8 t. R. 8, w opr. . . . .	11 20
Kondratowicz L. (Syrokomla Wł.) Dzieje literatury w Polsce od pierwiastkowych czasów do XVII w. 3 t. Rs. 3, w opr. . . . .	4 20
Kraszewski J. I. Hrabina Cosel, powieść w 2-ch tomach (wyd. 2-gie) . . . . .	2 —
— Brül, opowiadanie historyczne 2 tomy, wyd. 2-gie. . . . .	2 —
— Z siedmioletniej wojny, opowiadanie historyczne, 2 tomy . . . . .	2 40
— Morituri, powieść w 2-ch tomach. . . . .	2 25
— Resurrecturi, powieść w 2-ch tomach . . . . .	1 50
— Macocha, powieść z podań XVIII wieku, 3 t. . . . .	2 25
— Kawał literata, wizerunki społeczne z końca XVIII wieku . . . . .	1 50
— Roboty i prace, sceny i charaktery współczesne . . . . .	1 20
Fredro Aleks. hr. Komedye wyd. 4-te z portretem autora i życiorysem, przez L. Siemieńskiego, 5 tomów Rs. 1 k. 50, w opr. . . . .	3 —
Wilczyński Bolesł. Stanisław Moniuszko i sztuka muzyczna narodowa. Studium estetyczne . . . . .	1 —
Jordan. Wędrówki delegata, szkice humorystyczno-obyczajowe. . . . .	1 50
Wójcicki Kaź. Wład. Warszawa i jej społeczność w początkach naszego stulecia. Rs. 1 k. 80, w opr. . . . .	2 25
Odyniec A. E. Tłómaczenia 4 t. drugie wyd. Rs. 3, w opr. . . . .	4 —
— Listy z podróży 3 t. Rs. 3 k. 90, w opr. . . . .	5 20
Prus Boł. Pałac i rudera. . . . .	— 75
Marmol José P. D. Amalia, ustęp z wojny domowej w republice argentyńskiej, przekład z hiszp. 2 t. . . . .	2 40
Zacharyasiewicz Jan, Człowiek bez jutra, powieść 2 t. . . . .	2 25
— Wiktorya Regina, ze wspomnień narzeczonej. . . . .	1 20
— Dzieje ideału, powieść. . . . .	1 50
— Widoki familijne, powieść. . . . .	1 —
— Sumienny konkurent, studjum karnawałowe. . . . .	— 90
— Zakryte karty powieść 3 t. . . . .	3 60
Narbut Krystyna, W Ameryce, powieść na tle życia społecznego w Stanach Zjednoczonych. . . . .	— 90

Biblioteka Raczyńskich

JIK **625**



JIK0625